WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM III.

LWÓW
NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO"
1903.

99

HURAGAN

WACŁAW GĄSIOROWSKI

HURAGAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

TOM III.

LWÓW
NAKŁADEM SŁOWA POLSKIEGO
1903.

113567

Z DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“ WE LWOWIE
pod zarządem J. Ziembińskiego.

I.

Armaty umilkły pod Saragossą. Marszałkowie Moncey i Mortier opuścili ręce.

Po zdobyciu w pierwszym dniu oblężenia stanowiska Monte Torrero i fortu na przedmieściu Arrabal — od dwóch tygodni nie zdołali kroku naprzód zrobić. Wszystkie ataki wróciły zdziesiątkowane. Kule szczerbiły mury stolicy arragońskiej, wzniecały pożary, rozbijały domy, a mimo to Saragossa ani drgnęła w posadach i stała dumnie zaparta o brzegi Ebro, wystrzelając starożytnemi wieżycami kościołów Nostra Seniora del Pilar, la Seo, Miguel, Filippe, Jago i Juan, groźnie mierząc nieprzyjaciela z czworogrannych baszt maurytańskiego zamku Alchaferia.

Od dwóch tygodni w dzień i noc rażono miasto żelazem, szturm przypuszczano za szturmem. Zdawało się, że lada chwila na murach ukaże się biała chorągiew, że lada chwila Saragossa się podda.

Marszałkowie spoglądali po sobie zdumieni. Co ta garść kilkunastotysięczna ważyła wobec ich korpusów! Skąd powstać im mogła śmiałość oporu?

Co dnia marszałkowie nowe kreślili plany zdobycia miasta, co dnia liczba rannych i poległych wzrastała.

Moncey trzaskał z gniewu palcami — zrywał się o świcie i śród mroków podnosił pułki, skradał się, czaił, spadał jak sęp i zawsze spotykał wyszczerzone lufy karabinów i opór zacięty, nieubłagany.

Mortier po całych dniach z generałem Lacoste wykreślał plany przekopów. Moncey patrzeć nie mógł na te przygotowania.

— Kolego! Zbyt wielki zaszczyt obmyślasz dla tego kretowiska!... Gdybyż to była forteca, warownia!... Rozumiem! Prawidłowe oblężenie, lecz tu... Patrz, garść chałup, gromada kościołów, no i ten zamek, bezwątpienia potężny w czasach Abdulrachmana!...

— Prawda! — odpowiedział flegmatycznie Mortier. — Więc zdobądź go, szturmuj!... Co do mnie, nie wierzę w szturm bez przekopów!...

Moncey zęby zaciskał i rzucał się sam w największy ogień — sam działa nastawiał, sam mierzył. Dzień i noc pluł żelazem — dzień i noc Saragossa odpowiadała morderczym ogniem.

A tymczasem z głównej kwatery co dnia nadchodziły gońce z zapytaniami i co dzień niosły ze sobą wiadomość krótką, a stereotypową: „Lada dzień Saragossa się podda!“.

Co dnia marszałkowie czuli, że tam, w głównej kwaterze, sława ich topnieje, wpływ niknie, że lada chwila dowództwo wypaść może im z rąk.

Nadto korpusy marszałków gnębić zaczęły choroby, a gorsze od nich jeszcze guerille, które łańcuchem drobnych oddziałów opasywały armię oblegającą, niszcząc dokoła niej furaże, niepokojąc placówki, napadając na pomniejsze oddziały.

Ilekroć razy Moncey rozpoczynał szturm, tylekroć na tyłach musiał utrzymywać dywizyę dla ostrzeliwania śmielej następujących guerillów.

Nie dość jednak było chorób, nie dość mrozu, który co noc się jawił wraz z wichurami, nie dość opędzania się guerillom, na wojsko padł lęk, a osobliwie dywizye legii nadwiślańskiej zdemoralizował... Oto opowiadano sobie w pułkach, że moce niebieskie chronią kościół Nuestra Seniora del Pilar, że kule armatnie omijają wieżycę świątyni, odbijają się o mury kościelne i zwracają się przeciwko strzelającym.

Moncey z Lacostem dzień i noc stali na bateryach, nakazując mierzyć wprost w wieżę del Pilar — napróżno.

Czy ręce kanonierom drżały, czy działa zrywały zbyt silnie przy strzale, dość, że ani razu kula nie zdołała dosięgnąć świątyni.

Marszałkowie opuścili ręce. Oblężenie trzeba było rozłożyć na miesiące. Jak zawiadomić o tem sztab, jak umotywować raport, żeby uniknąć uwag złośliwych a podszeptów? Zanim jednak Mortier i Moncey zdążyli powziąć decyzyę, kuryer cesarski nadjechał pod eskortą oddziału grenadyerów gwardyi.

Mortier spojrzał ponuro na Monceya.

— Kolego! Możemy sobie powinszować! Nie łudzę się, co ta koperta zawiera!...

— Odwołanie!... Tem lepiej!

— Czy tylko odwołanie? Ręczę, że Savary o nas pamiętał i na wodza się wysforował!

— Savary!... Za nic — usuwam się!... Dziś składam raport o urlop!...

Mortier rozerwał szybko kopertę, rzucił okiem na papier zdobny w orły cesarskie i szepnął cicho:

— Lannes!...

— Lannes? — powtórzył ze zdumieniem Moncey. — Lannes do nas?

— Jest już w drodze! Ma objąć naczelne dowództwo!...

— Lannesowi ustąpię bez wahania...

— Dzielny żołnierz i prawy towarzysz...

— Żal mi go!... To robota Berthiera! O te przeklęte mury nawet Lannes rozbić się może. Zdobędzie je — zasługa żadna! Niewdzięczne stanowisko.

Marszałkowie uspokoili się. Tam, gdzie Lannes się ukazywał, tam ustawały zawiść, ambicye, swary.

Lannes zawsze myślał o innych, a zapominał o sobie. Troszczył się, żeby żaden żołnierz nie został pominiętym przy rozdawaniu nagród, wstawiał się za oficerami, walki o nich staczał ze sztabem, a w gronie generałów i marszałków — był pierwszym do uznania zasług kolegi.

Lannes unikał dworu cesarskiego, wymawiał się od uroczystości, nie umiał pływać w atmosferze intryg, półsłówek, obłudy, zjadliwych uśmiechów i płaszczenia się przed majestatem Bonapartego. Napoleona kochał, jak stary sierżant gwardyi wielbił w nim wodza — Lannes był żołnierzem.

Kiedy marszałkowie w rozkazie dziennym zapowiedzieli swoim korpusom przybycie Lannesa — otucha wstąpiła w żołnierzy. Bo jeżeli imię Lannesa wśród marszałków budziło szacunek — w armii rozniecało zapał. Żołnierz ufał marszałkowi ślepo, we dnie i w nocy widział go obok siebie, słyszał.

Lannes nie dał na siebie długo czekać. W cztery dni spadł jak burza pod zasłoną szwadronu ułanów legii i w otoczeniu dwudziestu oficerów, którzy otrzymali awanse do drugiego i trzeciego korpusu.

Marszałek natychmiast zwołał radę wojenną. Zebrali się Moncey z Mortierem, dowódca inżynierów generał Lacoste, generałowie Gazan, Morlot, Grandjean. Musnier, Rognat, Suchet i Chłopicki.

Lannes wysłuchał raportu z poczynionych robót oblężniczych — i zagadnął krótko Lacoste'a:

— Ile czasu potrzeba na podminowanie całego miasta?

— Najmniej cztery tygodnie!...

— Więc za miesiąc staniemy się panami gruzów!... Zdwoić pracę! Nic tu zmienić nie można!... Godzę się w zupełności na taktykę kolegów Mortiera i Monceya.

Te słowa złamały ostatnie lody.

— To jedyna rada! — ozwał się gorąco Moncey. Minować!... Gauvion de Sant Cyr z Desnouettem poszczerbili sobie raz już zęby przed paru miesiącami... Odstąpienie nasze, ustępstwo obudziłoby jeszcze większą śmiałość.. Z ziemią ich zrównać!...

— Zapewne! — wtrącił sucho Mortier. — Ja byłem tego samego zdania jeszcze pozawczoraj! Lecz oni na miny odpowiadają minami. Trzy dni pracy kosztowały nas przekopy pod klasztor świętego Józefa, noc całą ustawialiśmy baterye... Rano trzydzieści dwa działa zionęły, lecz zanim miny zdołaliśmy podpalić...

oni kontrminami wysadzili je w powietrze. Toż samo zrobili z mostem na Huervie! Wczoraj... Co tu ukrywać! Zrobili wycieczkę na Santa Engrancia, przed którą mieliśmy dobrze opatrzoną bateryę! Ośm armat zagwożdżonych!... Głodem ich chyba będzie można wziąć...

— Jeżeli sami go przetrzymamy! — uciął Moncey.

Lannes zasępił się.

— Jutro damy wypocząć żołnierzom. Wezwiemy raz jeszcze Palafoxa do poddania, a potem zdwoimy energię! Musimy działać wszyscy, bez wypoczynku, równocześnie! Pan, generale Lacoste, prowadź miny! Generał Gazan niech atak za atakiem przypuszcza i niech sforsuje przedmieście! Generał Suchet zdwoi łańcuchy, żeby nam i od guerillów zapewnić spokój i ducha żywego z Saragossy nie wypuścić! No, a i my, koledzy, próżnować nie będziemy! Wyłomy być muszą!...

Gdy się to działo, w obozie ruch i ożywienie zapanowało. Dwudziestu młodych poruczników, nadesłanych z głównej armii, a więc wiozących ze sobą nieprzebraną ilość nowinek i wiadomości — rozprószyło przygnębienie. Drugi pułk legii miał szczególniejsze w tym razie szczęście, bo aż pięciu zuchów w mundurach prosto z igły stawiło się przed namiotem grosmajora Michałowskiego i pułkownika Kąsinowskiego. I to zuchów nie lada, bo jak adjutant zapewniał, na podstawie papierów, wszyscy jeden w drugiego byli to szwoleżerowie gwardyi z pod Somo-Sierry, dla braku awansu przeniesieni w randze oficerskiej do legii.

Jeden major Michałowski nie dzielił ukontentowania, bo rzuciwszy okiem na listy służbowe, ozwał się do kapitana woltyżerów Rybińskiego:

— Phi... kochanku! Ruszyli konceptem!... Marcepanowych kawalerów, paniczyków, cacanych żołnierzyków nasłali, kochanku. I co? Phi, męka, mordęga, utrapienie, kłopot, zamieszanie, pilnowanie — choroba! Na koniku frygał, pałasikiem majtał, galopikiem się przetryndał i był, kochanku, rycerzem!... A tu pie-

chota!... A no, cóż... wołaj ich, kapitanie, niechże ich zobaczę!...

Gros-major strzepnął desperacko-rękoma, poprawił osuwający mu się pas na okrągłym brzuszku, ręce założył w tył i jął mierzyć wielkimi krokami namiot.

Po małej chwili zasłona się odchyliła, Rybiński wprowadził nowomianowanych poruczników.

Ci stanęli wyprostowani, czekając na pierwsze słowa majora. Lecz Michałowski, jakby na nich uwagi nie zwracał. Chodził po namiocie i mruczał pod nosem:

— Nie miała baba kłopotu!... Taki Szczygieł albo Radło więcej potrafi, kochanku! Co to z tego może być?!... Phi!... Zaczynaj od a, b, c!... Kawalerya do piechoty!... Nieopatrzność, brak zastanowienia, kpiny, drwiny, nieład, choroba!...

Oficerowie stali jak wryci. Major podniósł głowę, zmierzył ich wzrokiem i rzucił sucho:

— Proszę o nazwiska!

— Łaguna! Masłowski! Strumiłło! Jaworski! Stadnicki! — rozległy się kolejno głosy.

— Wszystko porucznicy! Phi! gwardya, kochanku! Szwoleżerzy! O piechocie ani wyobrażenia, co?

— Owszem, panie majorze! — rzekł śmiało Jaworski.

— Co, kochanku? Co owszem?...

— W pułku odbywaliśmy piesze musztry, według regulaminu dragonii!...

— Piesze musztry? He? Znam ja wasze piesze musztry! Parodya, śmiechu warte, pociecha, żal się Boże, karykatura, choroba! Bo piechota, kochanku, to nie parada, nie kity, nie ogony, nie akselbanty — tylko karabin, bagnet, mur! Mur, kochanku, armia, siła, broń w ramię i stój! Szturm, to dalej na mury — ani na włos nie chybić, bo opłazuję!...

Major odsapnął ciężko, a naraz doskoczył do Stadnickiego i wskazując na jego srebrny galon u kołnierza, rzucił groźnie:

— A to co jest kochanku?...

— Obszlegi... porucznika pierwszej klasy!

— Pierwszej klasy! Proszę! Waćpan porucznikowałeś w szwoleżerach?

— Nie, byłem wachmistrzem!

— I waćpan tak sobie jednym susem przeskoczyłeś przez porucznika drugiej klasy?

— Pod Somo-Sierra było nas takich więcej!...

— Proszę! Patrzcie!... Z wachmistrza! Dalipan, świat się przewraca! Zobaczymy, zobaczymy! Mundurki piękne!... Kapitanie, a no cóż?... Weź tych panów poruczników pod swoją opiekę. Komendy dać nie mogę... niech widzę najpierw we froncie... Niech poznam sprawność, przytomność, rozwinięcie, uzdolnienie, chorobę... to jest... kochanku, tego! Hm! Tyle waszmościom powiem, że wątpię, aby wam tu, u nas, było wygodnie! Lada pałasikiem, konikiem tu się nic nie poradzi... do pałaców na ordynanse się nie chodzi, miną, czupryną nic się nie zwojuje! Piechota, phi, kochanku, musi pracować ciężko, bo piechota, to sedno, moc, siła, jądro, podstawa, grunt, armia — choroba!... Żegnam waćpanów!...

Major odwrócił się, odsapnął ciężko, poprawił pasa i puścił palcami impetycznego młynka.

Porucznicy, spojrzeli po sobie i wyszli z namiotu. Kapitan Rybiński podążył za nimi.

— Panowie! Pozwólcie za mną! Przedstawię was kolegom! Do pułkownika Kąsinowskiego jutro, bo dziś zajęty bardzo!

Rybiński zaprowadził poruczników do baraku oficerskiego. Tam ich czekało o wiele milsze przyjęcie.

Porucznicy Kaliński, Niewodowski, Pągowski i Niechcielski powitali nowych towarzyszów z otwartemi rękoma, zapraszając na skromny bardzo posiłek, bo składający się z mięsa gotowanego, chleba i kubka wina.

— Darujcie koledzy! — usprawiedliwiał się Niewodowski. — Gdybyśmy choć dniem jednym naprzód wiedzieli, można byłoby pomyśleć o czemś przystojniejszem... Dziś podzielcie, jeżeli łaska, nasz chleb powszedni!

— Oo! Cóż za ceregiele! — przerwał żywo Strumiłło. — Wojna, obóz — co na misie, to nieprzyjaciel!

— Prawda! — podchwycił Kaliński — i w dodatku ciężka wojna i ciężki obóz! Tym, w Saragossie, także musi być niewygodnie a głodno, ale co i u nas się nie przelewa. Kto tu w oblężeniu — niewiadomo!

Rozmowa potoczyła się ochoczo. Nowomianowani porucznikowie opowiadali o głównej armii, o szarży pod Somo-Sierrą, o pobycie w ambulansach pod Buchtrago, słuchając znów opowieści o ostatnich robotach oblężniczych i nieudanych szturmach.

Jeden Stadnicki siedział ponury, nasrożony i ledwie półgębkiem słowo jakieś rzucał. Kapitan Rybiński, który do poruczników był się przysiadł, postrzegł kwaśną minę Stadnickiego, i kiedy się okazya zdarzyła, zauważył z intencyą:

— Hm! Waćpanowie z wielkiego świata przybywacie! U nas chuda fara!... Choć zuchów nie brak, ale niema komu ani patrzeć, ani chwalić, ani nagradzać... Nie dziwno mi też wcale, że imć Stadnicki, obaczywszy to nasze chudopacholskie obejście, nie bardzo i rad swemu awansowi!...

— Z czegoż-bo pan kapitan to wywodzi? — zagadnął basem Stadnicki.

— At, z czego! Daruj waćpan, nie chciałem go tknąć! Lecz u nas co na sercu, to na języku! Widząc cię zaś takim, jakbyś pół garnca octu wypił, muszę suponować...

— Że mnie nim napojono, psia mać!

— Otóż właśnie!

— Więc, panie kapitanie, jeżeli ma być szczerość niechże będzie!... Cóż to, psia mać, na rekrutam do was przyszedł się napraszać?... Nie nacharowałem się dość na te galoniki? Co?

— Poruczniku! Któż waćpana?...

— Kto? Juści imć pan major! Szanuję szarżę, znam powinny jego randze szacunek... lecz psia mać jakem Stadnicki, ważyć się lekce nie pozwolę!... Bom psia mać, nie nowicyusz, nie wiechetek!... Lada

pałasikiem! — powiada! Nie życzę mu, aby się z tym pałasikiem spotkał...

— Panie Józefie! Major-burczymucha! — perswadował Jaworski.

— Niech mu w żołądku burczy! Ale co ja, nie dam się poniewierać, psia mać... Piechota, kawalerya, sapery, woltyżery... dla mnie zawsze będą w jednej cenie!... Tyle zaś waćpanom powiem, że gdyby tu nasz pułk był... to, psia mać... nie patrzylibyście, spuściwszy nosy, na ten kojec saragoski!...

— Nie tak gorąco! Nie zapalczywie! ozwał się poważnie Rybiński. — Major człek zacny, prawy...

— Nie lubię, psia mać!...

— Pozwól waćpan dokończyć!... Dziwadło trochę, rozkochany w piechocie!... Zrzęda!... Lecz słów jego nie należy brać do serca!... Wykażesz się waćpan — pierwszy odda ci sprawiedliwość...

— Niech sobie! Cale mi ona nie potrzebna!... Pierwsza okazya — poproszę niech mnie przeniosą, psia mać! Zresztą zadeklaruję to pułkownikowi... Nie chcę imć panu majorowi być zawadą!

W gronie oficerów zapanowało przykre milczenie. Porucznicy poglądali po sobie, kapitan Rybiński bębnił nerwowo po głowni pałasza i targał temblak.

Naraz zasłona w otworze baraku uchyliła się. Przed stołem zjawił się niski, pucołowaty porucznik. Powiódł bystremi oczami po zebranych, skoczył do Stadnickiego i zawisł mu na szyi — wołając z zapałem:

— Królu! Józiu! Nicponiu!... Dajże gęby!... A bodaj cię... Carramba! Prędzejbym się śmierci spodziewał...

Stadnicki porwał się z miejsca, nie mogąc poznać witającego. Mały porucznik atoli nie ustawał w wykrzyknikach, huśtając się na szyi Stadnickiego a ściskając go.

— Góra z górą!... Królu mój!... Patrzże, do naszego pułku!... Upiję się chyba... koziem mlekiem!... Cóż ty, filystynie... tak oczy raczysz!... Nie poznajesz?... Mateusz... Bzura, herbu Bzura vel Lis... ze wsi Bzury... ziemi Wiskiej!...

— Bzura, Bzura! — powtarzał niepewnym głosem, Stadnicki.

— Zapomniałeś!? W Warszawie pod Karasiem!... Tyżeś tego... ja tamtego... skrobnąłeś mnie po ramieniu... potem zgoda!...

— Bodaj cię!... Prawda!... Na dwa dni przed wjazdem cesarza!...

— To, to! — podchwycił wesoło Bzura. — Mości panowie rekomenduję wam setnego kompana, rębacza całą gębą!... Takich nam tu trzeba! Upiję się!?... Hm!... Widzę, że tu cienko u waćpanów!... Lura! Nie po chrześciańsku witacie kolegów...

— Ba! Mój kochany!... Radaby dusza... Skąd?...

— Mości panowie — uwaga! Wracając z warty przechodziłem około wózka mamy Żubrowej! Spojrzałem na minę i szyję daję, że coś tam musi mieć!... Co tu długo się namyślać! Proponuję atak przypuścić!... Dowództwo oddaję Niewodowskiemu, który cieszy się największymi względami u „mamy...“

— Doskonale! Wybornie! Atak! — podchwycili ochoczo Kaliński i Niedzielski.

— Jeżeli Niewodowski prowadzi, zwycięstwo pewne! — wołał Pągowski. — Idziemy!...

— Tylko ostrożnie, żeby „mama“ nie zwąchała pisma nosem! Niewodowski pójdzie na rekonesans, za nim ja z Józiem, królem moim, niby przepytać się o nici i wosk... Ty, Kalińsiu z Pągowskim sforsujesz tył!... Niechcielski uważać będzie na zawartość wózka... Kapitan poprowadzi gości!...

— Wiwat Bzura!

— Tylko cicho! Znacie „mamę“. Jedno słowo niebaczne, i wypłoszycie worek malagi, a może xeresu! A na to się zanosi! Niewodowski naprzód! Ty masz łaski i względy...

— Mam być zdrajcą?!...

— Musisz, królu nasz!... Ja to wiem, że ciebie to będzie drogo kosztowało! Lecz nam za to tanio wypadnie!... Uwaga mości panowie! Należy przestrzedz tylko kolegów, że jakby zobaczyli Michałka, to na

miły Bóg — niechże pary z ust nie wypuszczą... boby nas sromotna konfuzya spotkała!... Pamiętajcie, co się mnie samemu przytrafiło!...

Oficerowie, śmiejąc się i żartując, ruszyli z baraku gromadkami w stronę, kędy na linii rozgraniczającej leże pierwszego, drugiego i trzeciego pułku legii — stał furgon markietanki.

Koło furgonu migała się tęga, przysadzista baba w dostatnim kaftanie, przypominającym barwę legii i w wielkiej chuście na głowie, okręconej na kształt turbanu. Przy furgonie kręcił się młody legionista i na komendę markietanki rąbał nawiezione drwa, rozniecał ognisko, a nastawiał kociołek z wodą.

Chwilami wzrok legionisty zanurzał się pod nakrycie furgonu, w cieniu którego rysowała się — dziwnie piękna a delikatna twarzyczka, wyglądająca z pod kaszkietu legionisty.

Markietance nie podobała się snać ta ciekawość żołnierza, bo pochwyciwszy go na spojrzeniu, wymierzonem pod płótno furgonu, zakrzyknęła oburzona:

— Pietrek! A będziesz ty mi... ognia pilnował!... Jak to nastawia kocioł!... Nie widzisz, że się gibocze! Skaranie!

— Pani Żubrowa!... Aby znów nie pomstujcie!

— Nie pomstujcie!... Juści mam z ciebie wyrękę... O! Widzisz... ośliska ledwie dyszą — jeszcze dwa dni — ogonami nie kiwną a kopyta wyciągną!...

— Będzie pieczyste! — zauważył wesoło żołnierz.

— Pietrek!... Skądże ci się taka gęba wzięła?...

— Pewnie, że gęba... bo mało kto mieć może takie gładkie liczko, jak nasz Michałko!

Markietanka poczerwieniała.

— Słuchaj Pietrek! — rzekła, wskazując na kiwającą się melancholijnie parę osłów. — Albo będziesz pilnował tych swoich kumotrów — albo, chociażem tylko bezbronna sierota — tak cię zamaluję, że przez tydzień do apelu nie staniesz!

— A przecież się tak nie sierdźcie, pani Żubrowa!... Bo, że mi się wasz Michałko udał, to jego wina, nie moja!... Toć cała legia śpiewa...

Markietanka jednym susem doskoczyła do legionisty.

— Co śpiewa? Powtórz! Jakem Muszyńska z domu!... Powtórz!...

Żołnierz, na widok groźnie zmarszczonej twarzy markietanki, usunął się pośpiesznie, nacisnął kaszkiet i jął poprawiać ognisko.

Żubrowa zwróciła się do furgonu i zajrzała do budy.

— Darujcie Pietrkowi! — ozwał się melodyjny głos z pod płótna.

— Hm! Darować, to darować! Według rozkazu!!... Ale co mu się kiedy dostanie, to dostanie! Tfy! lada ciura zęby szczerzy!... Rangi nie uszanuje! Żeby tu był nasz porucznik, albo i mój stary! Inaczej by szło!

— Pewnie! — odezwał się smutnie tenże głos.

— Gdzie tu! Ani poradzić!... Wóz pusty prawie!... Może lepiej byłoby przebrać się do francuskiej granicy!... Kiedy ani myśli!... Czekać trzeba!... To oblężenie licho wie kiedy się skończy!,.. Rozstąp się ziemio — siedź i pokutuj! Ani w lewo ani w prawo!... Dziś podobno mieli nasi oficerowie nadciągnąć z marszałkiem!... Kto wie!.. Może coś będą wiedzieli. Ba! i ułani siódmego pułku są!... Pietrek! Nie gap się, tylko rozpalaj ogień! Dałby Bóg!... Ani chybi do nas ściągną!... Moje szczęście, żem wczoraj z batalionem na furażowanie poszła!... Nie wiele tego jest!... Pokazać nawet nie można... Wychlapaliby, nicponie, do ostatniej kropelki!... Uf!... Chyba wypadnie znów dziś u pułkownika się zamówić!... Może który z adjutantów!

— Moja Żubrowo!... Lepiej nie wspominajcie!... Może znów napróżno!... Nie wiem sama — lecz od pewnego czasu smutne mnie przeczucia nękają!... Gdzie tu kogo odnaleźć w takiej zawierusze! A przytem na wojnę zażartą się zaniosło! Naszych ginie tysiące! Może... Nie!... Aż się boję wymówić... Chociaż przecież co dnia dziesiątki ludzi przepada na tych pustkowiach!...

— Co przepada? Jakto przepada?...

— Boże nie opuszczaj go! Strzeż!

— Pani kapitanowo! — zakrzyknęła energicznie markietanka. Co? Nasz porucznik?.. Do stu piorunów ani o tem myśleć się nie godzi!... Ho, ho! Słowo, to mur!... Powiedziane — skończone! Niema wykrętów!...

— Ale są kule!

— Ku-kule są?... No, są! Niech sobie będą!... Mało to jest rozmaitego mięsa!... Lecz od porucznika naszego — wara!... Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi!... A toć jest w niebie sprawiedliwość. Nie mówię, żeby tam mnie gdzie potrąciło — już to człek sobie rzetelnie zasłużył... ale co porucznika! Jużbym chyba... Tfy! język człowiekowi na myśl samą kołkowacieje! Porucznika naszego... Toż się chyba taka podła nie narodziła... Panie Boże odpuść... święty Antoni już nas nie opuszczaj! Licho nas tu przyniosło, ale Ty nas wyprowadź!...

Markietanka otarła nieznacznie twarz rękawem i odsapnęła ciężko.

Wtem, od ogniska rozległ się donośny okrzyk Pietrka.

— Pani Żubrowa, porucznik!

Markietanka zatoczyła się na nogach.

— W imię Ojca i Syna!... Porucznik Niewodowski idzie.

— Zasunę się! Powiedzcie, że śpię...

— Wola pani kapitanowej!... Choć on tam znów nie taki straszny! Poczciwa dusza! Oczy mu się świecą! W tem jego kawalerska rzecz... Oskomę próżną sobie czyni!

Niewodowski pozdrowił wesoło markietankę.

— Jak się macie, pani Żubrowa?

— Mam się! — ucięła krótko baba.

— A Michałko?

— Chrapie!...

— Coś mi krzywi jesteście?

— Panu porucznikowi?... Sobiem krzywa... Bieda z nędzą i tyle!... Nawet dziś pukaniny niema! Zi-

mować tu chcecie? Malowane wojsko! Ani w lewo, ani w prawo!

— Marszałek przyjechał!...

— Nowina! Toż ci było trąbienia a bębnienia, mało uszy nie popuchły!

— Hę, hę! Pani Żubrowa coś warzy dzisiaj! Furaże były wczoraj dobre?

— Jak zawsze! Bijatyka, hałasy, a w końcu w naręczebyś zabrał wszystko!... Wyłapali znów osłów co niemiara! Widzi mi się, że jak nowy marszałek także oślina zacznie się karmić, to my tu i za rok nic nie zwojujemy!

— Prawda, prawda!... Nie ma tam pani Żubrowa jakiej manierki pod ręką?

— Manierki?

— Coś mi dolega... Nie wiem!...

Markietanka pokiwała głową.

— Mówiłam, przestrzegałam!... Jak wejdziesz między wrony — krakaj jak i one. Nie darmo te czarne dyabły bez mała prześcieradłami się przepasują!... To im grzeje wnętrza!... A u nas ci dnia niema, żeby kogoś kolka madrycka nie sparła!... Dolega? Hm — bardzo dolega?

— Ledwie tchu mogę złapać!...

— Czekajże waćpan! Tak cię przecież zostawić nie mogę! Ani myśli!

Baba zakrzątała się koło furgonu. Wyciągnęła kubek z puzderka, wypłukała wodą, wytarła czysto, a potem z pod siana wyciągnęła brzuchatą sakwę z koziej skóry — wyciągnęła ołowianą zatyczkę i strumień rubinowego napoju trysnął do kubka.

— Widzisz waćpan!... Jak dokuczy, to się zawsze u Żubrowej pożywić można! Rozgrzeje was rzetelnie — po wypiciu jeszcze się płaszczem okręcić i na posłanie!... Podwójna gorączka kolkę przejmie i zmoże!... Co mówicie? Hę?

Żubrowa podniosła oczy w stronę, kędy stał Niewodowski i nogi pod nią się ugięły z przerażenia — zobaczyła tuż przed sobą pucołowatą twarz Bzury i wyniosłą postać Stadnickiego.

— Sługa pokorny mamy dobrodziejki! — zawołał wesoło Bzura.

— Co, czego to? — mruczała baba, usiłując ukryć sakwę z winem.

— Nic, kolka — królowo moja! O!... Przecież wam to zawadza!... Dajcie ja potrzymam!...

Markietanka rzuciła się w tył.

— A to skaranie istne! Licho jakieś waćpana przyniosło! Ani kroku dalej!...

— Mamo dobrodziejko!...

— Dalej! Fora ze dwora!...

— Kolka!...

— Idźże do ambulansu! Niech wam stary Gulicz da dryakwi!

— Kruszynkę!... Królowo!...

— Ani kropli!... Święty Antoni! Toż ich się cały regiment jawi! Pani kap... Michałko! Baczność na tyle pozycyi!...

Żubrowa wsunęła się pod płótno furgonu, tak, że zasłoniła w nim cały otwór. Porucznicy z kapitanem Rybińskim, śmiejąc się i żartując, zacieśniali pierścień około markietanki. Bzura wciąż parlamentował

— Królowo! wejrzyj miłosiernem okiem na sromotną pustkę!... Po kapeczce!...

— Nie dam! Nie mam!... Ilu waćpanów?... Dwóch, czterech, sześciu, dziesięciu... Ani myśli. Jakem Muszyńska z domu! Gdzie? Skąd?... Wody chyba z pieprzem!...

— Krewniakowi nie odmawiaj!...

— Komu? Jakiemu krewniakowi?...

— Przecież mówiłem... jeden Bzura o mały włos nie pojął za żonę Muszyńskiej...

— Niech mu będzie na zdrowie! Dobrze zrobił — despekt mnie ominął!...

— Królowo! Patrz, ilu zacnych młodzieńców stoi przed tobą!...

— Pani Żubrowa! — ozwał się Kaliński. — Jeżeli nie, to choć uszanuj przybyłych świeżo do legii to-

warzyszów, niechże złego nie mają o tobie mniemania!...

— Pewnie, psia mać! — huknął basem Stadnicki. — A nie, to szturm: za dwie minuty furgon nasz!...

— Wiwat! Albo — albo! Wybierajcie! — odezwały się głosy.

— Ehe! Więc to tak?... Taka cnota przyjechała... Hola — waćpanowie — nic! Niema! A to szarańcza istna! Czy to ja mam winnicę pod nosem?... Kawalerya jeden w drugiego jak dęby — a miast samym głową nakręcić, to ci do mnie!...

— Przecież nikt darmo nie chce.

— Darmo. Masz mości Strumiłło napoleony, to je sobie jedz, bo co u mnie sklepik zamknięty...

Porucznicy spojrzeli po sobie zbici z tropu. Jeden Bzura nie tracił fantazyi, oparł się o furgon i szepnął półgłosem:

— Et, żeby tu był imć Żubr!

Markietanka westchnęła ciężko.

— Byłoby inaczej — ciągnął Bzura.

— Pewnie! Garść miał taką uchwytną, że respekt czuj...

— Co tam garść; człek poczciwy! Krzywdyby nikomu nie zrobił!...

— Oj, święta prawda! Mój stary... Gdzie on teraz nieborak?...

— I samby pewnie powiedział: Daj im, nie skąp! Bieda z nędzą... Czczo w sercu, w gębie, w żołądku!...

— I zelgałeś waćpan! Bo co mój stary do gadania nie był! No, ale co tam... ma być nędza... — to i ten garniec ją nie uratuje... Po kubeczku!... Niech tam — inaczej wam się, panowie oficerzy, nie opędzę.

— Wiwat, nasza Żubrowa!...

— Zatracone to, szalone! Hej! Pietrek, a wypłuknijno kubki! Zwijaj się żywo!

Porucznicy, śmiejąc się i żartując, porozsiadali się około ogniska. Markietanka przecierała kubki a rozlewała wino.

— Czary, dalipan! — mruczał kapitan Rybiński. — Gdzie u marszałków w kredensie chuda fara — ale co u pani Żubrowej... wszystko się znajdzie!... Kiedybyś nie zajrzał!...

— Ba! Człowiek też, dzięki Bogu, ma głowę na karku!...

— A Michałka w furgonie! — dorzucił Bzura.

Markietanka pogroziła mu palcem.

— Co tego to nie lubię!... Ja waćpanu do tornistra, ani do mantelzaków nie zaglądam!

— Zdrowie naszej markietanki! — przerwał wesoło Kaliński.

— Wiwat!...

— Hola! Zaraz!... Nie jestem kaleką! Niechże się trącę!...

Baba schwyciła za kwartę — nalała sobie wina i pociągnęła mocno.

— Królowo! Z nóg nam się zwalisz!...

— Przedni trunek! Grzeje, psia mać!...

— Zdrowie naszych towarzyszów! Niech żyją szwoleżerzy!

— Widzisz, królowo!... Panowie porucznicy do nas prosto z gwardyi!...

Baba strzepnęła rękoma.

— Co powiadacie? Szwoleżerzy!... Gwardya!... Święty Antoni!... To .. to może waćpanowie znacie... rety!... kapitana... Dziewanowskiego?...

— Byliśmy pod nim!

— Jezusie! Gdzie? Rozstąp się ziemio!... Pani kapit... Bodaj mi język kołkiem stanął... Michałku! A tfy!... Kapitana Dziewanowskiego podkomendni!... Górą nasza!...

Baba śmiała się przez łzy, a podskakiwała z uciechy. Porucznicy patrzyli, nie rozumiejąc wybuchu radości. Żubrowa tymczasem dopadła Stadnickiego.

— Mówże mi waćpan! Gdzież jest?... No, dalej, co tam! Masz pusty kubek! Daj, niech ci leję!... Więc... jest w szwoleżerach? Co?... Mówże waćpan!

Stadnicki nasępił się.

— I cóż wam powiem... psia mać! Zacna dusza!... Żołnierz, choćbyś szukał, drugiego nie znajdziesz!... Kochaliśmy go jak ojca, jak brata... Nigdy o sobie, zawsze o innych myślał!...

— Gdzież, gdzież on?...

— Cha! Cóż szarża... zwaliło go!...

Markietanka odsapnęła ciężko:

— Mówcie, panie poruczniku!... Wszystko!...

Oficerowie skupili się około Stadnickiego.

— Krótkie moje opowiadanie będzie!... Słyszeliście o tym piekielnym wąwozie?... Pół szwadronu poszło w strzępy! Dziewanowski prowadził trzecią kompanię na froncie. Łomot! Chlasnęła mu kula nogę. Jeszcze rwał na bateryę! Hiszpanie plunęli z armat w same oczy. Granat strzaskał mu ramię! Nadjechał cesarz... Wzięli do ambulansu. Krzyż oficerski, szlufy pułkownika, dożywocie, opieka niby, złota garściami — wszystko było — tylko na te nagrody życia nie stało.

Stadnicki urwał nagle, szarpiąc bokobrody. Słuchacze zapadli w ponure milczenie.

Naraz, po za nimi rozległ się głuchy jęk. Tuż przy furgonie chwiała się bezwładnie drobna postać młodego legionisty.

Markietanka z krzykiem rzuciła się z pomocą — porucznicy porwali się na nogi. Młodemu żołnierzowi wlano w usta wina, zwilżono mu skronie wodą, rozluźniono opięty kołnierz pod szyją.

Legionista odzyskał przytomność. Żubrowa jeszcze nie mogła się uspokoić.

— Olaboga! Tyle nieszczęścia!... Biedna sierota!... Tożem się dopytała!... Święty Antoni, za grosz w starym łbie niema zastanowienia!... Naści jeszcze wina!... Jakie to blade biedactwo! Dycha sobie!... Ooo!... Czegóż się tak waćpanowie gapicie... sacrebleu?!...

Porucznicy stali nieporuszeni — pochłonięci niezwykłym widokiem, który oczom ich się przedstawiał.

Chłopięca twarz młodego legionisty wydawała im się z początku tylko dziwnie delikatną, niezwykle

pociągającą, lecz gdy w miarę odzyskiwania przytomności zabarwiła się rumieńcem, gdy przysłonione długiemi, ciemnemi rzęsami oczy zadrgały życiem, a z pod osuniętego kaszkietu wychylił się promień lśniących, ciemnych włosów — porucznicy spojrzeli w milczącem zdumieniu po sobie.

Tu oto, na tem pustkowiu hiszpańskiem, pod strzałami zaciętych Saragossan — z żołnierskiego munduru wychylała się ku nim postać pięknego jak sen dziewczęcia. Dziewczęcia, którego każdy rys twarzy, każde żyłki drgnienie i te usta wpół rozchylone, jakby w pocałunku anielskim, i to czoło jasne, wyniosłe — mówiły do nich: sarmatką jestem!

Ciżba myśli przesunęła się przez mózgi zapatrzonych oficerów — aż wystrzeliła skrami. Ten i ów sięgnął do wąsa. Rozjaśniały się twarze, brząkały pałasze, ogniste spojrzenia ścigały zgrabnego żołnierzyka.

Młody legionista pod wpływem tych spojrzeń drgnął i podniósł się... Kaszkiet zesunął się i zawisł na podpince — a z pod niego już fala włosów spłynęła na ramiona żołnierza.

Bzura aż cmoknął przeciągle. Uśmiechy rozpogodziły twarze oficerów. Jedna markietanka, spostrzegłszy co się dzieje, załamała ręce.

— Królowo moja! — odezwał się pierwszy Bzura. — Toś nam figla zgotowała! Taki marcepan chować w tej budzie!...

— Co marcepan? Co marcepan!... Święty Antoni! Jakem Muszyńska z domu! Masz dyable kaftan!...

— He, he! Nie wypierajmy się!... Miałem dobre przeczucie!... Michałko!...

— Całuj psa w nos!...

— Niema gniewu!...

— Zuch markietanka!...

— Dawać mi tego żołnierzyka do plutonu!...

— Dobra nasza!...

— Niech żyje legia!

— Za zdrowie, psia mać!... Wina!

— Panowie! do licha!... Wykup nam się należy!... Po buziaku każdemu!...

— Po buziaku!...

Między oficerami ruch się wszczął, koło ich zaciskało się coraz silniej. Śmielsi skradać się jęli. Żubrowa osłaniała dziewczynę i opędzała się z rozpaczą.

— A wara!... A zasię!... A wy filistyny!... Nie dla was!.. Święty Antoni!... Zapomnę o subordynacyi i jakem bezbronna sierota — walnę!...

— Bij królowo! Nie żal guza wziąć za taki specyał!..

— Wykup, wykup nam się należy!...

Bzura skulił się i już był podsunął się za plecy dziewczęcia, by skraść mu całusa, gdy ta zerwała się jak łania spłoszona, dumnie podniosła główkę i rzuciła spokojnie:

— Może choć przez pamięć dla brata mego, Jana Dziewanowskiego, uszanujecie mnie waćpanowie!...

Słowa te jak grom padły na rozochoconą młodzież. Porucznicy zmieszali się i cofać się zaczęli, straciwszy nagle rezon i wigor. Aż pierwszy Stadnicki podniósł głowę i huknął zapalczywie:

— Mości panowie! Dosyć! Dziewanowski!... Jeżeli kto, psia mać... to te pięście poczuje!... Ani słowa! Nie lubię, psia mać!...

— A niechże waści Bóg da zdrowie! Znalazła się poczciwa dusza!... Święty Antoni, a już ci do pacierza jedno „Zdrowaś“ dołożę!... Lamparty!... Rozbójniki! Chce jeden z drugim całować — to naści... Jest gęba jak donica! A co mój stary, nieborak poczciwina... zazdrosnym nie będzie!...

— Królowo moja! Radbym — jeno modestya mi nie pozwala!...

— Waćpanowie, pozwólcie! — wmieszał się kapitan Rybiński, który był stał na uboczu i tej scenie się przyglądał. — Toć wiadomo wam o zakazie, który najsurowiej zabrania przechowywania niewiast w obozie!... Wy, Żubrowa, na wielkie niebezpieczeństwo narażacie i siebie i tę oto pannę! Lada chwila wieść może się rozznieść i będziecie pod strażą odstawieni...

— Panie kapitanie!... Toż chyba sprawiedliwości niema!... Mnie? Hę?!.. i tę niebogę?... Cóż to my

nie po Bożemu żyjemy? Toć wina, że biedactwo brata szukać przyszło?...

— Wierzę wam — wierzę!... Lecz się rozniesie!

— Kto rozniesie?... Cóż to, nie oficery wszystko? Szpiegi nas opadły? Kto rozniesie? Kto nie uszanuje nieszczęścia? Co o to jestem spokojna!...

— Dobrze mówi, dobrze! — zawołali porucznicy. — Ani pary z ust! Sekret, tajemnica! Słowo oficerskie!...

— Słowo! Słowo!

— Tylko się strzeżcie! — upomniał Rybiński. — A zdarzy się okazya, to uciekajcie stąd! Nie dla was miejsce!...

— Prawda, prawda! Żałość nas zagnała!... Mój stary! Pan porucznik!... Juści czekać nie będziemy!... Et! Co tam!... Kiedyście waćpanowie tacy!... Na zgodę!... Ostatnie cielę z obory za serca!... Mam tu jeszcze petercyment hiszpański — niby miód a małmazya, czyli muszkatel korzenny!... Przedni prawdziwie! Pietrek, kubki!...

Markietanka drugi wór skórzany z winem wyciągnęła. Porucznicy zasiedli znów. Zośka znikła pod nakryciem furgonu.

Ochota wracać zaczęła. Porucznicy wszczęli gwarną rozmowę — co chwila ścigając Żubrowę żartobliwemi uwagami. Markietanka odcinała się raźno, ani razu nie pozostając w odpowiedzi dłużną.

Oficerowie powoli jęli się rozchodzić, solennie przyrzekając dotrzymanie tajemnicy.

Żubrowa upatrzyła chwilę i odciągnęła na stronę Stadnickiego.

— Panie poruczniku! — rzekła gorąco. — Raz jeszcze dziękuję ci pokornie za poczciwe odezwanie...

— Hm! No cóż... niema, psia mać!... Dziewanowski! Et! Człowiek był...

— Ciszej przez Boga!...

— Dusza zacna!... Pięć dni się mordował, biedaczysko, amputowali mu nogę, rękę!... A on nic!... Śmiał się chwilami!... I precz rozprawiał... a tak, psia mać, rozprawiał, że ci serce rosło!... Niema go... psia mać...

— Święty Antoni!...
— Znaliście go?...
— Jakżeby!...
— No, nic! Wracać, psia mać!... Zabrać ją coprędzej... Gdzie! Nawet mogiłyby się jego nie dopytał!...
— Prawda, panie poruczniku, wracać!... Tylko bo... jakby tu powiedzieć?... Hm! Chyba prawdę!... Pan porucznik tak mi jakoś przypadł! Na wzrost, jak mój stary!... Zupełnie!... Bo to...
— No, co? Co takiego?
— Hm! Niby tak! Kapitan Dziewanowski był rodzono-stryjecznym i jedynym. Kochali się okrutnie z naszą kapitanową, lecz co my, tożeśmy przywędrowały naszego porucznika szukać, co podobno wyciągnął z Francuzami — ale dokąd i z jakim regimentem, ani rusz się dowiedzieć!...
— Cóż to za porucznik?...
— Gotartowski!...
— Ba! Szukaj wiatru w polu... W naszym pułku dwóch było Gotartowskich!...

Markietanka schwyciła Stadnickiego za ramię.

— Co waćpan powiadasz? Dwóch?...
— Obadwaj byli wachmistrzami!... Jednemu Marceli, a drugiemu... Floryan!
— Rany Boskie! Na miły Bóg ciszej!... Floryan? Wachmistrz!... To chyba inny!... Nasz porucznik w legii służył... potem kapitanem został...
— Więc ten sam, psia mać!...

Żubrowa poczerwieniała i chwyciła gwałtownie powietrza.

— Ten sam, Jezusie!... Smagły na obliczu... wąs do góry? Czupryna kędzierzawa nieco!...
— Wstrzemięźliwy w słowie? Pełen sentymentów!...
— Służbista okrutny!...
— Odwagi niepospolitej!
— Ma ciemną myszkę na lewym policzku!
— I mniejszą pod prawem okiem!...

Żubrowa zacisnęła nagle usta. Z oczu markietanki łzy trysnęły rzęsiste — a równocześnie szeroka jej twarz drgała zadowoleniem, szczęściem.

— Srybło moje... Juści on! Nasz porucznik!... Poczciwina! Kto mu tam mundur opatrzy! Kto o bieliźnie ma staranie? Kto pasik wygładzi? Święty Antoni, toż chyba do grobu Jezusowego pójdę... a kajać się zacznę, jako Bóg taką nam pociechę zesłał!... Bo to, poruczniku, sprawa nie lada! Niby tak ja, jak mój stary, ułożyliśmy sobie mieć dzieci! Co ja pletę!... Gdzie? Gdzie tedy jest regiment? Dziś się wynosimy! Guerillasy, dyabły, czorty, carramby, carraje — jakem bezbronna sierota — swoje zrobię, a kto mi dywersyę uczyni... Ale, bo... panie poruczniku, waszmość mi markotny?...

— Nic, psia mać!...

— Gdzież więc jest regiment?...

— Pono pod Madrytem!... na dwa podzielon oddziały!...

— Przy którym jest nasz porucznik?...

— Nie wiem!...

Żubrowa zbladła.

— Panie poruczniku!... Prawdę chcę wiedzieć, całą prawdę?... Co się stało?!... Był w szarży?!...

— Był!...

— Jezus, Marya! Ranny?!...

— Niewiadomo!

— Nie męczcie, przez litość!...

— Przepadł... zginął!... Po szarży szukaliśmy, nigdzie ani śladu! Może zapędziwszy się, samotrzeć się przedziera, może w ambulansie którym wypoczywa... może dostał się do niewoli!... Kto wie, psia mać!...

Żubrowa ponuro zwiesiła głowę, głos jej jasny, silny, zmienił się w szept.

— Na takiż mu koniec przyszło! Ani nad nim, ani nad tem dziewczęciem nie było zmiłowania!... Wszystko zginęło, przepadło!...

Po chwili milczenia markietanka stęknęła głucho:

— Waćpan zmiłuj się... niechże słuch o tem do niej nie dojdzie!... Do czasu może lepiej, aby nie wiedziała!...

— Zmówionymi sobie byli?

Żubrowa uśmiechnęła się gorzko.

— Co — zmówionymi! Takiego kochania świat może nie widział!... On ci sechł w oczach z gorącości serca a tęsknicy! A ona dotąd myślą nie ruszy, żeby o nim nie wspomnieć!... Powiadają, że jeno anieli w niebiesiech miłują się jako należy... Lecz co oni, to z nimi chyba szli w paragon! Tak, to tak, mości Żubrowo!... A mój stary! Boże... z nógby go chyba zwaliło!

— No, do licha, psia mać! Jest źle — ale tego... jeszcze desperować się nie godzi! A nuż, psia mać!

Markietanka potrząsnęła głową ponuro.

— Bóg zapłać waćpanu, Bóg zapłać! Ale wiem ja ci, co to znaczy przepadł! Wiem, co między tem rozbójstwem jest niewola! Ludzi tną piłami, rąbią na sztuki... ćwiartują!... Czasem lepiej niekiedy na polu ledz, śmierć rychłą sobie uprosić, niż się dostać żywym!...

— Różnie, różnie bywa!... Cóż, psia mać!... Liczcie na mnie!... Jakby co!... Dziewanowskiego kochałem, jak ojca, a Florek był mi bratem!... Co mogę — uczynię!... Wracać wam stąd co tchu!...

— Trzeba wracać!... Okazya się zdarzy... z pierwszym regimentem!... Boże, Boże! Aby siły stało, aby żałość nie złamała!... Lepiej — stokroć lepiej jej nie wiedzieć!...

— Cha, cha!... Witam imć porucznika, kochanku! — rozległ się po za plecami Stadnickiego rubaszny głos.

Stadnicki obejrzał się. O dwa kroki za nim stał gros-major Michałowski i uśmiechał się pogardliwie.

— Trafiliśmy już do mamy?... Panowie gwardya radzą sobie jak mogą!... Kubeczki, kozie skórki, winko, humorki, zdrowieńka, wiwaciki — choroba!... Co? hę?...

— Panie majorze!...

— Co — kochanku? Hę?... A Żubrowa dusi, dolewa, poi, częstuje! Co? Hę?...

— Panie majorze! Gdzie tu, czem? Koziem mlekiem, a oślim udźcem!...

— No — no! Pani Żubrowo! Znamy się, kochanku — znamy!... A cóż wasz chłopak?

— Słabowity, panie majorze!...

— Słabowity! Ananasik, gagatek, piecuch, mamin synek — choroba! Skończone! Mundur zdjąć i niech wraca, skąd przyszedł!... Niema zabawy!... Niema wyjątków!...

— Według rozkazu pana majora!... Juści taka tu jest uciecha, że psi lepszej nie mają!... Zdjąć, to zdjąć!...

— Hę?... Niezadowolenie, niehumor, kwasy, utyskiwania, szemranie — choroba!... Co tam, kochanku, jest co do wypicia?

— Dwa sagany wody!...

— Tfy!... Porucznikowie zrobili porządek? Co?... Przeszkodziłem waćpanu, mości Stadnicki?...

— Nie, majorze!... Właśnie ostatni mieszek kozi skończyliśmy!...

— Ostatni mieszek!... Tak, tak! Panowie gwardya potrafią kochanku! Mocne gardła, zaprawne, hartowne!...

Stadnicki zaciął zęby. Major puścił młynka i ciągnął dalej:

— Pierwszy krok do markietanki! Dobrze się zaczyna! Dobrze, kochanku!... To ciekawsze, niż nieprzyjacielska pozycya, niż fosy, przekopy, wały, miny — choroba!... Co?...

— Prawda majorze!

Michałowski szarpnął wąsa.

— Hę? Co, kochanku?...

— Że owe roboty oblężnicze licha warte, jeżeli od miesiąca Saragossa nie została zdobytą!...

— Hę?!... Taak!... Pewnie!... Dlatego też przysłali waćpanów! Co? hę!... Żeby spijać zapasy u markietanek!...

— Panie majorze!...

— Co takiego? Hę?

— Widzę, że mi przyjdzie dziś jeszcze prosić o dymisyę!

— Aha! Nie smakuje piechota! Co?

— Piechota? Nie!... Tylko przymówienia pana majora!

— Waćpan myślałeś, że cię tu będą głaskać, hołubić!...

— Do pioruna, nie, psia mać! — huknął Stadnicki. — Tylko szlufów moich nie wyskakałem na socyecie! A pan major swoje supozycye raczy zachować do czasu, gdy zobaczy mnie w ogniu!...

Major nie uraził się wcale. Dobył tabakierki, pociągnął potężny niuch tabaki, otrzepał nos kraciastą chustą i mruknął:

— Jurnie, kochanku! Dobrze! Hm! Bardzo dobrze!... Tylko ja tam w gwardye nie wierzę... a kawalerya u mnie, to panie na posyłki... Waćpanu nie odmawiam, kochanku!... Owszem!...

— Dziękuję panu majorowi!... Dziś złożę raport o uwolnienie!...

— Hę?!...

— Właśnie, psia... bo nie widzę, abym się tu na co mógł przydać! W pułku nauczono mnie iść na przebój!.. Tu wraz z piechotą za wiele zadufania i za mało rezultatów!... Pan major pozwoli się oddalić...

Stadnicki zawrócił się na pięcie, i przyłożywszy rękę do kaszkietu, odszedł.

Major stał przez chwilę, ścigając wzrokiem Stadnickiego, poczem odwrócił się nagle do markietanki i rzucił oschle:

— Jest tam co do wypicia?...

— Kwaterka koziego mleka! według rozkazu...

— Wypili, kochanku? Smoki!...

— Co do kropelki!... Niech im będzie na zdrowie! Miało się komu innemu dostać — lepiej, że się porucznicy uraczyli!...

— Lepiej? Hę?... Kochanku!... Nieporządek! Zobaczymy, zobaczymy!...

— Dudka na kościele! — bąknęła baba.

— Co mówicie?

— Że... z panem majorem ciężki żywot!...

— Prawda? Co? Kochanku! Oho, ze mną!... Ani weź!... Nie podoba im się służba!... Piechota, kochanku!...

— Panie majorze! Naczelnik dywizyi wzywa go do siebie! — rozległ się dźwięczny głos młodego ordynansa.

Major machinalnie schwycił za guzy płaszcza i jął opatrywać obsuwający mu się pas.

— Idę, kochanku! Naczelnik!... Hm! Będzie robota!... Idę!... Żubrowa!...

— Co pan major rozkaże?

— Niema tam ani kropelki?

— Kwaterka, według rozkazu, koziego!...

Major machnął ręką niecierpliwie.

— Nie o to pytam się kochanku!... Tedy, Żubrowa... dziś wieczorem... do mnie zajdźcie... tam jest jeszcze jeden woreczek! Tylko, kochanku, szafować ostrożnie!... Którego kolka, ziąb, febra — pół, ćwierć kubeczka!... I ani mru mru! Sza! Pary z ust!...

— To się wie!

Major zawrócił ku kwaterze jenerała Huppeta. Żubrowa pokiwała znacząco głową.

— Kto go wie! Dyabeł wcielony. Zjadliwy, jak one robactwo hiszpańskie!... To znów!... Et! Kto go wie!... Dola!...

Twarz markietanki spochmurniała nagle. Spojrzała na budę furgonu i żałość ją chwyciła i targnęła nią. Naraz zabrakło odwagi markietance odezwać się do Zośki. Mocowała się z sobą, chciała dobyć głosu — nie mogła. Przykucnęła pod kołem na ziemi i ukryła twarz w dłoniach. W piersi Żubrowej odezwał się cichy chrobot. Tam bój wrzał, szarpał, rwał na kawały. Markietanka widziała przed sobą morze krwi, ognia!... Czemuż ona żyje?... Czemu na nią nie przyszła raczej pomsta niebieska?...

Prostacze serce Żubrowej nie mogło przenieść żalu — jęk cichy wstrząsnął jej ciałem. Zośka wyskoczyła z furgonu i stanęła przy markietance.

— Co wam, Żubrowa?... Co się stało?... Mówcie mi! Powiadajcie!...

— Nic — at... przyszło... nic!...

— Wy coś ukrywacie!... Mówcie! Najgorsza prawda lepszą jest zawsze!... Muszę wiedzieć! Żubrowa!...

Markietanka podniosła głowę, spojrzała w rozpalone niepokojem oczy Zośki i naraz moc w nią

jakaś dziwna wstąpiła. Porwała się na równe nogi i zawołała ostro:

— Tfy! Ot z przeproszeniem — babska natura staje czasem w człeku okrakiem!... Paniusieczko moja!... Jako żywo! Nic! Wspomniałam sobie na imć pana Dziewanowskiego!... Było czemu... choćby zapłakać!...

— Żubrowa — nie! Ja was znam! Wy coś!... Boże! Jakieś smutne przeczucie!...

— Nie, nie! — powtarzała markietanka, jakby we własnym głosie szukając mocy, siły, oparcia.

Zośka chwyciła Żubrowę za rękę.

— Słuchajcie! — rzekła — a... nie pytaliście ich o niego?... Ja chciałam, lecz taki mnie nagle zdjął strach, że bałam się wspomnieć, bałam imienia jego wymówić, bo mi się zdało... że z oczu zczeznąć może ten urok słodki, to jedyne moje szczęście...

Żubrowa kiwnęła głową.

— Więc pytaliście się? I... cóż?

— Jest podobno w ułanach księcia Bergu!

— Żubrowa! — powtórzyła groźnie Zośka. — Muszę wiedzieć prawdę!

Markietanka poczerwieniała nagle i huknęła z impetem, bijąc się w piersi:

— Prawdę powiedziałam... niech mnie!... W ułanach książęcych jest... lecz niewiadomo, gdzie przebywa, bo ułani zawrócili za marszałkiem... może do nowego królestwa neapolitańskiego!... Szczera prawda! Cha! Toć imć Stadnicki — wszyscy poświadczą!... Gdzieżbym śmiała panią kapitanowę!... Niech mnie dyabli porwą, do krocset milionów bomb, granatów!... A tfy! Złocista moja, śrebrna!... Tylko niby tego — z pierwszym regimentem zawracamy także... bo co?... Tu?... Po co — na co!... Byle do granicy, a potem już bodaj samotrzeć docłapiemy się!... Jako żywo!... No i tego... A jakże... Niech mnie!...

Zofia westchnęła ciężko.

— Daj Boże, aby wasze słowa się sprawdziły!...

— Muszą się sprawdzić!... Inaczej ani myśli! Powiedziałam!... Pani kapitanowa — nasz porucznik...

Jezus, Marya! Cha!... O trąbią! Dalipan trąbią!... Może szarpi trzeba nagotować... Polecę, dowiem się!

Zanim Zofia zdołała odpowiedzieć, markietanka jak kula zaczęła się toczyć w stronę sygnałów.

Żubrowa biegła co sił, byle uciec przed smutnem spojrzeniem Zośki, które jej duszę wypatrywało. Z ust markietanki wyrywały się co chwila słowa głuchego buntu na los, na świat cały.

— Cieszcie się dyabły, zatracone!... Bodaj was pokurczyło!... Będę łgała, będę kłamała!... Święty Antoni, jakem Muszyńska z domu... kwita z przyjaźni!... Pytałam się i dopytałam! Wolej niech mnie na rożnie pieką, niżby moja kapitanowa łezkę uronić miała!... Oj, żeby mój stary był!... Stało się! Chyba się zatchnę! Niechże się to skończy piekłu na uciechę! Uf!... Byle już się więcej nie pytała!... Zadławię się chyba!...

W obozie francuskim trąbki grały długo, przeciągle na zbór żołnierzy. Na liniach obozowych wyciągały się czarne wstęgi batalionów i zlewały się w pułki, w dywizye. Generałowie objeżdżali szeregi, oczekując na Lannesa.

Marszałek nadjechał wreszcie, mając obok siebie Monceya i Mortiera. Pozdrowił lakonicznie pułki, przebiegł szybko szeregi, unikając wszelkich ostentacyjnych powitań i, rzuciwszy krótkie, ostre rozkazy, aby na dzień następny pułki gotowe były do boju, zawrócił do kwatery. Wstęgi na liniach obozowych zaczęły niknąć powoli, topnieć.

Stadnicki wraz z towarzyszami z nim przybyłymi, po przeglądzie skierował się do baraku, aby z pełnego rynsztunku się uwolnić i coprędzej pułkownikowi się zameldować. Stadnicki dotąd trwał w postanowieniu natychmiastowego podania się do uwolnienia. Stosunek z tym majorem złośliwym a dokuczliwym wydał mu się niepodobieństwem. Lepiej do kraju wrócić — i tam przecież ludzi potrzebują — niż tu zmarnieć w piechocie.

Jaworski i Strumiłło tłómaczyli Stadnickiemu, aby choć czas jakiś się wstrzymał, lecz ten słuchać nie chciał.

— Ani myśli, psia mać! Ani chwili! Nie chcę się doczekać awantury, a przecież z tą osą zjadliwą o nią nie trudno! Już mnie garść świerzbiała! Lepiej ustąpić.

Stadnicki zmienił co tchu mundur i stanął przed namiotem pułkownika Kąsinowskiego — meldując się dyżurnemu oficerowi, że sprawa gwałtowna zmusza go prosić o posłuchanie.

Kąsinowski był zajęty właśnie z majorem Michałowskim rozpatrywaniem rozkazów nadeszłych od generała Huppeta — gdy mu ordynans zameldował porucznika Stadnickiego.

— Co to za Stadnicki? — zagadnął niecierpliwie Kąsinowski.

— Ba — fiu, kochanku! Szwoleżer, gwardzista, zawadyaka, paniczyk — choroba!... Dziś przybył... właśnie w raporcie jest jego nominacya! Co my tu z nimi będziemy robili! Nieład, zamieszanie, butne to, pewne siebie phi... konnica!... Choroba!...

— Zobaczymy, zobaczymy! Może się i z nich ognia wykrzesze! Szwoleżerzy sławą się okryli! Wprowadzić!

Stadnicki stanął wyprostowany przed pułkownikiem.

— Cóż mi powiesz mości poruczniku?...

— Przyszedłem prosić o uwolnienie mnie z pułku!

— Dla powodu?

Stadnicki poczerwieniał nagle — pasował się przez chwilę, aż w końcu wybuchnął:

— Bo... panie pułkowniku... widzę, że tu nie dla mnie miejsce!... Zaledwie mantelzaki rozpakować zdążyłem — już bez przyczyny... dowiedziałem się... że tu czeka mnie tylko kpina... psia mać... krwawo zapracowałem na te szlufy!

Kąsinowski zachmurzył się. Major bębnił palcami po tabakierze i mruczał coś pod nosem. Pułkownik odezwał się oschle po małej pauzie:

— Skarga! niezadowolenie! Skądże waćpan do tych mniemań doszedłeś?...

— Pan major raczył mnie w nich utwierdzić!...

— Skończone! Prośba waćpana będzie uwzględnioną! Nie znoszę w pułku kwasów! Dopóki jednak naczelnik dywizyi i marszałek nie zatwierdzą uwolnienia, zechcesz waćpan pamiętać o swoich obowiązkach!...

— Pułkowniku! — wmieszał się major. — Pozwól, kochanku! Mnie imć pan Stadnicki zgoła niepotrzebny!... Nawet proponuję go wykluczyć z dzisiejszego losowania! Nużby wyciągnął gałkę na parlamentarza! Gotówby myśleć, że mu i to major na złość zrobił, żeby go tam Hiszpanie posiekali!... Choroba, kochanku!...

— Powiedziałem raz! — przerwał pułkownik. — Nie chcę waćpanu despektu czynić, choć na tobyś zasługiwał! Dopóki niema rozkazu — prawa są jedne!...

— Panie pułkowniku! Jeżeli łaska — to prosiłbym właśnie o zwolnienie mnie od losowania!...

— Hm! Tak? Nie chcesz ryzykować, obawiasz się kusić licha? U mnie niema niewoli!... Nie brak zacnych żołnierzy!...

— Nie, panie pułkowniku!... Nie dlatego! Tylko ja w tej konnicy, którą tak lekceważy pan major, nauczyłem się iść na ochotnika! U nas losów nie ciągnięto, chyba, gdy nad potrzebę nazbyt wielka liczba wolontarzy się deklarowała, psia mać!...

— Jak to mam rozumieć?...

— Że... panie pułkowniku, jeżeli, jako wnioskuję, ono parlamentowanie tak ci ma być niebezpiecznem... to ja za odznakę będę je sobie poczytywał!

Kąsinowski spojrzał w jasną, otwartą twarz Stadnickiego i rzekł łagodniej:

— Powoli, nie za gorąco! Nie znasz niebezpieczeństwa! Tu junactwo nie na wiele ci się przyda!... Hiszpanie nie uznają praw wojennych!... Na wezwanie do poddania odpowiedzieć mogą... obwieszeniem parlamentarza!...

— Albo poćwiartowaniem! — dorzucił groźnie Michałowski.

— Niech spróbują! Nie cofam... i obligują pana pułkownika!... Nie mam na świecie nikogo! Przyjdzie, psia mać, niech przychodzi!... Jednym szwoleżerem będzie mniej!... Kapitanowi Dziewanowskiemu jeden wachmistrz przybędzie! Co inny ma po niewoli uczynić... ja na to z ochotą się piszę! A bodaj za te cierpkie słowa, które usłyszałem, należy mi się!...

— Dobrze! — odparł krótko Kąsinowski. — Bądź waćpan gotów, za pół godziny zaprowadzę cię do głównej kwatery!...

Stadnicki skłonił się i wyszedł z namiotu, nie zwracając uwagi na wzburzone ruchy majora.

Wiadomość o tem, że jeden z nowoprzybyłych poruczników na ochotnika idzie na parlamentowanie, gruchnęła po legii. Zewsząd do baraku poruczników pierwszego pułku zaczęli ściągać oficerowie, aby się zbliska owemu desperatowi przyjrzeć — bezwątpienia po raz pierwszy i ostatni.

Jeden Stadnicki nie zdradzał niepokoju, ani zdenerwowania. Opatrywał spokojnie broń i nie zważał nawet na gorączkowe uwijanie się około niego Jaworskiego i Masłowskiego.

Z artyleryi przyprowadzono mu konia osiodłanego i wezwano do losowania trębaczy. Czarną gałkę wyciągnął szesnastoletni Duszek. Młody trębacz zbladł, przeżegnał się i dosiadł drugiego konia.

Kiedy Stadnickiemu okazano trębacza sygnalistę, który mu miał towarzyszyć, splunął z obrzydzeniem.

— Smyku, psia mać! — huknął ostro. — Jak ci na imię?

— Stach!

— Dąć potrafisz?

— Według rozkazu!

— Zagrasz mi „przepióreczkę“?

— Z przyśpiewkami?

Jakbyś wiedział!...

Duszkowi aż się oczy zaśmiały. Około Stadnickiego tumult się wzmagał. Wreszcie nadbiegł ordynans od pułkownika. Stadnicki ruszył za nim. Kąsinowski powiódł dalej Stadnickiego aż do kwatery marszałka.

Lannes zmierzył bystrym wzrokiem Stadnickiego.

— Przyjechałeś ze mną?

— Tak jest, ekscelencyo!...

— Nazwisko?

— Stadnicki!

— Oto papiery! Doręczysz je Palafoxowi! Zaczekasz na odpowiedź! Miej baczne oko na wszystko!... Zimna krew niech cię nie opuszcza!... Gdyby ci włos spadł z głowy, będziesz pomszczony! Ruszaj!

Stadnicki wyszedł. Adjutant wręczył mu białą chorągiew.

Na placówkach gromada oficerów czekała, aby raz jeszcze uścisnąć rękę Stadnickiego.

Pożegnania były serdeczne, lecz krótkie, dzień miał się ku schyłkowi.

Stadnicki wskoczył raźno na konia, za jego przykładem poszedł Duszek. Wiatr zatrzepotał fałdami godła pokoju. Porucznik zebrał cugle i już miał ruszyć, gdy naraz tuż przy nim ukazała się krępa postać majora.

— Jedziesz, kochanku?...

— Jadę, majorze!...

— Tego... więc tego... kochanku! — bąkał Michałowski. — Rozwaga, zastanowienie... tego... choroba!... Piechota, no, piechota! Ale i tego... szwoleżerzy... choroba, kochanku!... Zawzięte, zacięte, zatracone i... o!... Tabaki!... Dawaj tego... rękę, kochanku! Było to, było!... I tego!... Michałowski nie taki, choroba!... Bo co tam!

Major chrząknął groźnie i ujął Stadnickiego za rękę. Stadnicki odpowiedział tak gwałtownie na uścisk, że major aż syknął z bólu.

— Bywajcie, panowie!

— Z Bogiem!

Stadnicki szarpnął konia i ruszył wyciągniętym kłusem za przekopy. Duszek pocwałował za nim...

Czas jakiś jechali w milczeniu, kierując się z wierzchołka Monte Torrero ku bramie del Carmen.

Naraz Stadnicki posłyszał za sobą ciężkie westchnienie. Obrócił się pośpiesznie ku Duszkowi.

— Co ci to, psia mać?

— Nic, poruczniku! — odrzekł głucho trębacz.

— Nic! Oblatuje cię?... Głupstwo psia mać! Przeżegnaj się, a potem mnie się trzymaj!... Do pioruna, tak łatwo nas znów nie zjedzą!...

— Juści, panie poruczniku! — odrzekł z westchnieniem trębacz.

— Smyku — masz widzę zbytek tchu — zagrajże im, a od ucha!... Niech znają, psia mać!...

Duszek chwycił gorączkowo trąbkę i zagrał. Metaliczne dźwięki spłynęły ku położonej w dolinie nad Ebrem Saragossie, odbiły się o jej żółte ponure mury i dosięgły obozu francuskiego.

Duszek snuł melodyę za melodyą, wieniec tonów wił, łzy łączył z zapamiętaniem a weselem; rozterka z hartem a wolą się mięszała, zaduma rozpraszała się w pustocie, swywola tonęła w powadze.

Krakowiak rodził się z kujawiaka, kujawiak z mazura, dumka z poloneza, polonez z pobudki, pobudka z oberka, oberek z kołomyjki — a pieśń sięgała aż stóp Bogarodzicy.

Chłopięca twarz Duszka pobladła, usta mu posiniały, a on grał jeszcze.

Stadnicki poglądał co chwila na Duszka i mruczał pod nosem:

— Smyk, psia mać!... Bestya, płuca całe wygrał!... Nieboszczyk Norwiłł był nielada... ale ten nicpoń... psia mać, aż człowiekowi w pięście wlazł!...

Na obumarłych murach Saragossy ukazało się kilka ciemnych postaci.

— Spostrzegli nas carraje! Nic! Graj im, Duszek... niech wiedzą, psia mać!...

Biała chorągiew zafurkotała silniej. Cichy pomruk powitał ją pod bramą del Carmen, kilkanaście luf pochyliło się, aby powitać wysłańców pokoju...

Stadnicki spojrzał z pod oka na błyszczące lufy i bąknął przez zęby:

— Naszpikują nas kulami, zanim gębę otworzym! Nic! Duszek... graj im! Bierz dyabli, co swoje!...

Tony zadrgały silniej, dźwięczniej.

Lufy karabinów czekały. Nagle między niemi zamieszanie powstało. Z poza załamu muru ukazał się kapelusz z czerwoną kokardą.

— Ani kroku dalej, bo zginiesz!

— Duszek, graj im, psia mać!...

— Dosyć! Czego chcecie? — ozwał się ten sam głos po francusku.

Stadnicki dał znak Duszkowi. Trąbka umilkła.

— Parlamentarz jego ekscelencyi marszałka Lannesa, dowódcy wojska francuskiego! — odrzekł basem Stadnicki.

— Z czem przybywacie?

— Pisanie do generała Palafoxa.

Na murach znów zerwał się pomruk zajadły, groźny — a równocześnie ostry, gwałtowny głos:

— Calla!...

Pomruk umilkł.

Za bramą rozległ się łoskot odwalanych kamieni i belek.

Duszek grał dalej. Aż szczęknęły wrzeciądze. Oficer hiszpański z plutonem żołnierzy stanął przed Stadnickim i salutował go. Stadnicki odpowiedział na ukłon.

— Ma pan pisanie do generała Palafoxa?

— Mam!

— Proszę je oddać!...

— Senior jesteś generałem?...

— Wszystko jedno — dawaj!...

— Ani myśli!... Mam je wręczyć generałowi i odpowiedź odebrać!...

— Palafox nie prowadzi układów! — rzucił dumnie Hiszpan. — Jeżeli nie oddasz dobrowolnie, zmuszę cię do tego!...

— Hola, mój panie!... Jestem parlamentarzem!...

— Nie uznajemy parlamentarzy!...

— Żarty!... Jesteście wojskiem, czy bandą? Duszek, graj im, psia mać!...

Hiszpan stropił się tą pewnością i spokojem Stadnickiego. Dał znak żołnierzom, aby otoczyli parlamentarza, poczem kazał zawiązać Stadnickiemu i Duszkowi oczy. Hiszpanie ujęli konie za uzdy i wprowadzili w mury.

Stadnicki siedział na koniu, słaniając się automatycznie. Chustka szczelnie zasłaniała mu oczy, lecz czuł i słyszał.

Czuł, jak koń jego ocierał się prawie o zwarte fale tłumu, wydającego groźne okrzyki, jak coś dookoła niego kotłuje się, jak otaczający go żołnierze razami torują mu drogę. W miarę zagłębiania się w mury Saragossy hałas się wzmagał, potężniał, rósł. W szalonym rozgwarze Stadnicki chwytał jakieś półdzikie melodye, nucone ochrypłym głosem, brzęk blach, stukot miarowy kastanietów, szczęk oręża, zgrzyt toczonych noży i głuche, przejmujące jęki, jakby dobywające się z pod ziemi.

Pan Józef, choć mężnego był serca, lecz tracił zwolna zimną krew. Już raz i drugi kamień dosięgnął go — kule przelatywać zaczęły nad jego głową, wywołując wybuchy szalonej radości śród tłumów.

— Psia mać, potępieńcy! — monologował porucznik. — Zaszlachtują człowieka pociemku!... Duszek, smyku! Zagrajże im, tym biesom zatraconym!...

Duszek chwycił za trąbkę.

Tłuszcza umilkła. Krakowiak opanował ją, zgłuszył wycia, swywolą niewinną a skocznością oczarował... Kastaniety jęły chwytać takt i wtórować.

Stadnicki odetchnął.

— Smyk! Szelma, sprawny!... Byłci jeden, co na flecie szczurom umiał do rozumu trafić... a ten... na trąbce sygnałowej potrafi!... Carramba!

Śród ciągłego kołysania się na koniu a odruchowych drgnień. chustka na czole Stadnickiego ściągnęła się i podskoczyła do góry. Wąski pas światła przedarł się do oczu porucznika.

Stadnicki po oswojeniu się z blaskiem, jął ostrożnie rozglądać się dookoła. Widok, który oczom się jego przedstawił, przejął go, zmroził.

Jechał właśnie wąską, zamurowaną uliczką, obramowaną dwoma rzędami wysokich domów o nielicznych a okratowanych oknach. Uliczka była tak zacieśnioną, że koń Stadnickiego musiał chwilami przeciskać się pod murem, żeby ominąć wylegających zewsząd Hiszpanów. Stosy kamieni, belek, połamanych wozów dwukołowych i gromady porzuconych rupieci, co krok tworzyły trudne do przebycia zawały.

Miejscami ulicę przegradzały bezkształtne kopce, z pod których wystawały zeschłe ręce, stopy, włosem pokryte czaszki. Czasem na takim kopcu tarzała się szara postać ludzka w śmiertelnych kurczach i własnemi rękoma ryła sobie mogiłę. Z ponurych sieni domostw — wyzierały wpółnagie ciała, okryte ledwie szmatami, a drgające jeszcze. Niekiedy w tłumie ukazywały się nosze, a na nich zwłoki przerzucone ledwie, chwiejące zaciśniętemi pięściami w takt ruchu tragarzy. Na obszerniejszych wgłębieniach uliczki siedziały gromady dzieci i z zaciekłością kręciły naboje, przesypywały proch i zakładały kule. Dzieci o twarzach wybladłych, zczerniałych, z jakiemiś fałdami groźnych zmarszczek na czołach.

Uliczką snuł się tłum — wynędzniały, o oczach zapadłych, błyszczących zapamiętaniem, rozpaczą — potrząsający hardo strzępami kolistych płaszczów, błyskający nożami — tłum zastygły w uczuciach, nędzą doprowadzony do znieczulenia.

Niemowlę napróżno szukało piersi matczynej, mąż obojętnie spoglądał, jak towarzyszka jego nikła w oczach, marła, syn nie ronił łez nad zwłokami ro-

dzica. Każdy ból, każdy jęk, skarga, cios był tu nowym bodźcem do odwetu, do zacieklejszego oporu.

Szarpały kule, rwały miny podziemne, głód trawił, zaraza skradała się już w zaułkach — Hiszpanie bronili się. Bronili się zajadle, wściekle, bohatersko!

Myśli o poddaniu nie było. A jeżeli gdziekolwiek pojawiła się dusza słabsza, serce nieskamieniałe jeszcze, to wówczas padała ofiarą straży bezpieczeństwa... śmiercią okupywała lęk, męką płaciła za każdy wyraz o zaniechaniu obrony.

Stadnicki patrzył i zdało mu się, że go mara ponura dręczy. Te krzyże, sterczące na ulicach, czerniejące na węgłach domów, a podnoszone ku niemu z błyskiem zemsty — te ciemne kaptury zakonników, którzy tłumowi przewodzili... a w końcu fale ludzkich ciał, pogrążonych w modlitwie, te koliska, które śród ogniska śmierci, niedoli ludzkiej wiły się w takt mandolin — śpiewając na własnych grobach — głosy chrapliwe, dzikie, pijane rozpaczą — przejęły porucznika zabobonną trwogą.

Stadnicki się przeżegnał. Biegnąca około niego rozpasana tłuszcza — umilkła nagle... Oficer, prowadzący parlamentarza, przyśpieszył kroku.

Stadnicki znalazł się na szerokiej ulicy Coso i stanął zatrzymany przed bramą starożytnego pałacu książąt de Luna.

Tu warta przeprowadziła porucznika na obszerny mozajkowy podwórzec, zdobny potężnemi kolumnami, pod których łukiem warczały kamienie płatnerzy. Wysłańcom francuskim zdjęto chusty z oczu.

Stadnicki odetchnął i spojrzał na Duszka. Trębacz był siny.

— Smyku, psia mać! Cóż, trzymaj się do licha!... Widzisz, nie zjedli nas!

Oficer hiszpański zmierzył groźnie wzrokiem Stadnickiego.

— Kawalerze! Ani słowa więcej, bo cię każę związać!...

— Ładne macie zwyczaje!...

— Milcz!

— Prowadź mnie do generała!

— Zobaczymy jeszcze — odparł hardo Hiszpan — czy generał zaszczyci cię!...

— Ja się też nie napraszam zaszczytu — tylko chcę spełnić rozkaz!... Sapristi! Parlamentarzem jestem!...

— I dlatego, żeby odemnie zależało, to kazałbym cię powiesić!

— Bodajś się udławił! — mruknął Stadnicki po polsku.

— Co mówisz?

— Że takiego, jak ty, kawalerze, oficera, kazałbym osmagać!...

Hiszpan porwał się do szpady.

— Słuchaj!... bo ja cię nauczę rozumu!

— Masz ochotę bezbronnego zadżgać? Zuch z ciebie!

Hiszpan zagryzł usta.

— Wy, Francuzi, jesteście mocni w języku!

— Pewnie! A wy, Portugalczycy, w nogach!...

— Nie jestem Portugalczykiem!...

— Ani ja Francuzem!...

Hiszpan spojrzał zdumiony na Stadnickiego.

— Nie jesteś Francuzem?...

— Nie, kawalerze!... Józef Stadnicki, jeżeli łaska — Polak!

— Polak?...

— Do usług — jeden z tych, którzy wam skóry nadpsuli pod Somo-Sierrą...

Hiszpan zamyślił się. Po przestanku rzekł cicho:

— Polak? Po coś tu przyszedł, ty i twoi bracia? Czego chcecie od nas? Czytałem dawno, że wy jesteście narodem uczciwym, dzielnym, szlachetnym. Co was skłoniło, aby z dalekiej północy najeżdżać ziemię... i zaciągać się pod sztandar tego łupiezcy!?...

Stadnicki poczerwieniał. Hiszpan zapalił się.

— My z wami nie walczymy! Myślą nie tknęliśmy waszej ziemi, między nami nie było ani razu zatargu... A wy przychodzicie tu jak zbóje płatni... najemnicy... i przykładacie rękę do naszego zniszczenia, chcecie nas oddać temu ciemiężycielowi, antychrystowi... co

nam zabrał prawego króla i napadł nas pod obłudną maską przyjaźni, a dziś krwią i ogniem chce nas karać za to, że broniliśmy i bronić będziemy naszych swobód, naszych kościołów, naszych praw!...

Stadnicki zatrząsł się.

— Dosyć, kawalerze! — huknął swym basem. — Majaczysz!... Nasz cesarz...

Hiszpan uśmiechnął się szyderczo.

— Bredzisz, kawalerze. Ten wasz cesarz...

Stadnicki zmarszczył się groźnie.

— Dosyć, ani słowa! Nie chcę słuchać!... Zmasakrujemy! rozbijemy! Cesarz do stu dyabłów i basta!... Melduj mnie swemu generałowi! Psia mać!...

— Nie napieraj się tak bardzo, żebyś nie żałował potem!... Rada zbierze się najpierw i orzeknie, czy godzi się przyjąć wogóle pismo najezdniczego generała.

Stadnicki wzruszył ramionami pogardliwie i zadumał się.

W obszernej sali starożytnego pałacu książąt de Luna zbierała się tymczasem rada wojenna. Około stołu zasiedli już generałowie Don Filipe de San March, San Genis, Versage, Vilalba, Butron, Don Manuel Cavallero, Manso i Esteban Fleury.

Cisza ponura panowała wśród zgromadzonych. Czekano na Palafoxa, poglądając ku drzwiom. Palafox opóźniał się z przybyciem.

Żywy a niecierpliwy Butron ozwał się pierwszy:

— Czy dano znać Don Josemu?

— Przed chwilą się z nim rozstałem! — objaśnił generał Manso. — Poszedł na nabożeństwo wieczorne, lada chwila powróci!...

— Nie wiadomo panom, z czem przybywa parlamentarz?... — zagadnął niespokojnie San Genis.

— Łatwo odgadnąć! — odparł sucho generał artyleryi, Villalba. — Wzywają nas do złożenia broni...

— Nigdy! Za nic!... Raczej śmierć! — zawołał gorączkowo Butron. — Zginiemy raczej!... Jak śmią nam ubliżające stawiać propozycye? Na pal parlamentarza!...

Głos Butrona przebrzmiał śród sklepień sali rycerskiej. Generałowie zasępili się. Manso odezwał się po chwili cicho:

— Butron ma słuszność! Tak powinniśmy postąpić... lecz w Saragossie... są starcy, kobiety i... dzieci!... Głód nas porze!... Zaraza coraz zajadlej wybucha.. Zginiemy wszyscy bez walki!... Prochu coraz mniej... brak saletry!... Ojcowie wypłukują ją z błota, skrobią mury!... Nie są w stanie wyrównać ubytku!...

— Mamy noże!...

— Butronie! — rzekł z kolei San March. — Dobrześ powiedział!... Ale... czy starczy nam sił na podniesienie ich! Żołnierz wyczerpany... Ludzi na zmianę niema! Z murów nie schodzimy! Ojczyzną naszą jest Hiszpania!... Gdzieindziej moglibyśmy bronić jej skuteczniej, z większem powodzeniem i skutkiem!... Gdy legniemy na gruzach Saragossy, co stanie się z ojczyzną?... Serca słabną w ludzie!... Francuzi przebiegają kraj cały!... Patrzcie!... Bracia naszego wodza Don Francisco i margrabia de Lazan mieli na wypadek oblężenia przyprowadzić odsiecz!... Że chcieli dotrzymać przyrzeczenia, o tem nie wątpię... ale co z nimi się stało? Oby ich Bóg ochronił od klęski!

— Gdyby Don Esteban był poza murami, jak wówczas podczas pierwszego oblężenia! — wtrącił Manso, poglądając na Fleurego.

— Są dziś inni! — rzekł skromnie Don Esteban. — Że są, to przecież słyszycie wszyscy! Nocy — dnia niema, by na tyłach nieprzyjaciela nie rozlegały się strzały!... Lada chwila pomoc nadejść może...

— Czy nie należałoby się obawiać ludu naszego? — rzucił jeszcze generał Manso.

Butron porwał się z za stołu.

— Ludu?... Nie słyszycie, co przed pałacem się dzieje?...

Generałowie umilkli. Poprzez kwadratowe okna sali szedł szmer głuchy, złowróżbny, zajadły.

— Słyszycie? Lud żąda śmierci wysłańców francuskich!...

— Słusznie! — podchwycił Don Esteban.

— Panowie! — upominał Manso. — Jesteśmy żołnierzami.

— Śmierć! Niema praw! Niema względów! — rozległy się pojedyńcze głosy. — Muszą zginąć!

Rozgwar się wzmagał. Iskry z oczu zaczęły padać, krzyżować się. Brwi ściągały się ponuro.

Wtem drzwi otwarły się z trzaskiem — wszedł Palafox, i cisza zapadła — oczy wszystkich zwróciły się ku wodzowi.

Palafox szedł z głową hardo wzniesioną, z błyskawicami w ciemnych, palących oczach, z chmurami na wyniosłem czole. Ściągła, śniada jego twarz biła siłą, hartem i odwagą. W tych łukach brwi, w rozwichrzonej bezładnie czuprynie, w tem czole wypukłem było coś z bohaterstwa i coś z męczeństwa. Palafox szedł ociężale, lecz sprężyście. Idąc, pochylał się niby pod brzemieniem strasznej odpowiedzialności, którą dźwigał na barkach. Tylko wzrok, tylko te oczy ciemne rzucały ognie, przenikały serca i paliły — mieszkała w nich dusza narodu.

Palafox był aniołem i był mocą, był nadzieją, był krynicą, w której Aragończyk — „baturro“ czerpał odwagę i męstwo. Gdzie Palafox stąpił, tam ustawał głód, topniała rozpacz — zwątpienie nikło.

Palafox jednem ukazaniem się swojem uciszał szemranie, lękliwych zamieniał w lwy, odważnych przeistaczał w bohaterów.

Dowództwa swego nie wziął z dekretu Ferdynanda ani Karola, lecz z Boskiego przeznaczenia, które jego serce rozogniło miłością. Kapitan gwardyi królewskiej — w dniu najścia ojczyzny wdział na się męczeńskie szaty żołnierza ziemi i rzucił się na zastępy francuskie.

— Z Palafoxem — mówił lud — był Bóg.

Był. Bo w rycerzu tym ani razu nie postała myśl nikczemna, mała, bo Palafox raz stawszy się wodzem niepodległości, pozostał nim, bo wszystkiego chciał i żądał dla gór, dolin, lasów i gajów, które go wydały — nic dla siebie, bo choć zapłacono mu

żółcią i złością, lecz on spłynął i przetrwał w pieśni ludu hiszpańskiego.

O Palafoxie nie mówiono ani „generał“ — ani „markiz“ — ani „grand“ — ani „hrabia“ — ani „szlachcic“. Jedno nazwisko „Palafox“ starczyło. Gdy lud komu mówi — „ty“ — gdy odrzuca tytuły, gdy zapomina o wszystkich innych, którzy też samo imię noszą — to bije czołem, buduje pomnik, przenosi w nieśmiertelność.

Napoleon był jeden — i jeden był Palafox!

Palafox zasiadł między radą, powiódł wzrokiem po zebranych i ozwał się spokojnie:

— Butronie!... z czemże przybył posłaniec francuski?

— Nie wiem!... Czekaliśmy na ciebie, aby najpierw postanowić, czy go nam przyjąć należy...

— Myślicie więc...

— Myślimy — rzekł ponuro Butron, spoglądając groźnie na generała San March — że bez wysłuchania należy go wbić na pal!... Będzie to najwłaściwsza odpowiedź! Za ubliżenie poczytuję sobie wszelkie wdawanie się z Francuzami!... Powinni byli zrozumieć, że nie masz takiej przyczyny, któraby mogła skłonić nas do poddania!

Palafox potrząsnął głową. Generałowie śledzili każde drgnienie jego twarzy.

— Czy ma kto z was co więcej do powiedzenia?

— Nie! — rzucił szybko Butron. — Między nami takich niema!...

— Mylisz się! — przerwał zimno Palafox. — Ja „takim“ jestem!...

— José! — szepnął Butron z wyrzutem.

— Wysłańców trzeba przyjąć, wysłuchać ich i puścić wolnych z odpowiedzią!... Śmierć dwóch ludzi bezbronnych zaszczytu nam nie przyniesie, ani korzyści! A bądź co bądź, ciekawem jest dla nas to posłannictwo. Kto wie! Może ono zawierać dla nas niejedną pożyteczną wskazówkę...

San March i Manso spojrzeli z tryumfem na Butrona. Pierwszy odezwał się teraz śmiele:

— Wodzu! W zupełności podzielam twoje zdanie!... Są prawa, których nie godzi się poniewierać nawet wśród walki na śmierć i życie!...

— Słusznie, słusznie! — przyznali Manso i Cavallero.

Palafox klasnął w dłonie. Do sali wszedł oficer kompanii Szwajcarów hiszpańskich.

— Wprowadzić parlamentarza.

Oficer zniknął za drzwiami, a po chwili ukazał się, prowadząc za sobą Stadnickiego.

— Co masz, kawalerze, do powiedzenia?

— Wiozę list marszałka Lannesa do generała Palafoxa!

— Więc mi go oddaj!

Stadnicki wręczył list Palafoxowi.

— Masz co do powiedzenia?

— Że jego ekscelencya polecił mi przywieźć odpowiedź twoją, generale.

Palafox skinął głową i zwrócił się do oficera służbowego:

— Kawalerze Sanchiz! Wyprowadź parlamentarza do izb tu, na lewo!... Pod drzwiami zaciągnąć wartę!...

Oficer salutował i wyprowadził Stadnickiego. Palafox podał zapieczętowaną kopertę Don Estebanowi.

— Przeczytaj nam!

Don Esteban złamał pieczęć marszałka i jął czytać.

List był krótki. Marszałek w dobitnych słowach wystawiał niemożliwość obrony, wzywał Palafoxa do poddania, zapewniając mu należne względy i przyrzekając ludzkie obejście się z niewolnikami.

List kończył się słowami:

„Działa wymierzone, założone miny, świeży żołnierz czeka tylko sygnału, aby rzucić się na wyłomy i zgnieść was! Dokądże wy bronić się zamierzacie?“

Pisanie Lannesa wiało taką prawdą nieugiętą, taką siłą nieubłaganej logiki, że nawet Butron odezwać się nie śmiał. Jeden Palafox podniósł hardo głowę.

— Panowie! Zanim zaczniemy radzić nad daniem odpowiedzi — godzi nam się powołać do narady tych,

którzy choć nie piastują wojskowych godności, atoli... w zasłudze nie dają nam się prześcignąć! Bez „chunty“ pełnej obejść się nie może!...

— Tak, tak! — potwierdzili generałowie.

Na rozkaz Palafoxa po zaułkach Saragossy rozbiegli się gońcy. W niespełna godzinę — sala pałacu zaczęła się wypełniać.

Pierwszy stawił się Jorge Ibort, popularnie nazywany przez lud „wujem“, za nim dwaj najdzielniejsi batturowie z pod Saragossy, Mariano Cerezo i Tio Marin, młody Cannedo, sędziwy prezes chunty Don Pedro Maria Ric, wreszcie zakonnik Santiago Sas i nieubłagany Boggiero. Za nimi do sal obrad wkroczyli co najstarsi obywatele miasta i zajęli miejsca przed drzwiami, nie dopuszczając tłoczącego się na schody ludu.

Mroki wieczorne słały ponure cienie. Zapalono pochodnie. Żółto-czerwone światła zabłysły. Don Pedro Maria Ric zabrał głos i obwieścił chuntę za prawomocną. Palafox przedstawił poselstwo Lannesa.

Członkowie chunty milczeli długo, wsłuchując się mimowoli w głuchy pomruk tłumu, rozlegający się na placu przed pałacem.

— Śmierć Francuzom! Poćwiartować! Na pal! Pod piłę!...

Santiago Sas odrzucił kaptur z głowy i porwał się z miejsca. Na bladej, pożółkłej jego twarzy stalowa ukazała się wola. W zapadłych oczach błysnęły złowrogie ognie.

— Nad czem myślicie? Czy nie słyszycie odpowiedzi?... To lud woła!... Lud nie chce wydać na pohańbienie kościołów i do ostatniej kropli krwi bronić chce wiary i praw swoich! Niema układów!... Raczej nam w gruzach ledz!

— Ojcze! — rzekł cicho San March. — Armaty nieprzyjacielskie mierzą coraz celniej, prochów nie mamy!... Czem bronić się będziemy?..

Santiago Sas zacisnął nerwowo suche pięści i zmarszczył się, szukając odpowiedzi.

— Dobrze mówi March! — wtrącił ostro Jorge Ibort. — Przygnębienie wzrasta. Lud coraz głośniej domaga się układów!... Was łudzi ten krzyk! Zobaczcie, co się dzieje w zaułkach! Moi almogavares opuszczają ręce!... Kazaliście każdą myśl o poddaniu karać śmiercią!... Wczoraj uduszono czterdziestu!... Postrach nie działa! Skazani dziękują za śmierć! Jest ona dla nich skróceniem męczarni!...

— Pomocy znikąd! — podchwycił żywo Mariano Cerezo. — O nas nie idzie!... Jam gotów!... Lecz dzieciom należy się bodaj prawo pomszczenia nas!... Niechaj więc chociaż one znajdą ocalenie! Głód — zaraza! A odsiecz... obrona?... Nie widzę ich! Giniemy! Znikąd pomocy spodziewać się nie możemy!...

Wtem, ponad wrzawą huczącego poza oknami tłumu, wzbiły się miarowe tony dzwonów...

Santiago Sas rękę wyciągnął i rzekł z mocą:

— Słyszycie tam?... Słyszycie?... Dzwony Nuestra Seniora del Pilar przypominają wam o Tej, za wdaniem się której już raz serce Aragonu wydobyto z przemocy nieprzyjacielskiej!... Znikąd — mówicie — odsieczy spodziewać się nie możemy?... A Patronka nasza nie jestże nam odsieczną?... Patrzcie! Trzydzieści dni ognia... a dotąd ani jedna kula nie tknęła świątyni naszej Opiekunki!... Z nami jest Ona, a z Nią Bóg!... Nic się tu stać nie może bez Jego woli... A jeżeli oblicze Wszechpana od nas się odwróci, to za grzechy, za małoduszność, za brak wiary, za bezbożność!... Wy chcecie radzić?... Raczej się módlcie!... A dwóch dróg przed sobą widzieć nie będziecie!... Palafoxie! Oby cię Duch święty natchnął!... Ty przemów! Tyś tu wodzem i wiernym żołnierzem naszej Pilaryki!... Powiedz!...

Palafox powstał spokojny, zimny, świadomy siły, jaka w nim była.

— Hasta la ultima tapia! — rzekł krótko.

Cisza grobowa zaległa salę, a wśród niej słowa Palafoxa na skrzydłach szeptu biegły już z pałacu, wpadły w zakamarki, dosięgły piwnic, przebiegały miasto — aż wsparły się o straże na wałach.

— Hasta la ultima tapia! — powtarzała tłuszcza. — Hasta la ultima tapia! — mówiły kobiety. — Hasta la ultima tapia! — jęczały głodne dzieci.

I słowa te odurzyły wszystkich, porwały, szaloną wywołały radość. Lud przed pałacem wybuchnął gromkimi okrzykami — fale jego oczarowały chuntę.

— Hasta la ultima tapia! — zawołał pierwszy Santiago Sas.

Butron, Esteban, Fleury i Don Basilio Boggiero podtrzymali go. Chunta łamała się przez chwilę, aż wreszcie wszyscy porwali się z wyciągniętemi rękoma do Palafoxa.

Trzaskały szpady, błyskały noże, zaciskały się pięści, z oczu ognie szły. Śmierci rzucono rękawicę.

Gdy rozgwar ucichł nieco — sędziwy prezes chunty, Don Pedro Maria Ric, odezwał się cicho:

— Więc... „do ostatniej zagrody“... A potem?!...

— Potem? — podchwycił żywo Palafox. — Zobaczymy!...

— Zobaczymy! — zakrzyknęła złowrogo rada.

— Zobaczymy! — grały dzwony Nuestra Seniora del Pilar.

— A teraz — zawołał raźno Santiago Sas — idźmy u stóp naszej Patronki dziękować!...

Chunta ruszyła gromadką z pałacu przez Coso i ulicę Alfonsa ku brzegom Ebro, ponad któremi wznosiły się potężne mury świątyni.

Kościół był przepełniony pobożnymi. Kamienne jego tafle pokrywało mrowie ludzkich ciał, korzących się, tu śmiele żale swe wywodzących, tu szukając nie pociechy, lecz sił do wytrwania — schronienia.

Tu matki, stroskane o życie swych dzieci, zostawiały je, gdy na nie przychodził czas roznoszenia posiłku na murach, pod gradem kul. Tu setki, a niekiedy tysiące dzieci tuliły się do marmurowych ołtarzy, potężnych, granitowych pilastrów — spokojnie, ufnie. Tu wśród jęków i skarg zbolałych dusz odzywało się wesołe kwilenie, niekiedy śmiech szczery, naiwny, nieświadomy grozy, niebezpieczeństwa. Tu, gdy ziemia chwiała się w posadach, a ponury ryk

armat urągać się zdawał gromom niebieskim, płynęła pieśń do Bogarodzicy.

Po za kopułą wewnętrzną kaplicy patronki i w dzień i w noc panował ścisk nerwowy, trwożliwy. Wstęgi ludu czołgały się na kolanach i pełzły ku miejscu, gdzie ustom ich wolno było dotknąć się piedestału Patronki... Całunki płynęły i dzień i noc — gorące, zbożne, wierzące — aż w granicie ozwało się serce, bo on hardy, zimny ustępować zaczął. Usta wyryły w nim wgłębienie.

I szła chunta saragoska. Szła śród okrzyków ludu, szła potulna, cicha i pogrążyła się w modlitwie.

Stadnickiego, według rozkazów Palafoxa, przeprowadzono krużgankami do niskiej, sklepionej izby o mocno zakratowanem oknie — i tu zatrzaśnięto za nim ciężkie, okute drzwi.

Stadnicki stropił się tem niespodziewanem uwięzieniem, a głównie, że go rozdzielono z biednym Duszkiem. Porucznik jednak samemu sobie dodawał otuchy.

— Dyabły zatracone!... Zjeśćby gotowi! Tchórz ich oblatuje! Niechby spróbowali! Marszałek nie darowałby im!... Tfy! Licha pociecha, jak dla mnie!

Stadnicki opatrzył pistolet i zasunął go pod mundur, przyczem mruknął:

— Ale przepiłować się nie dam!...

Zaczem ją rozglądać się po izbie, lecz prócz ławy szerokiej, pleczystej i zmurszałych malowideł na ścianach, nic w niej nie było. Stadnicki raz i drugi zmierzył krokami izbę — wreszcie podsunął się do okna, ale i tu spotkał go zawód. Okno wychodziło na boczną, zacieśnioną uliczkę — a że okratowanie nie dozwalało wychylić głowy — więc nic krom zczerniałej ściany przeciwległego domu dojrzeć nie było można. Za to gwar uliczny i odgłos wydawanych okrzyków dochodził tu wyraźnie, co Stadnickiego niepomiernie gniewało.

— Wyjcie, krzyczcie, psia mać, dyabłu na uciechę!... Jeszcze — jeszcze! Głośniej!... Nie lubię, psia mać!... Samotrzask, pułapka! Wyrwałem się, jak Filip

z konopi!... Cierp ciało, kiedyć się chciało!... Pokrają cię razem z parlamentarskim sztandarem i zapiekanki sobie uczynią! Bodaj ich zadławiło!... Dzicz zgoła!...

Zwolna melancholia opanowywać zaczęła porucznika. Mocował się z nią, próbował wyciągnąć mazurka, wreszcie zapadł w zadumę. Ciężka ona była. Bo jużto pan Józef, ile w cięciu był sprawnym, a w zamachu tęgim — tyle do samotności czuł wstręt, a do rozpamiętywań szczerą niechęć.

Kotłowały się więc w umyśle porucznika obrazy, twarze znajome, wypadki rozliczne, gadki obozowe, sygnały, przyśpiewki, a wszystko to ani rusz powiązać się ze sobą nie mogło, zgodzić w ciągłym wątku.

Odsapnął pan Józef ciężko, pot otarł z czoła i już miał zakląć siarczyście, gdy w izbie rozległ się cichy szmer. Porucznik podniósł głowę i zdumiał się.

Przed nim stała postać młodej dziewczyny, w czarnych spowita szalach. Postać bijąca pełnią niezwykłej krasy i wdzięku.

Stadnicki przeżegnał się zabobonnie. Postać skinęła mu głową ze smutnym uśmiechem i szepnęła cicho po hiszpańsku:

— Chodź za mną!...

— Que, seniorita, que?... jąkał zmieszany porucznik.

Dziewczyna ujęła go za rękę i pociągnęła lekko.

Stadnicki pod dotknięciem małej aksamitnej rączki dziewczęcia zadrżał. Patrzył na twarz białą, delikatną, okoloną falą granatowo-kruczych włosów, na dwa silne łuki brwi, na rozchylone usta, ukazujące dwa rzędy pereł — aż odważył się zajrzeć w oczy. I oto dostrzegł dwie głębie, przepastne, palące, rozpłakane a czarujące bezmiarem tkliwości, uczucia, życia. Oczy Hiszpanki obezwładniły Stadnickiego, odjęły wolę, skuły jego żelazne ścięgna.

Porucznik powstał i szedł za nią. Szedł bez słowa poprzez ukryte w ścianie drzwi, przez komnaty sklepione, mijał szeregi poglądających nań surowo portretów rycerzy, piął się po wąskich, kamiennych schodach. Myśl, że ona kazała, wydała mu się tak jasną,

tak prostą, tak zrozumiałą, że ani mu w głowie było zastanawiać się, dokąd idzie.

Po kilku minutach dziewczyna wprowadziła Stadnickiego do niskiej, sklepionej izby, jakby zgoła takiej samej, w jakiej go zamknięto.

Porucznik rozejrzał się niepewnie wśród mroku, szukając spojrzenia dziewczęcia, lecz w tejże chwili z ławy pod oknem powstał dorodny mężczyzna w stroju hiszpańskim i ozwał się raźno:

— Witaj mi, panie Józefie!...

Stadnicki aż się zatoczył na nogach.

— Wy tutaj!... Florek!.. Do licha! Dawaj gęby!...

Młodzi ludzie uściskali się serdecznie.

— Ale co? Skąd?... Mieliśmy was za przepadłego! No, ja!... Potrąciły mnie dwie kontuzye... przenieśli do legii... Lecz wy? W tym stroju?...

— Koń mi się zbiegał... poniósł... Dwa dni błąkałem się w górach, aż wpadłem w ręce „wuja“ Jorge Iborta!... Mieli mnie palić żywcem... wstawiennictwu się tej oto seniority zawdzięczam, że kaźń odłożono... Palafox, przed którego mnie przyprowadzono, ocalił mnie. Przebrano jakiegoś nieboszczyka w moje odzienie... i rozerwano końmi na sztuki!... I czekam oto przyjaźniejszej chwili... zamknięty!... Lecz, jak widzisz waszmość, pod takim dozorem będąc, na los skarżyć się nie mogę...

— Prawda, prawda! — bąkał Stadnicki, poglądając na Hiszpankę, która stanęła przy Floryanie i głowę do jego piersi tulić zaczęła.

— Panie Józefie! Powiadajże mi waść, co z naszym pułkiem?... Widziałeśże Marcelka?... Towarzysze nasi... kapitan?...

Stadnicki głosem urywanym jął opisywać nieznane Floryanowi wydarzenia, aż skończył na śmierci Dziewanowskiego.

Gotartowski twarz ukrył w dłoniach. Hiszpanka, nie rozumiejąc słów, lecz odgadując ciężki smutek, jaki spaść musiał na Gotartowskiego, przytuliła się do niego silniej, tkliwiej.

Stadnicki patrzył na to chmurny, zasępiony.

— A co tutaj w Saragossie? — zagadnął sucho.

— Sam widzisz! Jać powiedzieć nie mogę nic! Zaprzysiągłem... Nie mogę zdradą płacić za ocalenie!... Głód... Tu, obok... stoi mój koń... Udało go się uprowadzić... Na dole byłby zjedzonym dawno!... Dzielimy się we troje jedną porcyą... I jeżeli... nas nie podminują, nie zagrzebią w gruzach... czeka nas śmierć głodowa!... Biedny kraj, biedny lud!... Gdy patrzę na jego bohaterskie wysiłki... to, wierz mi, panie Józefie, błogosławię przeznaczenie, które mi wytrąciło oręż z ręki!...

— Rozumiem... psia mać! rozumiem!...

— Widzę, że mi chcesz przymówić!... Niema co taić... Dolores jest córką don Basilia de Boggiero, obywatela, członka chunty... Darzy mnie głębokiem przywiązaniem!... Wierz mi, że nie kusiłem się o nie!... Zrządzenie losu!... Sam jestem, wokół mnie pustka... Sobie szczęścia nie wróżę... Niechaj ona przynajmniej zazna go...

Stadnicki spojrzał dziwnie na Floryana.

— Taka, psia mać, może oczarować!...

Floryan uśmiechnął się.

— Piękna! Zamieniłbym ją chętnie na jedno spojrzenie!... Eh! Przepadło, nie powróci! Żal wspominać!...

— Żal, mówicie?...

— Pytasz waćpan?... Długie historye!... A tu czas krótki! Siadajże chwilę!... Oby cię tylko niebezpieczeństwo ominęło!... Daruj — niema czem ugościć!... Przyjechałeś z wezwaniem do poddania. Zdaje się napróżno!... Nieszczęsna wojna! Straszna! Lud chrześciański!... Zgroza mnie zdejmuje, gdy słyszę w nocy pieśni ich a modlitwy! Lud ten przecież nie najeżdżał, nie kusił się o zdobycze, nie stawił prawie oporu. Ufał, wierzył do ostatka w przyjacielskie zaręczenie... Dziś broni praw swoich!...

— Wiesza, pali, morduje!...

— Rozpacz go niewoli! Co smutniejsze, że nasze wojska uważa za zastępy niewiernych, co nietylko zagarnąć ich chcą, lecz i wiarę ich zburzyć, kościoły z ziemią zrównać, krzyżom urągać!...

— Wiem, wiem, psia mać! — bąkał Stadnicki, nie odrywając oczu od Dolores.

— Zdajesz się być czegoś niechętnym?...

— Ja, psia mać?... Tfy!... Gdzieżby!... Naturalnie!... Co tu gadać! Patrzę na ten specyał saragoski i napaść się nie mogę! Taka do piekła na nici zawlecze!... Można waćpanu winszować!

— Czego?

— Hm! Tej donii!... Bierz licho cały świat! Taka seniorita... Wisłę zmierz, do porohów dotrzyj, a nie znajdziesz...

— Ja jużbym pewnie nie znalazł! Była jedna... ale ta... już pogrzebiona...

Stadnickiemu oczy błysnęły — chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle za ścianą rozległo się gwałtowne pukanie. Dolores porwała się z miejsca.

— Wracać trzeba natychmiast! Temperanica daje znak umówiony. Chunta skończyła obrady...

— Bywajcie mi, panie Józefie... Obyśmy się w lepszych spotkali czasach! Niech was zimna krew nie opuszcza!...

— Florek do... milion dyabłów!... A czy wiesz?...

— Co takiego? Mów! Chwili niema...

Stadnicki spojrzał na Dolores i machnął niecierpliwie ręką.

— Co ja tobie, psia mać!... Dobrze ci jest z tem. psia mać!... Niech!...

— Mówcie, przez Boga!...

— Pora to, pora!... Do lepszych, jak mówicie czasów! A przynajmniej tej strzeżcie!... Czołem!

Floryan chciał zagadnąć jeszcze Stadnickiego, lecz ten zniknął w krużganku, postępując szybko za biegnącą naprzód Dolores.

Pośpiech ten był usprawiedliwionym, bo zaledwie Stadnicki dopadł izby, w której go zamknięto, a Dolores zasunęła ukryte drzwi — w zamku rozległ się zgrzyt kluczy — wszedł oficer ze strażą.

— Chodź, kawalerze!

— Dokąd?

— Staniesz przed chuntą!

Stadnickiego wprowadzono do tej samej sali zebrań. Grobowe milczenie powitało parlamentarza francuskiego.

Chude twarze członków chunty w bladem, migotliwem świetle kaganków zdawały się być wykutemi z kamienia.

Porucznik wyprostował się hardo, wsparł się na głowni pałasza i zagadnął dumnie:

— Wzywałeś mnie, generale?

Palafox zmierzył go zimnem spojrzeniem.

— Wezwała cię prześwietna chunta!

— Jakąż otrzymam odpowiedź na pismo jego ekscelencyi?...

— Hasta la ultima tapia! — rzucił gwałtownie Palafox. — Do ostatniej zagrody!!

— Amen! — przytwierdzili chórem członkowie chunty.

Stadnicki zmieszał się tą niespodziewaną odpowiedzią.

Santiago Sas postrzegł zdumienie parlamentarza i dorzucił surowo:

— A ty, kawalerze, to sobie zapamiętaj, że na przyszłość podobne poselstwo będzie uważanem za obrazę... i taki jak ty... jako winien zniewagi, będzie cięty kołem!...

— Ojcze duchowny! — odparł sucho Stadnicki. — Śmiercią żołnierza nie przestraszysz, tem mniej chrześcianina!...

— Milcz! Boś się jeszcze za mury nie wydostał!...

— Gróźb się nie lękam! Choć nie władnę nożem!... Przybyłem w poselstwie do generała, nie do was!... Wolno mu przyjąć lub odrzucić pokojowe przedłożenia... Dla mnie jego słowo stanowi!

Santiago Sas porwał się z miejsca.

— Prześwietna chunto!... Ten zuchwalec śmie nas lżyć!...

— Na pal z nim! — wrzasnął zapalczywie Boggiero.

— Niech zginie!... To będzie nasza odpowiedź! — odezwały się głosy.

Palafox uśmiechnął się gorzko.

— Nie tak gwałtownie!... Osoba parlamentarza jest nietykalną... i powinna nią zostać!... Bywają chwile, że najwyższy zapał stygnie... że nas może zabraknąć, a wówczas!... Panie kawalerze, słyszałeś odpowiedź!... Wracaj!... Don Pedro Ric osłoni cię swoją powagą i o świcie doprowadzi do bramy...

Santiago z Boggierem chcieli protestować, lecz don Pedro ogłosił posiedzenie za skończone. Chunta zaczęła się rozchodzić. Stadnicki rozglądał się, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, gdy Don Pedro zbliżył się do niego.

— Chodź ze mną, kawalerze... Noc — niepodobna byś wracał... Jesteś moim gościem!...

Don Pedro zaprowadził Stadnickiego do przeciwległego skrzydła pałacu — tam wskazał mu staroświecki fotel, klasnął na służbę i wydał jej jakieś ciche rozkazy.

Po chwili stół okryto obrusem i zaczęto wnosić bogatą zastawę. Stadnicki spoglądał z podziwem na dzbany srebrne, wypełnione winem przedziwnego aromatu, półmiski pełne mięsiwa, misy kopiaste owoców suszonych i pytał samego siebie, skąd w tem wygłodzonem mieście brał się ten dostatek.

Ric z zadowoleniem zezował na Stadnickiego i z dworską swobodą zapraszał go do jadła.

— Pozwól, kawalerze!... Wybacz, jeżeli czegoś nie staje! Czas wojny!...

— Panie! — odrzekł ze szczerą prostotą Stadnicki. — Toż uczta cała przedemną!... Od sześciu miesięcy nic podobnego nie widziałem! Marszałek u nas lepiej nie jada!

— Czy tak?... Cha, cha! — zaśmiał się nerwowo starzec. — A my tak!... Zawsze!... Jedz — proszę! Daruj, że nie będę ci towarzyszył, lecz wiek ma swoje prawa...

Stadnicki nie dał sobie powtórzyć zaproszenia i z całą ochotą zabrał się do jadła. Don Pedro ledwie kawałek chleba wziął do ust i popił odrobiną wina.

Stadnicki porcyę za porcyą sprzątał z apetytem. Mięso wydało mu się dziwnem nieco w smaku, lecz to go nie zrażało.

Gdy wreszcie nasycił się a pociągnął jeden i drugi haust wina, humor zwykły i fantazya mu powróciły.

— Pyszny głód u was!... My dziękujemy Bogu, jak nas codzień dojdzie kawałek ośliny!...

— Aż tak?...

— Parol kawalerski!... Ot, a u nas pletli już niestworzone rzeczy o głodzie saragosskim!

— Widzisz go sam!...

— Prawda! — przyznał się otwarcie Stadnicki. — Mogę sobie powiedzieć, że właśnie w Saragossie raz rzetelnie się pożywiłem! Ale, a mój trębacz — jeżeliście panie łaskawy, chłopię młode!...

— Bądź spokojnym!... O nim pamiętają!...

— Pyszne wino!...

— Więc marszałek Lannes objął dowództwo? — rzucił od niechcenia don Pedro.

— Od dziś dopiero.

— Moncey i Mortier wyszczerbili sobie zęby?

— Nie bardzo!... Szło tu o szybsze ukończenie oblężenia!...

— Lannes potrafi — myślisz?

— Marszałek!... Nie wątpię!... Sam pójdzie, gdy będzie trzeba... Atak za atakiem, szturm za szturmem przypuści!... Miny was rozbiją!...

— Tak — gruzy zdobyć może — miasta nigdy!

— Mylicie się, panie!... Jeden wyłom i wedrzemy się do miasta...

— A co potem?...

— Miasto będzie nasze!...

Starzec potrząsnął głową.

— Nigdy!...

— Szturm nie poprzestanie na jednym wyłomie!...

— Zróbcie ich dziesięć!

— Pożar was zmusi do poddania. Miny nasze dochodzą pod środek miasta!...

Don Pedro zaczerwienił się zlekka i siląc się na spokój, zapytał cicho:

— Dokąd, mówisz, dochodzą?...

Stadnicki spostrzegł, iż zaczyna być zbyt gadatliwym.

— Darujcie!... Nie mówmy o tem!...

— Nie mówmy!...

Starzec zamyślił się. Po chwili nakreślił kilka wyrazów na skrawku papieru i, przywoławszy służącego, dał mu jakieś zlecenie. Poczem próbował znów z porucznikiem nawiązać gawędę, lecz Stadnicki stracił nagle ochotę i jął mierzyć wielkimi krokami salę, spoglądając, rychło czarne zasłony nie zaczną się rozpraszać.

Gdy go w końcu zmęczyło chodzenie, rozsiadł się wygodnie w fotelu i jął poddawać się ogarniającej go drzemce. Don Pedro siedział wciąż przy stole, wsparty niedbale na łokciu.

Porucznik dłużej powieki przymykał, silniej oczy mrużył. Oddech jego przeszedł w miarową sapkę. Chciał ją odpędzić, lecz nie mógł, całodzienne utrudzenie obezwładniało go coraz gwałtowniej.

Gdy tak walczył jeszcze ostatkiem woli, a jakby przez mgłę poglądał na kościstą czaszkę don Pedra — naraz zdawało mu się, iż czaszka ta porusza się. Stadnicki ocknął się i przez zapuszczone rzęsy wzrok wytężył.

Don Pedro jadł, a raczej ściągał ostrożnie porzucone na talerzu Stadnickiego skrawki i kości i gryzł je i żuł z dziką rozkoszą. Niekiedy matowe oczy starca poglądały na półmiski z jadłem i odwracały się z wysiłkiem.

Stadnickiego pusty śmiech ogarnął, lecz powstrzymał go w porę.

— Co ten stary za komedye stroi!... Czy mi się śni, psia mać!... Dalipan, pociecha!...

Porucznik, wytrzeźwiony zupełnie nieoczekiwanem widowiskiem — udawał dalej sennego.

Starzec zaś, przekonany, że jego gość śpi, jak zabity, na dobre rozpoczął gospodarkę. Roztworzył

w rogu stojącą szafę żelazną, uprzątnął jej zawartość ze srebrnych naczyń, a na ich miejsce poustawiał półmiski z jadłem i dzbany z winem i zamknął szafę na wszystkie zamki. Naczynia srebrne zostały porzucone na ziemi. Zaczem don Pedro własnoręcznie zebrał końce obrusa, okruszyny wszystkie zsypał w rozpostartą na ziemi chustkę i zapukał zlekka do wąskich drzwi, prowadzących do izby sąsiedniej.

We drzwiach ukazała się siwowłosa kobieta w bogatej, powłóczystej sukni. Don Pedro podał jej okruchy. Ta pochwyciła je i z chciwością jeść zaczęła...

Stadnickiego dreszcz zimny przeszedł, zdawało mu się, że go ktoś dławi za gardło i wydrzeć zeń chce każdy kęs spożytego chleba...

Porucznik otrząsnął się. Kobieta znikła za drzwiami. Don Pedro obejrzał się niespokojnie i powrócił na swoje krzesło przy stole.

Stadnicki nie mógł spać. Chciał zagadać do starca, lecz jakiś go znów lęk ogarnął. Siedział, bojąc się poruszyć, bojąc się zajrzeć w siwe, zamglone oczy don Pedra.

Tak upłynęły godziny.

Aż światło zimowego poranku zaczęło się skradać powoli po łukach sali i stroić ją w fantastyczne cienie.

Don Pedro powstał ociężale i zbliżył się do porucznika.

— Kawalerze, pora!...

Stadnicki podniósł się szybko, poprawił odzież i poszedł za don Pedrem. Na dole, pod balustradą podwórza, czekał Duszek, otoczony strażą. Na widok Stadnickiego, twarz trębacza rozjaśniła się.

Don Pedro dał znak straży. Zawiązano oczy porucznikowi i Duszkowi, dwóch żołnierzy ujęło ich pod ręce - pochód ruszył.

Stadnickiemu nie podobało się takie rubaszne obejście, odezwał się bez ogródki:

— Hej! Mości panie!... Konie mieliśmy!

Żołnierz, prowadzący porucznika, przyśpieszył kroku.

— Do czarta — nie rwij!... Gdzie są konie?

I tym razem nikt nie odpowiedział Stadnickiemu. Porucznik zirytowany odezwał się po polsku:

— Psia mać... bodaj ich... Wloką nas po wybojach!... Gdzież nam szkapy uprowadzili?...

— Koni niema, panie poruczniku! — rzekł cicho Duszek.

— Jakto niema?

— Zabrali je do rzeźnika jeszcze wczoraj!

— Hej milczeć tam! — zgromił surowo oficer, dowodzący strażą.

Stadnicki zaciął zęby i szedł sam, zdwajając kroku, byle co prędzej dotrzeć do bramy.

Po półgodzinnem kluczeniu między uliczkami i stosami gruzów, pochód zatrzymał się. Parlamentarzom zdjęto opaski z oczu.

Stadnicki ujrzał przed sobą wpół otwartą bramę. Don Pedro wysunął się na czoło żołnierzy.

— Kawalerze, jesteś wolnym! Znaną ci jest odpowiedź, którą masz zanieść marszałkowi!...

Stadnicki bąknął coś pod nosem i, skłoniwszy się niedbale, zawrócił szybko ku bramie...

— Kawalerze, kawalerze! — mówił jeszcze don Pedro. — Przykro nam, że musisz na piechotę wracać, lecz konia masz w sobie... boś wczoraj miał tak świetny apetyt, żeś go połowę zjadł!...

Stadnicki chwycił za pałasz, lecz się pohamował i zakrzyknął na Duszka:

— Trzymaj krok smyku!... Byle dalej od tych dyabłów!... Psem będę, jeżeli tu nie powrócę!...

Parlamentarze szli szybko ku obozowi, nie zwracając uwagi, że za nimi biegł wciąż z murów śmiech urywany, szyderczy, dziki.

Porucznik obejrzał się podniecony. Na zrębie muru, ponad bramą, ujrzał sylwetkę don Pedra, a obok niego kościstą twarz Santiago Sasa.

— Dobrze się idzie? Co? — rzucił ten ostatni. — Wszyscy tak będziecie uciekali! Smakował ci koń, smakował?...

— Wam zazdrość! huknął Stadnicki swym basem. — Zostawiłem wam podogonia, niech wam służą!

Ledwie Stadnicki skończył, z murów padł strzał. Kula musnęła porucznika po mundurze.

— Zobaczymy się jeszcze! — pogroził porucznik.

Kule zaczęły się sypać gęściej, lecz parlamentarze wydostali się już poza linię strzałów.

Marszałek Lannes czekał niecierpliwie na powrót Stadnickiego. Gdy ten ostatni ukazał się na linii placówek, dano znać natychmiast marszałkowi.

Porucznik zdał szczegółową sprawę ze swego poselstwa. Ledwie skończył, marszałek jak ryś raniony rzucił się do trzymanego w pogotowiu konia.

— Dosyć tego! — zawołał groźnie. — Saragossa musi być naszą!

Ordynansi rozbiegli się w pełnym galopie, rozwożąc rozkazy, z których każdy był wyrokiem śmierci na harde mury stolicy Arragonu.

Pięćdziesiąt dział, zatoczonych na nowo usypanych bateryach, rozpoczęło ponurą pracę. Kula ścigała kulę, granat biegł za granatem. Ryk miarowy nie ustawał na chwilę. Kanonierzy zmieniali się co godzinę. Rozpalony spiż studzono mokremi płachtami.

Równocześnie pod osłoną nasypów zawrzała zażarta, krecia robota... Oddział generała Lacoste rył chodniki podziemne i zanurzał się coraz dalej, coraz głębiej. W łonie ziemi głuche uderzenia oskardów wtórowały miarowym salwom. Rozstawiona piechota na rękach wynosiła wory gliny.

Lannes co chwila przyjeżdżał nad przekopy i zarzucał Lacosta pytaniami. Miny były na ukończeniu. Miny straszne, mające wyrwać z korzeniami oporne mury klasztoru Santa Engracia i San Francisco, zamku Alchaferia i domów, zasłaniających wejście na Coso.

Złowrogi korytarz, rozbiegający się w cztery różne strony, należało tylko pogłębić.

Saperzy czołgali się jak węże, przerzucali łopatkami ziemię i gotowali dzieło zniszczenia. Powietrza brakło. Co chwila któregoś z żołnierzy wyciągano bladego, wpół zastygłego. Niekiedy z ciemnej czeluści wyrwał się saper z twarzą wykrzywioną boleśnie, z sino-czerwoną ranką na ręku. To skorpion mścił się za samowolne wkraczanie do jego zimowego leża.

Dwóch chirurgów stało w pogotowiu, gara z żelaznymi, rozpalonymi do białości prętami syczała obok nich. Ratunek był prosty. Pręt palił ciało, żłobił czarno-czerwoną ranę, lecz niszczył jad.

Wojna!

Marszałek gwałtował. Lacostowi dodano jeszcze jeden batalion piechoty. Robota wrzała gorączkowa. Aby prędzej, aby dalej! Jeszcze... sto kroków... jeszcze pięćdziesiąt!...

Po dwakroć już sklepienia chodników zapadały się, zasypując żołnierzy, grzebiąc ich żywcem, po dwakroć rozkopano zawałę i usunięto zwłoki...

Wojna!

Pionierzy ryli dalej — ryli, nie wiedząc komu gotują mogiłę — sobie, czy nieprzyjaciołom?!...

Na czele rozpłaszczonych w korytarzu ludzi był młody kapral. Baussiceau. On prowadził, on sztabą żelazną, zakończoną ostro, rwał naprzód, wskazywał kierunek najważniejszego podkopu pod San Francisco.

Noc głucha, nieprzenikniona panowała w chodniku. U wejścia migały się pochodnie, tu już mowy nie było o roznieceniu ognia. Płomień gasł z braku powietrza. Baussiceau dyszał jeszcze.

Światłem mu była sztaba żelazna, mocno fosforem pociągnięta, mieniąca się mglistemi smugami.

Za Baussiceau czterech żołnierzy rozszerzało chodnik i drążyło otwór szerszy łopatkami, równie błyszczącemi fosforem.

Drąg żelazny łomotał bez wytchnienia. Od czasu do czasu Baussiceau ustawał. Chłodził rozpalone czoło garściami stwardniałej zimnej gliny, pociągał sznur, aby u wylotu wiedziano, jak daleko robota postąpiła, a czasem świecącem a bełkoczącem wodą narzędziem sprawdzał, czy sztaba pracuje poziomo. Od wylotu szły ciągle rozkazy i wieści, podawane z ust do ust.

— Jeszcze dziesięć kroków! ośm! siedm!... Pilnuj nachylenia!... Czy nie omdlał?... Podpierać sklepienia!...

Baussiceau mruczał pod nosem, sapał i pracował dalej.

Generał Lacoste sam powiedział dziś do kaprala:

— Jeden zuch to może wykonać .. Baussiceau!...

Kapral pamięta te wyrazy, generał zawieść się nie może.

— Jeszcze cztery kroki!...

U wylotu leży już czworograna skrzynka blaszana. Trzech żołnierzy kończy siarkowanie lontu.

Baussiceau odsapnął ciężej — sztaba wysunęła mu się z rąk. Chwilę musi odpocząć. Opuścił ręce bezwładnie, głowa osunęła mu się na ziemię.

Nagle Baussiceau drgnął całem ciałem. Przyłożył ucho do ściany, w pobliżu słychać było miarowy łomot!...

Czyżby z sąsiedniego rękawa aż tu odgłos się zakradł?...

Niepodobna!

Baussiceau wytężył słuch. Odgłos stawał się wyraźniejszym. W kapralu krew zagrała. Zaparł się o ścianę nory i uderzył sztabą zajadle. Żelazo wpijało się w ziemię, rozrywało ją, darło.

— Jeden krok! — szepnął pełzający za kapralem żołnierz.

— Nieprzyjaciel! — mruknął głucho Baussiceau.

— Nieprzyjaciel! — powtórzyły głosy.

— Nieprzyjaciel! — zaraportował oficer, stojący u wylotu chodnika.

Lacoste zaklął.

— Miny natychmiast przerwać! Dosyć!... Wystarczy!...

Rozruch powstał około otworu. Żołnierze bliżej stojący wyskoczyli natychmiast. Kilku nawet z dalej posuniętych zdołało się wyczołgać... Do kaprala komenda jeszcze nie doszła.

Sztaba pracowała.

— Kto pierwszy! — szeptał do siebie Baussiceau i uderza dalej.

Teraz już nie było wątpliwości. Na każdy łomot żelaza — odpowiadał łomot z przeciwnej strony, coraz wyraźniejszy, coraz bliższy.

Aż kapral zamierzył się mocniej i uderzył ze wszystkich sił...

Ziemia pod sztabą rozstąpiła się.

Żelazo starło się z żelazem. Snop iskier trysnął — oświecił na oka mgnienie dwie twarze trupio blade, patrzące na się złowrogo.

Baussiceau zamierzył się ponownie i uderzył, lecz w tejże chwili ziemia skotłowała się dokoła niego, huk ogłuszający wstrząsnął sklepieniem chodnika, zburzył je, zagrzebał kilkunastu saperów, a potem wyrzucił ich ciała na powierzchnię, mięszając je ze zwłokami Hiszpanów.

Manuel Cavallero, oczekujący na murach Saragossy skutku kontrminy, promieniał, generał Lacoste klął. Chodnik pod San Francisco był zniszczony.

Lecz na żale czasu nie było. Saperzy rzucili się do pozostały[illegible]dnóg rękawa. Hiszpanie czuwali.

Walka [illegible]telna zawrzała nietylko na ziemi, lecz i pod ziemią. Po trzykroć minierzy spotkali kontrminierów, po trzykroć w czarnych, wężowatych norach wybuchła walka krótka, zażarta.

W walce tej nie było krwi. Ten zwyciężał, który pierwszy zdołał pogrzebać żywcem siebie i wrogów.

U wylotów panowała cisza, spokój, ledwie słup wyrwanej ziemi mówił, że pod opoką rozegrał się bój i skończył się. Zwycięstwo tu było zawsze śmiercią stron obu.

Działa francuskie pracowały bez wytchnienia, łomocząc mury i żłobiąc powoli wyłomy.

Do południa Saragossa milczała. Aż gdy Villalba stanął na murach, rozległy się krótkie dźwięki trąbki. Armaty hiszpańskie odpowiedziały rykiem.

Kule mijały się z kulami, snopy dymów spowiły oblegających i oblężonych. Powietrze pruły błękitne obłoczki.

Na wieży Nuestra Seniora del Pilar głos dzwonu uprzedzał każdą salwę francuską, a salwy te stawały się coraz więcej mordercze. Baterye Lannesa, ustawione na Monte Torrero, wznoszącą się ponad murami Saragossy, szerzyły coraz większe spustoszenie.

Nic nie pomogły wory ziemi, stosy kamieni, straż mokremi płachtami zarzucająca wybuchające pożary – spiżowe potwory pracowały z nieubłaganą siłą.

Noc nie przerwała bombardowania. Lonty co chwila ślizgały się po zapałach, paszcze ziały w ciemnościach czerwonymi strumieniami ognia.

Armaty kolejno wypoczywały spowite w wiechcie a polewane wodą, niekiedy celnie wymierzony strzał szczerbił oktawę, gruchotał lawetę, demontował działo, a rozpryskiwanymi kawałami żelaza i drzewa miażdżył kanonierów...

Armaty hiszpańskie nie mogły wyrównać francuskim. Villalba zasępił się, przewaga stawała się coraz widoczniejszą.

— Generale! — rzekł do Palafoxa. — Jesteśmy zgubieni! Panują nad nami! Strzał z [illegible] mają ułatwiony. Jeszcze dzień, dwa bombardowania... będziemy musieli umilknąć!...

— Odpowiadać rzadziej — mierzyć dłużej!

— Tu potrzeba pozycyi! Gdybym jedną armatę miał na wyniesieniu równem Monte Torrero, nauczyłbym ich!...

Generał Palafox powiódł wzrokiem po ciemnych sylwetkach murów Saragossy i odezwał się krótko:

— Patrz tam! Torre Nueva! Punkt byłby dobry!...

— Świetny!... Ale armatę wciągnąć aż tam! Niepodobieństwo!...

— Zdaje ci się!...

Palafox oddalił się i zstąpił w zaułki między lud. Trzy wyrazy padły. Lud porwał się i dźwignął działo dwudziesto-funtowego kalibru.

Zaciągnięto sznury i bloki. Ustawiono rusztowania.

Liny rwały się, trzaskały belki, ludzie w zapasach z ciężarem padali, lecz mimo wszystko, o świcie, na szczycie wieży Torre Nueva ukazała się paszcza, wystająca ponad zrębem, niby żądło.

Armaty francuskie grały wciąż. Baterye hiszpańskie umilkły. Generał Villalba mierzył — mierzył przez mgły poranku, ważące się nieruchomo opary, aż pochwycił lont i wypalił. Wieża zachwiała się w posadach. Kula trafiła w środek bateryi francuskiej.

Mortier, sam doglądający dział, zdumiał się celności strzału. Monte Torrero zakrywały mgły. Hiszpanie na czterdzieści bomb wysyłali jedną, lecz tak zabójczą, tak świadomą swej drogi, iż około bateryj francuskich powstał popłoch. Kanonierzy padali dokoła, wózki z amunicyą eksplodowały, armaty kładły się obezwładnione.

Gdy jednak światło dzienne ukazało nareszcie szczyt Torre Nueva, wszystkie paszcze zwróciły się ku niej — wszystkie pracować zaczęły na jej zgubę — ona jedynym była celem. Wieża dygotała, drżała, broniła się pancerzem swych mięsistych murów i dźwigała zabójcze działo.

Po dwóch godzinach wysiłków artyleryi francuskiej, działo hiszpańskie zamarło — Torre Nueva pochyliła się, grożąc zawaleniem.

Francuzi odetchnęli. Otrąbiono godzinną przerwę, godzinną pracę, cięższą jeszcze, bardziej mordującą. Artylerya wespół z batalionem piechoty rzuciła się do naprawiania okopów, rychtowania armat, zbijania prowizorycznych lawet, zataczania nowych wózków

z amunicyą, usuwania ciał poległych. Mortier równocześnie nowe tworzył kompanie, wypełniał przerzedzone osady dział. Żołnierzy posuwał na kapralów, kapralów na wachmistrzów, wachmistrzom przypinał oficerskie szlufy.

Saragossa także pogrążyła się w ciszy. Zdawało się, że obydwa obozy spoczywają, czy sposobią się do zapasów — nie!

Na ziemi rozejm mimowolny nastąpił, pod ziemią atoli wrzał bój nieustanny. Z czeluści chodników krwawe teraz dobywano rudy, ziemia jakby zamieniła się w grudy spieczonej krwi, jakby przerazić chciała śmiałków, którzy łono jej szarpali.

Miny szły.

Stadnicki po zdaniu raportu marszałkowi powrócił do obozu nachmurzony, ledwie odpowiadając na serdeczne pozdrowienia kolegów.

Pułkownik Kąsinowski wezwał go do siebie z kolei. Stadnicki, po raz wtóry musiał ab ovo zdawać relacyę, a gdy skończył tem, iż go koniną poczęstowali i to z własnego konia, poza plecami pułkownika rozległ się serdeczny wybuch śmiechu. Grosmajor Michałowski za brzuch się trzymał a dygotał.

— Dobrze tego!... Wybornie!... Zjadłeś go waćpan... a bodaj cię... Będzie z waści piechota nielada!... Koń był przedni... W nogi wejdzie chód, w wątrobę temparament!... Wytrwałość, rozpęd, sprężystość... choroba!... Hm... tego!... Gdyby ci wszystka kawalerya... ba! Uważasz, mości Stadnicki, siła, dopiero wojsko tego, choroba!... Pułkowniku, co?

— Cha, cha! Toś waść wyprowadził!... No, kontent jestem z waćpana, poruczniku!...

— Święte słowa! — podchwycił Michałowski. — Bo wrócił cały tego, nietknięty...

— Narobiłeś nam niepokoju, bo gdyś tak długo nie wracał, mieli cię już za przepadłego. Osobliwie major nie miał spokoju a zamęczał mnie wymówkami, że zezwoliłem!... Wracaj, mości Stadnicki, do obozu i zapomnij o przeszłem!...

Pan Józef mruknął coś pod nosem, skłonił się i wyszedł. W obozie nowe go czekały pytania. Stadnicki zbywał wszystkich krótkiemi, urywanemi odpowiedziami, nawet przed Masłowskim nie wspominając słówkiem, że widział Floryana.

Zawziętość a opryskliwość Stadnickiego aż uraziła oficerów, a czupurny Bzura nie mógł się wstrzymać i palnął prosto z mostu:

— Józiu! Królu mój!... Idź do infirmerni, medykom się pokłoń, niech ci dryakwi użyczą... aby ci kwas wyszedł! To niema żartów! Patrz! Gęba ci się wykrzywiła — mruczysz, jak niedźwiedź, zębami dzwonisz! Jeszcze odrobina, a żółć cię zemdli i szpetną ci uczyni dystrakcyę!!...

— Bacz lepiej na siebie, aby ci kto języka nie przyciął!...

— No, widzisz, królu, nie mówiłem? Łeb oliwą opatrzyć, żeby ci rozum choć od skóry kruszynkę nasiąkł, a potem do cyrulika, niech ci narzędzie przystawi! Chwila jedna, a i konina wierzgać kiszki przestanie!...

— Dosyć kpinek!...

— Józefie! — upominał Strumiłło. — Przecież Bzura...

— Nie znam Bzury, psia mać!...

— Królu!... Józiu!... Ty, porucznik, szwoleżer, chcesz się w rzezaka pułkowego przedzierzgnąć?!

— Właśnie, za wiele oślich uszu, psia mać!...

— Królu!... myślisz się obszelmować, a cóż donie, seniority, madmazele?...

Stadnicki rzucił się ku Bzurze, lecz Jaworski z Masłowskim zatrzymali go.

— Puśćcie, do milion!... Ja go nauczę!...

— Jak konie zjadać!...

Zanosiło się na nielada awanturę. Stadnicki rwał się ku Bzurze, temu ostatniemu oczy rozgorzały.

Lecz wtem, na linii obozu dały się słyszeć przyśpieszone dźwięki pobudki. Adjutant służbowy, jak piorun, wpadł pomiędzy poruczników.

— Panowie, na miejsca! Pułk staje pod broń! Porucznik Stadnicki zwolniony dla wypocznienia!...

Porucznicy rozbiegli się natychmiast do swoich kompanij. Stadnickiemu ta względność nie przypadła do smaku, a że w dodatku zabrakło Bzury, więc zwrócił się do adjutanta:

— Ja o zwolnienie nie prosiłem!...

— Rozkaz gros-majora! Ma waćpana w szczególnej opiece!...

— Prawda, aż mi ona do żywego dojadła!...

— Cóż znowu?...

— Nie chcę żadnej łaski! Żadnych... psia mać!...

Adjutant wzruszył ramionami.

— Powtarzam rozkaz. Reszta do waćpana należy!...

Stadnicki chciał coś odpowiedzieć, ale adjutant wykręcił się na pięcie i odszedł.

Porucznik zawrócił do baraku oficerskiego i tam rzucił się na posłanie.

Dotąd nie mógł się otrząsnąć z wrażeń przebytych w Saragossie, dotąd marmurowo-biała twarz Dolores nie dawała mu spokoju — a równocześnie jakąś w nim złość budziła.

— Florek, psia mać! Synogarlicę sobie taką wynalazł!.. Setna niewola! Głód, powiada!... Jednym widokiem takiej możnaby się nasycić!... Psia mać! W czepku się rodził! Tam ci taka czarnucha aż pali — a tu znów dziewczyna — migdał!... Tfy — nie lubię!... Bisurman! Dobry chłop, szczery... Ale nie lubię, psia mać i koniec!...

Cichy monolog Stadnickiego przerwało niespodziewane wejście Żubrowej.

— Olaboga! Tom się zbiegała!... Bez urazy pana porucznika, wczoraj to mnie mało nie zatrzęsło... Gdzie!... Jeden się znalazł szczery porucznik a żołnierz... i już ci go tym dyabłom wysłali!... Przysiądę sobie!... Uf! To ci łomoczą harmatami!... Pan porucznik daruje! Ale to... jak pan porucznik... o naszym poruczniku... to już ci mnie chwyciło!... Pani kapitanowa zdrzemnęła się kruszynkę. Biedactwo noc

całą dychało! Strata okrutna! Jedyny stryjeczny! Sierotka!... No, a o tem zaginięciu ani pary z ust! Boję się!... Żałośćby ją zamordowała! Święty Antoni, jeżeli ze mną jesteś na bakier, to aby tego śrebła mi strzeż!... Ale! No właśnie — myślałam, pan porucznik pewnie tam nic rzetelnego nie zażył... przydźwigałam kropelkę! Można pić!... Sama nie wiem, jak to zwać, bo to Hiszpany to takie rozmaitości pędzą z wina, że ani weź!... Łykasz — smak przedziwny — grzeje!... Lecz co grzeje — gwoździk, czyli pieprz, imbier albo li anyż, ani rusz rozpoznać! No, panie poruczniku, co tam!... Miarkuję, że nie w porę przychodzę!... Lecz mnie szczerość przygnała!... Regimenty pod bronią — jest odrobina spokoju!... Waćpan nie pogardzi!...

Stadnicki pociągnął z podanego mu kubka i orzeźwił się.

— A co? Prawda? Można gardło płukać? Silnie sprytny naród do wina! Ba, tuby trzeba mego starego!... Lubił, poczciwiec! Ja też nie od tego!... Ciężkie życie!... Eh!... Człowieka język świerzbi, a wymówić się boi!... Jest bieda — jest nieszczęście — to mu się jeszcze chce o niem gadać! Panie poruczniku... jakże tedy... więc przepadł i ani słychu?...

— Kto taki?

— Juści nasz porucznik!...

— Nie wiem nic — może!... Co mi do niego! Niech sobie psia mać!..

Żubrowa strzepnęła rękoma.

— Niech sobie?... Masz dyable kaftan!... Dopytałam się!... Ja tu do pana porucznika z sercem, jak do towarzysza broni!... No, i... „niech sobie“... Właśnie ci nowomodne przyjacielstwo!.. Sakieweczka, wypitka i tyle!... Lecz gdy którego... to mu „niech sobie“! I... i jeszcze... „psia mać“!...

— Czego tedy chcecie?

Markietanka uraziła się na dobre.

— Czego chcę? Niczego! Zdało mi się!... Lecz się obejdzie! Nie waćpan jeden! Są inne oficery, co smutek cudzy uszanują, dobrą radą wesprą!...

— Tu niema kogo pocieszać!...

— Mości poruczniku! Jakto? On, biedak, tuła się, przepada!...

— No! Nic mu nie jest. A jeżeli schudnie, psia mać, to pewno z amorów!

Żubrowa spojrzała ze zdziwieniem na Stadnickiego.

— Co waćpan? Trunek mu zaczmerał! Panie poruczniku! On — z amorów? Święty Antoni! To ci jest niegodziwość! Jakem Muszyńska z domu!... Niech się co chce dzieje, powiem!... Otóż, waćpan sobie ze starej kobiety zadrwiłeś! Bo gdybyś znał naszego porucznika, to lada słowabyś o nim nie rzekł... ani nie wydziwiał, bo... matkąbym twoją mogła być! A że nie jestem, to łaska Boska, bo mnie jeden dyshonor ominął na świecie. Różnych ci znałam oficjerów, ale co takiego jak waćpan...

Stadnicki dotknięty do żywego, porwał się z posłania i doskoczył do markietanki.

— Milczeć! Co wy, psia mać! Na kawałki porąbię!...

— Porąbiesz waćpan!?... No, dalej! Przecież nie uciekam!... a jakiem bezbronna sierota, porucznikowi przymawiać nie pozwolę!...

— Oszaleliście? Czego odemnie chcecie?... Nie lubię z babami! Nie chcę słyszeć o waszym poruczniku! Pilno wam do niego? Jemu do was nie!... Dawno go widziałem?... Skończona poufałość!... Wynosić się!... Wiedzieć nie chcę o niczem!...

— Przecież — odrzekła markietanka ponuro — człowieczeństwa odrobina mi się należy!... Jeżeli nie mnie, to tej biednej dziewczynie!... Waćpan powiadałeś się przyjacielem nieboszczyka Dziewanowskiego, a toć jego jest siostrzyca jedyna! Bodaj dobre słowo!

— Dobre słowo?... Więc zabierać ją stąd czemprędzej — niech ucieka!... Dziś jeszcze, psia mać! Nie dla niej miejsce! Bo... bo... jak tę wilczą jamę saragoską ścisną, to ani obejrzycie się, jak para gołąbków z niej wyleci!... No, teraz wiecie?...

— Nie, nic nie wiem!

— Florek jest w Saragossie!...

— Jezu Chryste! — zakrzyknęła z przerażeniem markietanka. Co waćpan powiada? On, on?... Przecież miał zginąć?...

— No i zginął!... Wczoraj go odnalazłem!..

— Olaboga! Toć go tam biedaka zamordują te Hiszpany! Od zmysłów odchodzę! W Saragossie... w niewoli!...

— Nie bójcie się... psia mać! — przedrzeźniał ze złością Stadnicki. — Nic temu kanarkowi nie będzie!... Znalazł sobie taką opiekunkę, że mu włos z głowy nie spadnie. Cała Saragossa może się zapaść, a jemu nawet nikt palcem nie pogrozi! Zmiarkowałem dobrze!...

— Czy aby prawda? — trwożyła się Żubrowa. — Dałby Bóg! Panie poruczniku, napytlowałam rozmaitości... Człowieka dojęło! Jezu! A to mi ciężar spada z serca!... Uf!... Więc bezpieczny? Ba! Toć i Hiszpany się na nim poznały!... Ho!... Nasz porucznik to serce zacne, wielkie serce!

— Właśnie dlatego... więc psia mać... seniorita Dolores, jak nic w tej obszerności się zmieściła!...

— Seniorita Dolores? — szepnęła Żubrowa ze drżeniem w głosie

— Powiedziałem! Gadać jedno wkoło nie lubię! Zbierać manatki i fora! Ta panna nie ma czego wystawać, chyba że sobie chce innego upolować oficjera, a może do seniority w kumy iść się naprasza?

Żubrowa zwiesiła głowę i dyszała ciężko, a potem chwyciła gwałtownie Stadnickiego za rękę i błagać jęła, by całą powiedział jej prawdę. Porucznik rzucał się, jeżył, lecz uległ prośbom.

Markietanka z zapartym oddechem wysłuchała opowiadania Stadnickiego. Gdy ten skończył, rozpłakała się jak dziecko.

Porucznikowi żal się baby zrobiło.

— Co tam! Stało się! Dziewczynę malować!... Na dno piekła najtwardszegoby zaprowadziła! Ród, zdaje się przedni!... Córka generała czy pułkownika! Florek też nie z kamienia! Seniorita patrzy nań jak

w obraz i aż piszczy!... Niema czego desperować! Dziewanowska cebulka nielada, znajdzie sobie!...

— A... a... dzieci? — jęknęła Żubrowa.

— Co powiadacie?... Więc porucznik ma potomstwo?

— Jeszcze nie, ale my mieliśmy z moim starym!...

— Ze starym? Któż wam broni?

Żubrowa trzęsła głową.

— Nie, nie! Nie może być! Dolores? Nigdy!... Ani myśli!... O chłopy, chłopy... Niechże ją chwycę! Nie daruję, jakiem Muszyńska z domu! Porucznika jej się zachciało! Wara do stu tysięcy bomb! Już wolej, gdyby kula!... Święty Antoni, żebym nie wymówiła!... Oj, dola, dola! Ślepie wydrapię, łeb oskubię!... Co my teraz!... Gdzie, ani myśli!... Przetrącę! O! żebym ci tę czarownicę dostała — bezbronną sierotą jestem — leczby wstrętu miała na całe życie!... Ooo!... A waćpan, waćpan mu ani słówka nie powiedziałeś?... Ani słowa? Ani napomnienia?...

— Na co? Do kazań nie jestem! Coby to pomogło?... Ma swój rozum!...

Naraz Żubrowa uderzyła się energicznie w czoło.

— O głowo zakuta! Phi!... Nigdy! Nie wierzę! Rozumiesz waćpan, nie uwierzę, aż nie obaczę! Porucznik dał słowo!... Parol!

— Może. Policzno waćpani sobie, ile to „parolów“ nasz regiment rozdał po drodze rozmaitym dziewkom!

— Regiment? Sto regimentów, ale nie nasz porucznik.

— Zobaczymy!

— Juści! Kłaniam uniżenie!

Markietanka wybiegła wzburzona z baraku, lecz po chwili, jakby nowemi tknięta myślami, powróciła do Stadnickiego.

— Panie poruczniku! Jak jest, to jest — obliguję waćpana nie wspominać... bo dyabeł zawsze dyabłem! Lepiej licha nie kusić! Niech ona nie wie!... Zagryzłaby się, zamartwiła!...

Stadnicki przyrzekł tajemnicy dochować. Lecz ciężko mu z nią było. Sam nie wiedział dlaczego, ale

dawna jego życzliwość dla Floryana ostygła — niedość — Gotartowski złość w nim budził.

Porucznik skwaśniał tak raptownie, iż go starzy towarzysze, jak Jaworski i Masłowski, poznać nie mogli. Pan Józef pod natarczywemi ich pytaniami wił się jak piskorz, wykręcał i cały swój niehumor na Michałowskiego spędzał, klnąc godzinę, w której awans i przenosiny do drugiego pułku legii przyjął.

Markietanka także spochmurniała. Nietylko ją dawny rezon opuścił, lecz i pewność siebie. Po całych dniach udawała zajętą, unikając nawet rozmów z Zośką, kiedy zaś ostatnia nalegała silniej, Żubrowa wzdychała ciężko i mruczała przez zęby:

— Co mi jest? Nic! Dokuczyło człowiekowi to cygaństwo!... Radby manatki zebrać i wracać! W tem piekle niczego się nie dopyta! Lepiej przeczekać — skończyć się to przecież musi. Gdzie teraz!?...

Zofii ta zmiana wydała się podejrzaną — upatrzyła więc chwilę sposobną i odezwała się znienacka:

— Żubrowa — wiem wszystko!

Markietanka aż się zatoczyła z przerażenia.

— Paniusiu... niby?

— Wiem! — powtórzyła z mocą Zośka, rada, że podejście taki osiągnęło skutek. — I cóż wy na to?

— Ja?... Cóż ja!... Chłopy niegodziwce! Najpoczciwszego się bałamuctwa trzymają. Przysięga, a potem fyrknie mu pod nosem spódniczka i już... już go niema! Już się wdzięczy do innej!...

— Żubrowa! — ozwała się ze drżeniem w głosie Zośka. — O kim wy mówicie?...

— O kim?!

— Chcę wiedzieć! Muszę wiedzieć!... Więc on!?...

Markietanka w jednej chwili odzyskała równowagę.

— Nicpoń jest... szelma... latawiec, umizgant, męczyfartuszek. Zawsze był taki!... Dalipan, jak przycupnę na gorącem, uszy oberwę!

Dziewanowska ze wzrastającem zdziwieniem wpatrywała się w markietankę.

— Ukrywacie przedemną?...

— Pewnie, pewnie, że ukrywam. Cóż to honor wielki męża gałgana mieć! Daj mu Panie wszystko co najlepsze! Ale niechże się strzeże, aby mu rogi — tfy! — nie wyrosły! tfy!... O to nie trudno!... Jakem tego!... Niech się zawezmę, jeszcze potrafię... Jego sterane kości łasą nalazły... to i ja przecież wycyganię sobie bodaj dobosza.

Żubrowa zaperzyła się niby i jęła coraz energiczniej żale swoje wywodzić, łżąc na poczekaniu i powiadając Zośce, jako do regimentu saperów przykomenderowano wachmistrzów, którzy z Żubrem służyli i widzieli go, jak z jakąś Hiszpanką do nielada przyszedł amorów.

Kłamstwo poszło gładko. Zośka dopytywała się podejrzliwie, trzęsła nieufnie główką, markietanka atoli broniła się zawzięcie i podejść się po raz drugi nie dała.

Tymczasem bombardowanie trwało dalej. Grad kul nie przestawał razić Saragossy.

Pięć dni i pięć nocy pracowały armaty francuskie, łomocząc mury i burząc fosy; przez pięć dni Saragossanie pod deszczem żelaza i ognia podpierali osuwające się ściany, zastawiali wyrwy, naprawiali wały ochronne, zmagali się z kartaczami.

Dnia dwudziestego siódmego stycznia artylerya francuska umilkła. Kolumny piechoty stanęły pod bronią. Lacoste zdołał odwrócić czujność kontrminierów hiszpańskich i mury klasztoru Santa Engracia ujął we dwa złowrogie chodniki.

Lannesowi oczy gorzały. Wśród nocy ponurej sam przebiegał szeregi, sam nakazał ściągnięcie placówek.

Plan był krótki. Miny rozsadzą mury klasztorne, piechota pójdzie do szturmu na gruzy i na pokruszone już przez armaty wały.

Obóz francuski zalegała cisza grobowa. Wśród namiotów wyciągać się zaczęły czarne pasy i łączyć w czworoboki. Wejście do min osłaniał trzeci pułk legii pod Szottem. Lacoste z saperami czuwał przy lontach.

Saragossa spała.

Naraz na czele trzeciego pułku powstał zgiełk głuchy, gwałtowny, a za nim bezładny odgłos wystrzałów.

Trzeci pułk złamał się, zmieszał i wpadł na drugi regiment Kąsinowskiego. Okrzyk grozy dobył się z piersi żołnierzy. Noc ciemna spotęgowała popłoch. Pułki chwiały się — trąbki grały na alarm — komenda niknęła wśród warczenia bębnów. Dowódcy tracili głowy.

U wejścia do przekopów wrzał tymczasem bój zażarty, śmiertelny. Butron z Boggierą dowodzili wycieczką.

Już spędzili regiment Szotta — już pierwsi saperzy padli — a inni w zamieszaniu jęli rotowym ogniem dziesiątkować oddział trzeciego pułku, biorąc go za nieprzyjaciela, gdy Lacoste prochowymi lontami zapalił stosy drzewa. Szott jak lew rzucił się z karabinem w ręku. Chłopicki z pierwszym pułkiem zaszedł z boku.

Lecz Hiszpanów prowadził szalony Butron i zażarty Boggiero! Hiszpanie darli się jak lwy, świadomi miejsca, do którego dążyli.

Wejście do chodnika lada chwila miało się stać zdobyczą Hiszpanów, lada chwila owoc dwutygodniowej pracy miał być zburzonym.

Lacoste nie zawahał się. Porwał płonącą szczapę i zniknął w otworze chodnika...

Hiszpanie ostatka sił dobywali — byle do miny dotrzeć.

Już Szott starł się z Butronem i skrwawił mu pierś bagnetem, gdy wtem huk straszny wstrząsnął powietrzem.

Fala kamieni i odłamów muru wzbiła się pod czarne obłoki. Ziemia jęknęła ponuro i zadrżała w posadach.

Klasztor Santa Engracia leżał w gruzach!...

Hiszpanie cofnęli się. Łuna pożaru zadrgała na sklepieniu niebieskiem. Lannes jak burza spadł na pułki piechoty.

Legia ruszyła z bagnetami pochylonymi. Ruszyła na mury, na gruzy.

Saragossa plunęła żelazem. Pułki szły. Nic ich nie zdołało powstrzymać, nic strwożyć! Za krok każdy, za każdą piędź ziemi krwawy składały haracz i szły.

Legię wiódł Chłopicki.

Działa hiszpańskie raziły coraz gwałtowniej. Stojący na murach, wałach i gruzach Hiszpanie już ręcznym ogniem sięgali...

Bębny warknęły zajadlej. Piechota kłusem uderzyła na przekopy i resztki zburzonego klasztoru.

Zaczął się bój na bagnety, na szable, na kolby, na noże, na pięście.

Hiszpanie bronili się zawzięcie. Ani jeden nie cofnął się, ani jeden przed zgonem broni z rąk nie wypuścił. Lecz i piechota legii nie ustępowała.

Godzinę trwało to potykanie się, godzinę lała się krew, przez godzinę ani jeden sztandar się nie zachwiał.

Lecz naraz za szeregiem Hiszpanów ukazał się tłum zbity — bezładny. Na czele jego szły krzyże, niesione przez zakonników. Tłum zbliżał się do okopów z pomrukiem modlitwy na ustach, z błyskawicami w rozpalonych oczach.

Żołnierze hiszpańscy cofnęli się, rozstąpili — tłum potoczył się ku wałom i murom.

Na oblegających runął grad kamieni, lunęły strumienie wrzącej wody, sztaby żelaza. Belki gruchotały żołnierzy — miażdżyły. Osadzone na długich żerdziach noże — cięły strasznie. Kołyszące się ponad wałami krzyże budziły lęk.

Pierwsze szeregi legii zachwiały się i cofnęły.

Chłopicki zaklął. Armaty hiszpańskie zagrały silniej. Lannes wpadł na drugi pułk Kąsinowskiego, który stał dotąd bezczynnie. Kąsinowski skinął na doboszów i sygnalistów i porwał za sobą pułk.

Gros-major Michałowski szedł w pierwszym szeregu, mając około siebie nowomianowanych poruczników.

Gdy bębny zagrały, major zacisnął pas na brzuchu i rozpoczął perorę:

— Równo! Trzymać krok!... Ani na włos mi nie chybiać!... Piechota! Piechota mur!... Bagnety niżej — oko śmiało, nachylenie — ciężarem gnieć!... Niech znają!... Świszczą kule! Równo! Kula nie mucha! Jest tu twoja, to cię znajdzie! Szlusuj! Mości Stadnicki, tak, dobrze! Nauczysz się!... Właśnie, karabin w garści — to lubię!... To nie skakanie, wywijanie żelazkiem, kiwanie kitką, straszenie czapką... kawalerya... choroba! Miara — szereg! Już się szczerzą!... Do ataku!... Równo! Razem, chłopcy!... Łomocz! Naprzód — choroba!...

Drugi pułk uderzył tak gwałtownie, że zdało się, iż mury jęknęły. Hiszpanie atoli nowy szturm przyjęli jeszcze dzielniej. Napróżno Kąsinowski zachęcał a nawoływał. Pułk taczał się pod gradem kul, pławił się we krwi, a wystać nie mógł.

— Równo dzieci!... Na bagnety... choroba! Mur do krocset! Razem! Grzmoć!...

Stojący obok Michałowskiego porucznicy walczyli zaciekle, lecz coraz to któryś łamał linię i bądź następował z bagnetem, bądź, broniąc się, razem cofał się i zapierał o drugi szereg. Szczególniej Stadnicki był niesfornym. Major to dostrzegł i huknął nań:

— Stadnicki, szereg!... Tu nie szwoleżerzy!... Choroba!...

Stadnickiemu na to odezwanie się w oczach pociemniało. Schwycił karabin za lufę i ryknął swym basem:

— Szwoleżerzy, właśnie! Za mną chłopcy! Niech żyje cesarz!

Zanim major zdołał opamiętać się, Stadnicki, jak piorun rzucił się na Hiszpanów, młócąc kolbą karabinu. Jaworski, Masłowski i Strumiłło wpadli za nim i pociągnęli żołnierzy. Klin legii, prowadzony przez Stadnickiego, wżarł się w środek Hiszpanów i rozdarł go.

Napróżno bohaterski San Genis na czele garstki Szwajcarów wyparować chciał śmiałków — napróżno sam wiódł, sam pierwszy nacierał.

Legia, jak potok, który raz wyrwę znalazłszy, pędzi niczem nie powstrzymany i zatapia równinę — tak ona opanowała już gruzy klasztorne, już wpadła poprzez zawalone trupami ogrody na Coso. Lecz domy Saragossy zamieniły się w ogniem ziejące fortece...

Trąbki zwoływały zbór.

Saragossa nie poddała się.

W łonie jej wyżarto już krwawą drogę, połowa domów groziła zawaleniem, rozłożyste miasto stało się ledwie pasem chwiejących się zabudowań! Główne baterye dostały się w ręce nieprzyjaciół, a dzwony Nuestra Seniora del Pilar nie przestały Aragończyków wzywać do obrony.

Sztandar króla Ferdynanda VII. łopotał hardo na wieży kościoła La Seo i tulił się do ramion krzyża.

Na ulicach stawiano barykady — okna przeistaczały się w strzelnice. Miny czyhały na wrogów, aby ich pogrzebać.

Nieprzyjaciel sroższy od oblegających trawił Saragossę w jej ostatnich szańcach.

Chleba już nie było. Konie i psy zjedzono. Każde ziarnko, każda łyżka najnikczemniejszej strawy szła na wagę złota... aż w końcu i ono utraciło wartość.

Straż obywatelska coraz częściej w piwnicach domów znajdowała niezastygłe jeszcze zwłoki z wyrwanemi kawałami ciała...

Zaraza wybuchała coraz gwałtowniej, coraz zajadlej. Umarłych zaprzestano grzebać... Wrzucano ich do opuszczonych piwnic lub lochów — a gdy te się wypełniały, zawalano kamieniami otwór i ustawiano przy nich straż. Ludzie stali się już hyenami.

Dumna stolica Arragonu przeistaczała się w jedną wielką mogiłę. Już trzydzieści tysięcy ludzi ubyło...

Palafox bronił się — Lannes coraz silniej zaciskał pierścień armat.

Nazajutrz po wzięciu Coso, gdy zmordowana legia nadwiślańska spoczywała, generał Gazan, stojący za Ebrem, pod murami przedmieścia Arrabal, rzucił się zaciekle do szturmu; Manso i Esteban Fleury stali na murach! Gazan dzień i noc sypał żelazem. Co chwila pułki szaserów i fizylierów darły się na wały i cofały się zdziesiątkowane. Fosy hiszpańskie, wypełniane ciałami poległych, stawały się płytszemi, łatwiejszemi do przebycia.

Minierzy pracowali bez wytchnienia. Lecz i tu Palafox czuwał.

Gruzy klasztoru Santa Engracia, które w złomach swoich były znakomitą fortecą dla strzelców francuskich, już na drugi dzień stały się pastwą miny hiszpańskiej.

Co dnia palono budowle, mogące być osłoną dla oblegających, co dnia ziemia usuwała się pod stopami ludzi, roztwierała swoje łono i grzebała całe oddziały.

W wojsku Lannesa budzić się jął pomruk, pomruk straszny, groźny... Żołnierze szemrali już. Żywności nie było. Racye coraz mniejsze wydawano.

Wysłane na furaże oddziały kawaleryi wracały z pustemi sakwami. Guerille naokół niszczyły wsie i miasteczka, paliły zapasy. Arragończycy opuszczali swoje siedziby, uwozili dobytek lub sami ogień podkładali.

Lannes pojął burzę, która wisiała w powietrzu. Zagrzewał słowem, świecił przykładem i z wysiłkiem żelaznej woli chwytał wysuwające mu się z rąk nici karności.

Lecz żołnierz był zniechęcony. Głód go wyczerpywał, alarmy ciągłe mordowały, ziąb siał złośliwe gorączki i febry, a nawet ambulanse goniły resztkami leków. W obozie francuskim co dnia ginęły konie, muły, osły. Dowódcy nie przedsiębrali śledztw. Nawet tłuszcz ze skór zwierząt topiono na omastę do sucharów.

Gorszą może od tego niedostatku była sama walka. Żołnierz francuski przywykł był do wielkich rozpraw w szerokiem polu, do potykania się zwar-

temi kolumnami, do bitew decydujących, krótkich, stanowczych.

Pod murami zaś Saragossy bitwy trwały już całe tygodnie, każda zdobycz była tak krwawą, że raczej nazwaćby się mogła klęską. Po najzacieklejszym szturmie... owocem jego były tylko gruzy i pogorzeliska, zasłane trupami. Zwalony z nóg Hiszpan jeszcze po nóż sięgał i czołgał się i dobijał rannych, a obezwładniał wrogów. Nawet gdy go brano na nosze, aby do ambulansu przenieść, jeszcze umiał razić z niewypalonego pistoletu. Chirurdzy obawiali się dostąpić do rannych Hiszpanów. Saragossanin drogo sprzedawał swe życie.

Żołnierz francuski umiał walczyć i walczył chętnie z żołnierzem — gdy tu, spotykał się z dziećmi, z kobietami, ze starcami. Głowa siwa, twarz brózdami zorana, lica jaśniejące młodością i krasą, drobna postać dziecka, jawiły mu się co chwila śród najzaciętszej rzezi... wytrącały broń z ręki!...

Lecz biada tym, których serca nie skamieniały!... Dziecko, starzec, dziewczyna z oczyma cheruba władała nożem, trzymać umiała karabin i z dziką radością bodaj rannych dobijała. Na dachach Saragossy codzień ukazywały się zatknięte na tykach głowy tych, co w szturmie zbyt daleko się zapędzili.

W korpusie Lannesa serce nagle zastygło. Żołnierz głuchą wybuchnął nienawiścią — na mord odpowiadał mordem — na śmierć śmiercią! Nie było łaski przebaczenia, pardonu, niewolnika. Stal pruła wnętrzności Hiszpanów. Rannych rozstrzeliwano.

Generał Souchet, użerający się poza obozem z bandami guerillów, był strasznym. Jeniec w ponurem jego oku znalazł zawsze jeden i ten sam wyrok nieodwołalny — śmierć! Jeżeli nawet lekkokonnym oddziałom Soucheta udało się pochwycić tabor powstańczy — i tu zakończenie było krótkie. Na polanę spędzano kobiety, dzieci i obrońców praw Ferdynanda VII. i szarpano ich rotowym ogniem. Żadnych sądów, żadnych rozpraw — kula rozstrzygała zawsze.

Krew za krew! — było hasłem.

A ponad tym mordem, ponad tą rzezią wzajemną, ponad łunami pożarów, po nad zlodowaciałemi sercami — unoszono krzyże i szeptano modlitwy.

Aż niebo zasnuło się kirem chmur i grozić zdało się bluźniercom, którzy godła pokoju i miłości nieśli na hańbę, na zniewagę po oszpeconych trupach, po ciałach wydanych na mękę!...

Po zdobyciu Coso, pułk Kąsinowskiego za decyzyą marszałka trzydniowy dostał wypoczynek na zaprowadzenie ładu w mocno przerzedzonych szeregach. Zabitych i rannych było co niemiara — między oficerami nawet nie brakło ran ciężkich.

Gros-major frasował się a sam zabiegał, byle cierpiącym ulżyć — najwięcej zaś troszczył się o Stadnickiego, który prócz cięcia po głowie dostał znów kontuzyę i to w toż samo miejsce nad biodrem, co pod Somo-Sierrą. Major nie pozwolił nawet pana Józefa do ambulansów zanieść, lecz naradziwszy się z doktorem Guliczem, oddał go Żubrowej.

Stadnicki cierpiał mocno, lecz znać po sobie nie dawał i leżał blady, siny z bólu, lecz milczący.

Michałowski po kilka razy dziennie zaglądał do namiotu rozbitego przy furgonie markietanki i pochylał się nad Stadnickim.

— Jakże waćpanu? Hm! Co? Piecze? Choroba!... Zdaliśmy raport marszałkowi. No, tabaczki. Gdzie tobie... Byle spokojnie i tego!... Jakżeś to ty krzyknął?... „Szwoleżerzy... właśnie!“ Rozpęd, wigor, impet, morowość... choroba!.. W ogieńby! Hm! Słowa nie piśnij, bo ci się drzazga taka zapali w oczach!... Co tu gadać... krzyż, kochanku!... Zjadłeś wszystkich!... Pułkownik gdzie został!... Hm! Nie myślałem... kawalerya... na piechotę, tego!... A jakże kochanku!... Piechota, to jest wszystko — wał nie wał, góra nie góra, okop, skała, las nie las — wszędzie!... Marszem, kłusem, na brzuchu, po drzewach, po drabinach i... hm! choroba! Cóż ty się tak krzywisz? Dokucza, co?

— Psia mać! — jęczał Stadnicki.

— Czekaj, kochanku, sprowadzę ci Gulicza! Musi Niemiec, szelma, poradzić, bo opłazuję, kochanku!...

Major poprawił energicznie pasa na okrągłym brzuszku i biegł do medyka.

O dziwo, po odejściu majora chory się uspakajał zazwyczaj. Baczna na wszystko Żubrowa domyśliła się, w czem rzecz i gdy Michałowski po raz piąty zwykłą sobie perorę jął wygłaszać nad Stadnickim, ozwała się z perswazyą:

— Bez urazy, jużby pan major dał spokój panu porucznikowi z tą piechotą! Jemu to pewnie do smaku nie idzie...

— Hę? Co, kochanku? Piechota nie w smak? A wiecie wy, co to jest piechota, hę?

— Juści nie sekret, bo pan major to z mendel razy codzień powtarza.

— Nic, kochanku! — przerwał surowo Michałowski, palec podnosząc do góry. — Piechota — to sedno, jądro, fundament, serce, grunt!...

— Choroba... psia mać! — wybuchnął nagle Stadnicki.

Gros-major kiwnął z zadowoleniem głową.

— Dobrze, kochanku! Przekonałeś się — kawalerya to... aby rozgony, posyłki, furaże, sztafety, widety, kuryery, ordynanse... choroba i koniec! Nie, nie spieraj się! Byłeś szwoleżerem, aleś urodził się na piechura! Ja ci mówię. Widzisz, nawet konia sam zjadłeś.

Stadnicki zerwał się z posłania.

— Dosyć!... Nie chcę znać piechoty, psia mać! Dymisya!... Nie lubię... Tu mi jeszcze dopieka!...

Opaska z głowy zsunęła się. Krew broczyć zaczęła. Porucznik omdlał. Żubrowa aż zgrzytnęła zębami.

— Będzie ci wyzdrowienie! Pan major ani krzty serca nie ma! Gdzie mu biedakowi! Głowa rozwalona! Bez czucia!...

Major przestraszył się.

— Kochanku! Hej! Gulicza co tchu!

— I na co? Ledwie on naprawi — już ci pan major popsuje.

— Popsuje!... Juści... kiedy mu moja fizys tak opaczna! Ale bo szkoda go — uważacie, Żubrowa, piechota...

— Znów ci piechota wyjechała!... Doktora potrzeba, bodaj cyrulika! Bandaż krwawi!

Major porzuciwszy swój wykład o wyższości piechoty nad jazdą, pobiegł szybko do ambulansów.

Niebawem zjawił się doktor Gulicz z cyrulikami, zmienił bandaże, opatrzył rannego i przewrócił znacząco oczyma.

— Jakże, jakże, panie doktorze? — spytała Żubrowa.

— Bezie koronszka! — zaopiniował medyk. — Rumana napasić i pyć! Glofę w simny fodzie umocić. W nogi i brzuch srobić sieplo!

— Co, co mu robić?...

— Sieplo!

— Z kubeczek malagi?

Doktor Gulicz zatrząsł się.

— Was ist das? Keine Malaga! Kein Wein! Frau Szubrofa niech bezie temperatur... niech mu nic nie dmucha... Keine Luft! Rumana pyć!

— Piesby się ogonem z tobą rozmówił!...

— Pies? Nein! Z pies bedzie dym, feuer, schlechte temperatur.

— No, no, już dobrze! Wiem, co mam robić! Gadaj sobie zdrów!...

— Sdrów? Bezie sdrów! Herr leutnant hat eine wunderschöne konstruction.

Gulicz odszedł do lazaretu. Markietanka tymczasem po swojemu zabrała się do chorego. Przy pomocy Pietrka i Zośki przeniosła go pod nakrycie na wóz, nagotowała odwaru z pomarańczowego kwiatu, wzmocniła bandaże i zarządziła czuwanie.

Stadnicki dyszał ciężko. Gorączka coraz silniejsza go napadała. Równocześnie chorobliwy sen zamknął mu oczy. Nad wieczorem przyplątała się maligna i szarpała nim. Porucznik co chwila, jakąś mocą pa-

lony, zrywał się, ściągał bandaże, wodził błędnie uchylonemi oczyma i bełkotał wyrazy bez związku.

Żubrowa nie odstępowała Stadnickiego ani na chwilę. Zmieniała zimne okłady, zwilżała usta rannego łagodzącym płynem, poprawiała zsuwające się dery.

Nad ranem markietankę zmieniła Zośka. Maligna trwała dalej. Zośka jeszcze z większą pieczołowitością doglądała rannego.

Noc była zimna, przejmująca. Armaty wyły ponuro. Obóz francuski czuwał. Rezerwy stały ciągle pod bronią, aby odeprzeć spodziewaną wycieczkę oblężonych. Między namiotami z łoskotem i zgrzytem snuły się wozy ambulansowe. Żandarmerya polowa objeżdżała placówki.

Zofia siedziała zadumana u wezgłowia Stadnickiego, wypatrując niecierpliwie brzasku. Noc styczniowa nie ustępowała tak łatwo. Słońce zimowe nieśmiało skradało się z za mórz — nie jego było panowanie, nie jego królowanie.

Stadnicki bredził coraz gwałtowniej. Z ust jego wypadały bezładne wyrazy. Zofia nie zwracała na nie uwagi, zapatrzona myślą w głąb własnej duszy.

Porucznik tymczasem prowadził w malignie do ataku, klął majora, rozmawiał z Kellermanem, pełnił służbę... aż nagle zaczął rozmawiać z Floryanem i Żubrową.

Gdy Stadnicki wymówił po raz pierwszy imię „Florek“, Zofia drgnęła i machinalnie jęła nasłuchiwać.

— Florek! — bełkotał chory. — Masz szczęście, psia mać! Taka niewola!... Nie żal!... Migdał dziewczyna!... Dolores!... A tu druga znów! Carramba!... Niech wraca!... Nie dla niej miejsce! Podda się miasto, psia mać... i co?... Chrzciny będą! Nicpoń! Setny towarzysz, lecz bodaj go!... Nie lubię, psia mać... Licho mnie tu przyniosło! Szwoleżerzy do stu dyabłów!... Znaj mores, piechurze!...

Stadnicki odetchnął ciężko i umilkł. Zofię jakieś złowieszcze ogarnęło przeczucie. W sercu jej podej-

rzenie zadrgało. Zachowanie się Żubrowej od dni kilku było dziwnem bardzo — jej ustawiczne westchnienia do powrotu niezrozumiałe, a ta... opowieść o wiarołomstwie starego Żubra wprost dziwaczną!...

Myśl straszna uderzyła Zofię.

Zwątpienie ścisnęło ją za serce!...

Tyle miesięcy już upłynęło... Czy pamięta?... Czy dochował?... Jeżeli poszedł za inną?

Rumieńce zaogniły delikatną twarzyczkę Zośki, w oczach jej zabłysły iskry...

— Muszę dojść prawdy! — szepnęła z mocą.

Gdy się to działo, Saragossa trwała w hardem milczeniu. Naprożno kule francuskie łomotały o resztki jej murów. Stolica Aragonu nie odpowiadała. Straże ledwie przebiegały wąskie uliczki, gasiły ognie rozniecone lub naprawiały osunięte barykady. Na murach, w oknach domów wpół zawalonych belkami, gdzieniegdzie migała twarz wartownika. Zresztą cisza. Ludzie spali w piwnicach, w wykopach lub kajali się u stóp Nuestra Seniora del Pilar.

W pałacu książąt de Luna gorzały pochodnie. Chunta zebrała się na naradę, a raczej na rozejrzenie się w spustoszeniu po ostatnim szturmie.

Generał San March zdawał sprawę wśród głuchego milczenia.

— Coso opanowane, ten jeden pałac... ocalał... nie na długo. Obrady trzeba przenieść do pałacu Infantado, pod katedrę. Tysiąc ludzi legło!... Waleczny San Genis kona z ran!... Esteban Fleury broni przedmieścia... Czy długo jeszcze, nie wiadomo... Nabojów coraz mniej! Gdyby opanowali Arrabal!... most na Ebro trzeba zburzyć!... Resztki koniny nikną... Za tydzień ci tylko otrzymywać będą racye, którzy mogą stanąć do walki. Dla ludu, dla chorych nie starczy!... Butron w tej chwili skrada się z oddziałem na pobojowisku... Rezultat wątpliwy! Snać w obozie nieprzyjacielskim musi być nędza... W tornistrach Francuzów coraz rzadziej można się spotkać z manierką, z sucharem... Nabojów trochę przybędzie!...

— Ciężko! — mruknął generał Manso. — Martin Diaz jest widocznie bezsilnym!...

— Są jednak prócz niego... Albuir, Juan Palarea! — wtrącił pośpiesznie Santiago Sas.

— Czy są? — rzekł niedowierzająco Villalba. — Kordon francuski musi być silny, jeżeli przerwać go nie zdołali! Kto wie, co się w kraju dzieje?... Może my jesteśmy ostatnią placówką, która stawia czoło?... Może wysiłki nasze daremne?...

— Nigdy — przerwał sucho Palafox — daremnemi być nie mogą!... Saragossa nie shańbi się kapitulacyą! Komu zaś ciasno, ten ma wolną drogę... Ja zostanę!

— I my wszyscy z tobą! — zawołał z zapałem Boggiero. — Na śmierć!

— Na śmierć! Amen! — rozległy się głosy.

Palafox powstał i odezwał się po małej chwili:

— Teraz czas, byśmy podzielili między siebie domy!... Don Manuel Cavallero... niech kończy miny... Bronić będziemy każdej piędzi, a jeżeli wedrą się, to rozpoczniemy walkę na noże od piwnic aż do stropu... gdy i tu nas zmogą, wybuch musi pogrzebać wrogów. Śmierć nasza musi być śmiercią ich!...

— Amen!... — potwierdzili członkowie chunty.

Don Pedro de Ric milczał, zwiesiwszy ponuro głowę. Gdy Palafox skończył, rzekł cichym, drżącym głosem:

— Prześwietna chunto! Oto ja zwracam się do ciebie z pokorną prośbą... Wspomnijcie na oddanie się moje, na usługi... na poświęcenie!...

— Mówcież, don Pedro, mówcież! — rozległy się przyjazne głosy.

De Ric odetchnął ciężko, jak gdyby siły zbierał.

— Ciężko powiedzieć!... Wolałbym chwili tej nie dożyć! Lecz powiem!... Straciłem dwóch synów... umarła mi przed tygodniem żona... wczoraj siostra!... Nie szemrałem, nie skarżyłem się!... Dziś stygnie mi na rękach córka!... Ostatnie dziecko, jedyna córka!... Umiera... z głodu!... Wątła zawsze, słabowita... głód ją dobija!... Leży bezwładna prawie... Porcya, którą

mi wydzielacie na nas dwoje, nie starczy!... Od wczoraj w ustach nic nie miałem...

Głos don Pedra złamał się nagle. Członkowie chunty milczeli. De Ric pasował się z samym sobą, borykał się z dumą rodu, z hardością krwi. On, pan wielki, bogacz, grand hiszpański, potomek wysokiego rodu, musiał ugiąć się, ręce wyciągnąć i błagać o chleb dla swego dziecka!...

Po długiej, męczącej chwili don Pedro zaczerpnął gwałtownie powietrza i wyrzucił z siebie:

— Więc zaklinam was! Dajcie jedną racyę więcej!... Zamrze!...

Wycie armat francuskich było odpowiedzią chunty.

Don Pedro powiódł błędnym wzrokiem po zebranych i szepnął rozpaczliwie:

— Pół racyi!...

Chunta nie odpowiadała.

— Na Boga!... ćwierć!

— Don Pedro! — przemówił nareszcie Santiago Sas. Dla ciebie chcielibyśmy! Lecz wiesz, wyjątków niema żadnych... Najmniejsze uchybienie władzy sprowadzić mogłoby bunt!... Niech cię Bóg pocieszy w nieszczęściu!

— Niech cię Bóg pocieszy! — powtórzyli członkowie chunty.

De Ric jak gdyby własnym uszom nie wierzył.

— Odmawiacie, mnie odmawiacie?..

— Prawa są jedne dla wszystkich! — mruknął Boggiero.

— Dziecko moje!... Jedyne dziecko!

— Umiera ich dziesiątki! — zauważył z nieubłaganą oschłością Santiago Sas. — Zobacz, don Pedro, co się dzieje przed Lonchą!... Każda porcya przechodzi przez kontrolę dwunastu!... A potem, przyjrzyj się zbliska temu tłumowi, zalegającemu codzień ulice, przekonasz się, że tu nasza władza ustaje!...

De Ric jęknął głucho. Na czole jego ukazały się sine plamy. Członkowie chunty powstali z miejsc

i zaczęli się rozchodzić. Don Pedro siedział za stołem, jak skamieniały. Z czem pójdzie do konającej córki?

Wtem do zrozpaczonego starca podszedł Palafox.

— Don Pedro... Ja czuję się trochę niezdrowym!... Jeść nie mogę!... Dziś weźmiesz moją część... pół szklanki wina i kawałek suchara...

— Palafoxie!... Połowę majątku mego!...

Palafox uśmiechnął się pobłażliwie.

— I cóżbym z nim począł?... Sam widzisz, ile jest wart!...

Butron i San March zbliżyli się do Palafoxa.

— Wodzu — rzekł ten ostatni — kiedy każesz rozpocząć ogień?

Palafox potarł zmarszczone czoło.

— Ogień? Prawda!... Sam rozporządź! Daruj mi!.. Czuję się osłabionym... Dajcie mi spocząć!...

— Palafoxie! — ozwał się niespokojnie Butron. — Na Boga, co ci jest? Pójdę wezwać ojca Antonia!

— Nie, nie trzeba! Chwilowe wyczerpanie... przejdzie!...

— Zdrowie twoje wiesz, czem jest dla Saragossy!...

— Więc nie rzucaj niepotrzebnie wieści, któraby mogła wywołać niepotrzebny niepokój! San March mnie zastąpi.

Butron chciał protestować, lecz Palafox przerwał mu ruchem ręki i odszedł w głąb pałacu.

Obrońca Saragossy minął kilka komnat i krużganków i zapuścił się w wąski korytarz. Palafox szedł powoli, krocząc ociężale śród panujących ciemności. Chwilami ustawał i zatrzymywał się dla nabrania tchu. Wreszcie dotarł do wąskich drzwiczek i zapukał. Zamek zgrzytnął. Palafox znalazł się w wysokiej izbie, słabo oświetlonej kopcącą lampką olejną. Przed nim stał młody mężczyzna.

— Witaj mi, kawalerze! — rzekł cicho Palafox. — Ja do ciebie... spocząć na ławie! Ciężko mi!...

— Jakież nowiny, jakież?

— Cha! Ciesz się!... Coraz gorzej, a raczej dla ciebie coraz lepiej! Nie słyszysz, jak armaty grają?... Nie odpowiadamy!... Nie stać nas na niepewne strzały! Głód... zaraza... ciesz się!

Młody mężczyzna spojrzał z wyrzutem na Palafoxa.

— Gorzkie wasze słowa i niesprawiedliwe! A gdybym mocen był, na waszą zgubębym nie nastawał!...

Palafox ujął mówiącego za rękę.

— Wybacz! Czasem gorycz, zniechęcenie... dojmie! Tam nie mogę!...

— Mówcie! Ulgę wam to sprawi!

— Masz co do picia?

— Jest odwar!...

— Z siana?

— Pewnie... Lepszy od wody!...

— Daj! Pali mnie gorączka!... Prawda! Nie jest wcale tak zły!.. Było dziś zebranie chunty!...

— I cóż?...

— Jak zawsze! Nędza coraz większa! Dwa tygodnie wytrwamy... a potem!... Ba, dziś nawet motłoch jest gotów nieprzyjacielowi bramy otworzyć! Nie dziwię mu się!...

— Generale! Czy więc nie lepiej byłoby uniknąć męki niepotrzebnej... Warunki mogłyby być lepsze!...

— A ty? Cobyś ty zrobił, będąc na mojem miejscu?

— Ja? Broniłbym się!

— Widzisz! I ja myślę tak samo! Ale kto wie... siły mnie opuszczają! Słaby jestem bardzo!... Przekleństwo!... Floryanie! Musisz stąd uciekać... Coso zdobyte! Ten pałac podminowany... Lada godzina tu może zacząć się walka!... Dziś nie mogę, lecz jutro wyprowadzę cię. Musisz wziąć ubranie Hiszpana! Uprzedzę Dolores! Temperanica je dostanie... Tu znaleźliby cię, a wówczas... nawet jabym cię nie uratował! Władza moja tak daleko nie sięga!... Cha, cha!... Tu rządzi teraz śmierć! Ona wyrokuje!...

— Generale... otuchy!... Skończy się nareszcie! Potomność poświęcenia twego nie zapomni!...

— Dobrze mówisz — otuchy!... W tym odmęcie kruszeje wszystko! Patrz, córka de Rica umiera z głodu... Prezes chunty... mąż niepożytej zasługi... błagał dziś o dodatkową racyę... Córka umiera mu z głodu! Odmówiono!... Kto odmówił?... Okrutna, nieubłagana samoobrona!... Biedna Juanita!... Giniemy!... Słuchaj, kawalerze! Ty nie masz czego zwlekać, powinienem był ci dawno to powiedzieć... przenosić się do pałacu Infantado... co za cel?... Wracaj do swoich! Ułatwię ci drogę!... A i nam lżej będzie... Ba! Suto będziemy wynagrodzeni, zostanie nam twój koń! Jeszcze nie zdechł?

Floryan potrząsnął głową.

— Dziwna rzecz! Czem go karmicie? Przykro mi, lecz będziesz musiał się z nim rozstać: chudnie niepotrzebnie!

Palafox zwilżył usta chłodzącym napojem i zaczął po chwili:

— Więc wracaj! Sam obmyśl sposób! Może podczas ataku?... Co mogę, zrobię! Skwitujemy się!... Cóż chcesz, to dla nas oszczędność! Jedna porcya przybędzie, i z tem trzeba się liczyć... Im prędzej, tem lepiej!

— Generale, nie mówmy o tem!...

— Dlaczego? Przecież nie jesteś jeńcem, odejść masz prawo zupełne, gdyby nie oblężenie, wróciłbyś dawno!...

— Nie wątpię! Lecz teraz niech mi wolno będzie zostać!... Tam, w obozie, czekałaby mnie służba... a ja przeciwko wam walczyć nie chcę, nie mogę! O mnie się nie troszcz! Dam sobie radę...

— Dolores?...

— Zawdzięczam jej wiele... ale...

— Strzeż się! — przerwał gorączkowo Palafox. — Nie znasz Boggiera... on nie przeniesie, nie przeżyje myśli!... On stanie pomiędzy wami i nie zawaha się podnieść noża...

— Próżne obawy!... Nie dam powodu do zemsty... Zresztą, nie wie o niczem.

— Jak chcesz, tak zrób!.. Ostrzegam cię — nie znasz Boggiera... Nie będzie szukał winy...

Palafox urwał nagle i jął cisnąć głowę rozpaloną w dłoniach.

— Czuję, jak siły mnie opuszczają!... Gorączka trawi!... Boże, co z nami się stanie?... Poddadzą się, zaprzedadzą? Słyszysz?... Niech legnę powalony!... Oni wszyscy pójdą! Może już czekają, aby parlamentarza wysłać!... Butron, Santiago, Boggiero... prócz nich, nikogo!... Hańba!.. Saragossa raczej w gruzy zapaść się powinna!

— Generale!... Chwilowa niemoc, osłabienie minie!...

Palafox zwiesił ponuro głowę.

— Nie łudź mnie!... Od czterech dni coś łamie się we mnie, coś szarpie, trawi!... Czuję, że co chwila staję się słabszym!... Dziej się wola Boska!...

W głębi komnaty drzwi skrzypnęły cicho. Palafox podniósł krwią nabiegłe oczy.

— To ty, Dolores?

— Przynoszę wam pozdrowienie od Juanity!...

— Jeszcze nie umarła? — rzucił głucho Palafox.

— I nie umrze! Generale, uspokój się!... Biedny don Pedro był w rozpaczy... duma zamykała mu usta! Juanita głodu nie zazna! Zaufaj mi, generale.

Palafox spojrzał zdumiony na Dolores.

— Nie zazna głodu, powiadasz!

— W tem nasza sprawa! Nie patrz tak i nie pytaj!

— Masz słuszność! Lepiej! Słowa twoje mi wystarczają. Wolę nie wiedzieć!... Gdzie don Basilio?

— Poszedł na przedmieście do don Estebana...

— Niech cię Bóg ustrzeże przed jego wzrokiem! Rozumiesz?

— Wiem, generale — szepnęła cicho Dolores.

Palafox powstał ociężale.

— Odchodzę! Ułożę się obok... gdyby mnie potrzebowano, zbudźcie. Nad ranem musimy opuścić pałac!...

Wódz Saragossy wyszedł w milczeniu do sąsiedniej komnaty.

Dolores spojrzała za nim z niepokojem i rzekła ze współczuciem:

— Biedny on! Stokroć biedny...

— Obawiam się, że go choroba powali... Skarżył się przed chwilą!...

— Przepadłoby wszystko! Saragossa poddałaby się...

— Może im prędzej, tem lepiej!

Dolores ujęła gwałtownie Floryana za rękę.

— Nie mów tak!... Ach sama nie wiem... Chwilami radabym... żeby już raz to się skończyło, abyśmy mogli wydostać się z tych murów okropnych, a chwilami lęk mnie zdejmuje, przestrach... Zdaje mi się, że tu jestem szczęśliwszą, że tam czeka mnie...

— Dolores! Skądże takie myśli?... Dzieciństwa!...

— Mów, mów, Floryanie! — przerwała gorąco Hiszpanka, tuląc głowę do piersi Gotartowskiego. — Zabierzesz mnie stąd i pójdziemy, uciekniemy do twojej ojczyzny... i będziemy żyć spokojni, szczęśliwi!... Nieprawdaż? To oblężenie jam powinna błogosławić!... Czemu nie odpowiadasz? Może myślisz znów o tej?

— Obawiasz się umarłych?...

— Nie, nie chcę, żebyś myślał o niej!... Śmiej się, jestem zazdrosną o każde wspomnienie, każdą pamięć! Zapomnij! Nawet cień jej nie powinien być przy tobie nigdy!...

Floryan uśmiechnął się smutnie.

— Zapomnieć trudno, lecz to przyjdzie powoli! Daruj mi teraz!...

Dolores zsunęła łuki swych jedwabistych brwi.

— Ty mnie nie kochasz! Ty łudzisz siebie i mnie!...

— Dolores!..

— Albo nie wiesz, co to jest miłość!... Jesteś synem północy! Pamiętaj... Hiszpanka nie zdradzi. Gdy

kocha — kocha sercem, duszą, całem życiem. Dla miłości przeniesie wszystko... za nią pójdzie wszędzie... ale umie upomnieć się o swoje prawa! Floryanie, gdybyś ty!... Nie!... Boję się wymówić... nie przeżyłabym!... Ty takżebyś nie przeżył!...

Twarzyczka Dolores zadrgała demonicznym płomieniem, głębie oczu rozżarzyły się i rzuciły groźne błyski.

— Więc mi grozisz? — odezwał się cicho Floryan.

Dolores usunęła mu się do kolan.

— Ja tobie?... Panie mój! Nigdy!... Czyżbym się ważyła? Ty rozkazujesz!... Przebacz!... Widzisz, tyś całem mojem szczęściem... o każdą myśl twoją jestem zazdrosną!... Chcę, abyś moim był tylko na wieki! Nikt nie jest zdolen kochać cię głębiej i goręcej!...

Floryan tarł niespokojnie czoło, jakby odpędzając przykre mary. Wreszcie pochylił się ku Dolores, podniósł ją i rzekł pojednawczo:

— Wiem, wiem, droga moja!... Powstań! Nie dziw się!... Oderwany od swoich, porzucony, miewam chwile zadumy! Nie mówmy o tem! Cenię twoje poświęcenie...

— Ja nie chcę, byś je cenił! Chcę, byś kochał! — wybuchnęła nerwowo Hiszpanka.

— Codzień jesteś mi droższą! — odrzekł wymijająco Floryan. — Zdumiewam się twojej sile, twojej odwadze!... Niech się tylko to okropne położenie skończy!... Mamy podobno jutro przenieść się! Widzisz, Palafox proponował mi ucieczkę — odmówiłem. Chcę być z wami, z tobą, abym się wam wywdzięczył... Może przyjść chwila, że słowo moje coś zaważy! Ty tylko się chroń, aby cię nie postrzeżono!...

— Nie obawiaj się! Temperanica jest mi oddaną!... Powiadasz, że mamy opuścić pałac?...

— Przed chwilą uprzedził mnie o tem Palafox! Żal mi konia! Biednemu stworzeniu niewiele już się należy... Nogi od stania mu puchną! Zastrzelę go!... Inaczej niepodobna!

Dolores zbladła.

— Floryanie! zastanów się!... Z pałacu de Luna nie możemy wyjść! Nie zapominaj, iż tu są ukryte wszystkie nasze zapasy!... Zabrać ich niepodobna! Jeżeli je postrzegą, zabiorą pod dozór chunty. Z czegobyś żył?... I tak Palafox podejrzewa mnie! A wiesz — nie wolno ukrywać ani kawałka chleba! Pod karą śmierci! Musimy tu zostać!

— Pamiętaj, że lada chwila może się rozpocząć walka, jest to ostatnia reduta na całem Coso! Tu obrona będzie zawziętą!...

— Bądź spokojny!... W labiryncie ukrytych korytarzy nie znajdzie nas nikt!...

— Zapewne nikt — prócz miny!...

— Co mówisz?...

— Powtarzam słowa Palafoxa; pałac jest podminowany! W razie opanowania go, będzie wysadzonym w powietrze!...

— Trzeba temu przeszkodzić! To ostatnia deska zbawienia! Tam zginiesz! Mogą cię odkryć! A wówczas nikt cię nie osłoni! Jednego słowa wystarczy, aby cię rozszarpano!... Słuchaj! Minę trzeba zburzyć, zepsuć tak, żeby nie działała! Nie traćmy czasu! Chodźmy do piwnic — może natrafimy na ślad!...

Palafox ledwie nad ranem zmrużył powieki. Sen niespokojny, gorączkowy, raczej mordował go, niż umacniał, lecz i tego snu nie danem mu było zaznać.

O świcie działa francuskie ryknęły zajadlej. Generał Gazan rozpoczął szturm — tym razem silniejszy.

Próżno San March, Esteban Fleury i Butron zagrzewali żołnierzy, świecili przykładem. Hiszpanie cofać się zaczęli. Generał francuski Regniat, który po Lacoscie objął komendę nad saperami — już dwa przekopy zburzył, zrównał z ziemią...

Lud z przedmieścia Arrabal rzucił się na most kamienny, cofając się do Saragossy. Na moście ścigały go armaty, szarpały i strącały w nurty Ebro.

Wodzowie hiszpańscy ulękli się. Spojrzeli po sobie. Na ustach ich jedno imię zawisło — „Palafox".

Butron z dobytą szpadą rzucił się pomiędzy tłum, aby co prędzej dać znać wodzowi o klęsce, która już zawisła nad przedmieściem.

Za Butronem runęła fala zbita, przerażona, błędna, szukająca wodza.

Przed pałacem książąt de Luna fala ta zatrzymała się ze drżeniem, oczekując ukazania się wybawcy...

Po długiej chwili wyszedł Palafox, wsparty na ramieniu Butrona. Szedł blady, bezwładny, z ustami zaciśniętemi. Lud przyjął go wybuchem szalonej radości.

Wódz saragoski odpowiadał na powitanie ponurym uśmiechem i szedł.

— Palafoxie! — mówił z przejęciem Butron. — Pośpieszajmy! Szeregi się chwieją! Ty jeden możesz ocalić pozycyę!...

— Ja jeden!?... — powtórzył głucho Palafox.

— Boże! Co ci jest? Chwiejesz się!...

— Zdaje ci się! Trzymaj mnie mocniej!... Carramba trzymaj, powiadam!...

Około La Seo napotkano procesyę — na czele jej szedł z krzyżem Santiago Sas. Na widok idącego wodza procesya zatrzymała się, puściła go naprzód i poszła za nim.

Piechota francuska darła się na wały, armaty hiszpańskie czerwieniły się już krwią kanonierów.

Don Estebanowi Fleury omdlewały ręce, brakło głosu. San March bronił się ostatkiem sił. Villalba daremnie wzywał do rychtowania dział — Hiszpanie cofali się.

Gdy wtem poza nimi ukazały się procesye i krzyże, wraz z nimi szereg czarnych kapturów ze światłem i pieśnią groźną...

Piechota francuska stropiła się, Hiszpanie mocniej ścisnęli szable i karabiny.

Palafox szedł, jak mara, jak widmo. W oczach mu ciemniało.

Naraz z piersi Hiszpanów dobył się okrzyk pełen dumy, szczęścia, radości:

— Palafox! Palafox z nami! Hasta la ultima tapia!...

Okrzyk ten wrócił wodzowi siły. Palafox podniósł głowę, rzucił groźne spojrzenie ku szeregom francuskim i dobywszy szpady, biegł na najeżone bagnety.

Za Palafoxem sunęli Butron, Esteban Fleury, Boggiero, a w końcu Santiago Sas. Fala, prąc ku mostowi, zatoczyła się i wpadła na okopy. Natarcie było szalone, bohaterskie. Francuzi nie ostali się naporowi i cofnęli się w nieładzie.

Procesya zabrzmiała pieśnią dziękczynną. Radość opanowała Hiszpanów. Generał Manso, który był nadciągnął ze świeżym oddziałem — rozpoczął sypanie nowych wałów.

Kobiety i dzieci pod wodzą Manueli Sancho i słynnej Augustyny Arragon, opatrywały rannych, rękoma zgarniały ziemię, w fartuchach i workach dźwigały ją na nową linię okopów.

Wśród wynikłego zgiełku i rozgwaru Butron napróżno szukał Palafoxa. Spotkał wypoczywającego na kamieniu Don Estebana i zagadnął go niespokojnie:

— Gdzie Palafox?

Pytanie, choć cichym wymówione głosem doszło do czujnych uszu tłumu.

Rozgwar umilkł.

— Gdzie Palafox?... — szeptano dokoła z trwogą.

Żołnierze bez wahania zsunęli się do zasłanej trupami fosy. Po gorączkowych poszukiwaniach, odnaleziono wreszcie wodza.

Palafox leżał na wznak, przywalony zwłokami poległych obok niego. Z szerokiej rany na czaszce sączyła się struga krwi.

Gdy omdlałe ciało Palafoxa poniesiono ku Saragossie, lud aragoński jęknął głucho.

Cios nie mógł być dotkliwszym! Cała nadzieja, cała moc, siła, zaufanie, wola, hart... padły!

Łoże Palafoxa otoczyli bracia zakonni. Całą sztukę lekarską rozwinięto, byle mu powrócić siły, przed tron Wszechpana spłynęły modły o zdrowie, o życie.

Palafox leżał bezsilny. Nie ta rana go powaliła, nie ona wytrąciła mu oręż z ręki, lecz nieubłagana zajadła febra, a z nią tyfus!... Czerwone plamy okryły twarz bohatera, gorączka odjęła mu resztki przytomności!

Dzień sądu zawisł nad Saragossą! Ołowiane niebo zdawało się być głuchem na jęki.

Zebrana chunta powierzyła dowództwo generałowi San March.

Gazan ponowił szturm na przedmieście. Lannes przygotowywał się do stanowczego ciosu. W legii zawrzała praca gorączkowa. Zbijano drabiny — przygotowywano pęki chrustu. Rogniat rył bez wytchnienia. Lada dzień Saragossa miała zapaść się w gruzy.

Palafoxa zabrakło, lecz została wiara. Kościół Nuestra Seniora del Pilar bezustanną drżał modlitwą. Santiago Sas zagrzewał słowem upadły na duchu lud i wołał:

— A oto patrzcie! Ani jedna kula nie dosięgła świątyni naszej Opiekunki!

Lud poglądał ku wieży Nuestra Seniora del Pilar i krzepł na duchu.

Było południe. Na przedmieściu wrzała zacięta walka. Gazan dał słowo Lannesowi, że Arrabal w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie opanowanym. Marszałek niecierpliwił się, wreszcie, ściągnąwszy dwa pułki szaserów i batalion grenadyerów, przeprawił się na drugą stronę rzeki i stanął sam pod Arrabalem.

Gazan miał istotnie zadanie nielada. Generał Villalba wystawił był znów silną bateryę na spadzistym okopie. Baterya, wyginająca się w półkole, a obsadzona ośmioma moździerzami i czterema haubicami wielkiego kalibru, raziła piechotę francuską, skręcała każdy atak, dziesiątkowała szeregi. Gazan chciał zmusić ją do milczenia, naprowadzał armaty, lecz haubice hiszpańskie niosły dalej.

Lannes jednym rzutem oka zmierzył i rozeznał położenie. Szaserów pchnął na lewe skrzydło, nakazując im łuk zatoczyć i szturm przypuścić w chwili, gdy działa francuskie umilkną, sam zaś zwrócił się do pierwszej kompanii grenadyerów.

— Żołnierze — rzucił gromkim głosem — patrzcie, liniowa piechota od tygodnia napróżno szturmuje te szańce!... Grenadyerzy! Was jedna kompania wystarczy! Naprzód!

— Niech żyje marszałek!... — mruknęli wiarusi.

Wśród łoskotu bębnów oddział bermyc ruszył podwójnym krokiem i zginął w obłokach dymu... Villalba powitał go krzyżowym ogniem. Grenadyerzy szli zimni, nieugięci, niestrwożeni pokosem śmierci — zadaniem ich było umrzeć!

Kompania topniała we krwi, ziemia niebieszczyła się od mundurów, bermyce szarpały kule, lecz na wały wdarło się dziewięciu i padło pod razami piechoty hiszpańskiej.

Tej pauzy, tej chwili, tego mgnienia starczyło szaserom.

Zanim Villalba zdołał zoryentować się, jaki cel miała napaść tej garstki szalonych, na lewem skrzydle wszczął się popłoch. Piechota francuska jak mrowie wysypała się z po za wzgórza i darła się na wały.

Armaty skończyły swoją pracę.

San March, Manso, Butron i baron Versage próbowali stawić opór — daremnie. Francuzi już i prawe skrzydło zaszachowali, a skradając się ku frontowi pozycyi, parli na baterye.

Godzinę trwała bohaterska obrona. Versage już zdołał odeprzeć kolumnę szaserów. Villalba już zrychtował działa, aby bruzdami krwawemi ją potargać, lecz Gazan nadbiegł z rezerwami...

Raz jeszcze Hiszpanie rzucili się ku przodowi i wygięli czworobok nieprzyjacielski — aż zabrakło im sił, i nabojów, i ziemi pod stopami.

Nastąpił odwrót gwałtowny, bezładny. Skotłowane oddziały wpadły na most i tratując się i gniotąc, uciekały ku Saragossie.

Versage z batalionem Szwajcarów ucierał się jeszcze, chcąc zasłonić popłoch. Manso i San March nawoływali do porządku. Napróżno! Żołnierz hiszpański nie lękał się Francuzów, lecz don Manuela Cavallero, który stał na przeciwległym brzegu z lontem gorejącym w ręku! Stał zimny i czekał. Trąbki hiszpańskie wzywały do odwrotu.

San March z generałami i oficerami pałaszem wyrąbywał sobie drogę.

Don Manuel Cavallero czekał. Wodzowie przeszli. Na moście kotłowały się gromady Hiszpanów, aż za nimi ukazały się mundury francuskie. Don Manuel podpalił nić bawełnianą. Niebieskawy płomyk zsunął się po krawędzi mostu, zamigotał nad wodą, dopadł ostatniego filara, prysnął iskrami i wyrwał z korzeniami przęsło maurytańskiego zabytku.

Przedmieście było zdobyte.

Dwa tysiące ludzi utracili Hiszpanie w poległych i rannych. Pułki francuskie skurczyły się o setki.

Lannesowi niedość było tego tryumfu. Zagrzany bitwą, natychmiast kazał zatoczyć działa na lewy brzeg Ebro. Haubice hiszpańskie zwróciły się ku Saragossie.

Nad wieczorem tego samego dnia armaty pierścieniem paszcz otaczały miasto.

Za trzecią salwą granat wpadł do kościoła Nuestra Seniora del Pilar i eksplodował u stóp ołtarza Patronki. Za pierwszym dostał się drugi, trzeci, dziesiąty, zamieniając płyty kościelne w morze krwi, drgających kadłubów, poszarpanych ciał.

Kule wyrywały z objęć matczynych niemowlęta, kobietom pruły piersi, urywały nogi i ręce...

Ze sklepień kościoła sypały się równocześnie złomy murów i gzemsów.

Jęk straszny, głuchy wstrząsnął murami del Pilar... Ludzie już nie uciekali, nie chronili się — padali krzyżem i w strumieniach krwi wzywali Imienia Pańskiego.

Łomot i trzask walących się murów był im jedyną odpowiedzią. Niekiedy w zakamarku świątyni

rozlegał się śmiech dziki, szalony, straszniejszy jeszcze w grozie swej od skargi...

Nikt z kościoła żywym nie wyszedł. Ciała ludzkie stygły powoli z wyciągniętemi błagalnie rękoma. Pękające bomby bluzgały w skrzepłej krwi.

Gdy o północy armaty umilkły na chwilę—świątynię zaległa cisza śmierci. Tylko przed figurą Pilaryki zawieszona lampka drgała, rzucając migotliwe blaski — tylko oblicze Patronki patrzyło smutne, jakby krwią broczące. A z chóru kościelnego szedł z ust starca-zakonnika szept żałośny a drżący:

— Panie Boże Wszechmogący, zmiłuj się nad nami!...

Niebo trwało jeszcze w nieprzeniknionym pancerzu stalowych chmur. Wyroki Boże nie spełniły się jeszcze.

Nad ranem San March nakazał zawalić kamieniami wejścia do Nuestra Seniora del Pilar...

Na chowanie zabitych mas nie było ani czasu, ani miejsca, ani rąk. Resztki zapasów rozdzielono między lud i żołnierzy, zatarasowano przejścia z ulicy na ulicę.

W Saragossie modlitwa i pieśń zamarła. Zabrakło Palafoxa, twarz Bogarodzicy odwróciła się od Arragonu.

Chunta już czekała tylko, by wyrzec stanowcze słowo, narady rwały się, zgromadzeni poglądali po sobie, jakby czekając na wyrzeczenie wyrazu, z którym co dnia oswajali się coraz więcej.

Santiago Sas, Boggiero i Butron jeszcze trzymali chuntę na wodzy...

Francuzi, po zdobyciu przedmieścia, znów ucichli, wiedząc, że gdy oni spoczywają, pracuje za nich głód i zaraza!...

Czwartego dnia po klęsce, na zebraniu chunty, podniósł głos alcala zabranego przedmieścia, Solanilla. Mówił krótko, a skończył na wyrzuceniu gwałtownych słów:

— Musimy kapitulować!...

Boggiero posiniał, oczy mu krwią nabiegły.

— Milcz, zdrajco! — zakrzyknął z wściekłością, sięgając po szpadę.

— Szpieg, tchórz! Precz z nim! — podtrzymał Santiago Sas.

Solanilla zębami zgrzytnął.

— Wyście sami zdrajcami!... Wy wiedziecie do zguby! Wymordowaliście połowę miasta! Szubienica was nie minie!...

— Na pal łotra! — wołał Boggiero. — Niech zginie! — i porwał się z za stołu.

San March i Manso zatrzymali go.

— Prześwietna chunto! — ryknął tymczasem Santiago Sas. — Żądam wydalenia kawalera Solanilla!... Nie dla niego miejsce między nami! On chce zaprzedać to, za co my chcemy umrzeć...

— Precz ze sprzedawczykami!—pienił się Boggiero.

— Słuchaj ty, zbirze! — mruknął groźnie Solanilla. — Ty mnie zdradę chcesz zarzucić!... A wiesz ty, kto tu jest zdrajcą? Ty i twoja córka! Czuła donna Dolores!... Cha, cha!... Teraz ja żądam od chunty nakazania śledztwa!... W pałacu książąt de Luna... ukrywa się szpieg francuski pod opieką cnotliwej córki don Basilia Boggiero... no, i za jego, oczywiście wiadomością!...

— Potwarco! Krwią odpowiesz...

— Będziesz wisiał, don Basilio! — śmiał się szyderczo Solanilla — twój skarb obok ciebie!...

— Hola Solanillo! — ozwał się don Pedro Ric. — Znieważasz... rzucasz hańbiące podejrzenie!

— Mówię prawdę! Zniewagą płacę za zniewagę!

— Prawdę mówisz? — powtórzył uroczyście don Pedro i spojrzał pytająco na Boggiera.

Don Basilio znów rzucił się na oskarżyciela i szamotał się z San Marchem.

— Puść mię, generale! Niech go zmiażdżę!... Nikczemnik śmie kalać swojemi ustami imię mego dziecka!... Sprawiedliwości żądam!...

— Niech dowiedzie!... — huknął Santiago Sas.

— Niech dowiedzie! — powtórzyła chunta jednogłośnie.

Solanilla schylił głowę.

— Prześwietna chunto, niczego więcej nie pragnę! Niechże stanie się oczywistem, gdzie zdrada prawdziwa się kryje!...

— Mów zatem! — rozkazał don Pedro.

— Do mówienia wiele niema! Szpieg francuski jest tu, w Saragossie, w gościnie don Basilia Boggiero, a pod osobistą pieczą seniority Dolores, która pamięta o nim...

— Kłamiesz! — ryknął Boggiero.

Solanilla ciągnął zimno, nie zwracając uwagi na don Basilia:

— Naturalnie, dzięki szlachetnemu obrońcy Saragossy, armia francuska jest na czas uprzedzona o wszystkiem!... Nam się zdaje, że oporem cośkolwiek wywalczymy... Don Boggiero zachęca do obrony... zależy mu na tem... żeby żywa dusza, prócz niego... seniority Dolores i jej kawalera... nie uszła z Saragossy!...

— Dowodów! — zawołał surowo Butron.

— Solanilla! — upominał do Pedro. — Rzucasz podejrzenie straszne na najszanowniejszego z obywateli kraju!... Na tego, którego Palafox nazywa swoim „maestrem“, ojcem!... Jeżeli nie dowiedziesz słów... chunta pomści krzywdę!...

— Don Pedro Ric! Wiem, co mówię! Nic łatwiejszego! Tam, gdzie dawniej chunta się zbierała!.. tam jeszcze do dziś dnia przebywa para gołąbków! Kto chce zobaczyć, proszę za mną do pałacu de Luna!

Członkowie chunty ruszyli z miejsca za Solanillą. Zgroza i przerażenie malowało się na obliczach idących. Solanilla mówił tak śmiało, tak odważnie...

Wierny, oddany Boggierowi Santiago Sas uląkł się, a odsunąwszy się na tył korowodu, chwycił gorączkowo don Basilia za rękę.

— Basilio! — mówił półszeptem zakonnik. — Zaklinam cię, powiedz! Byłożby to prawdą?... Patrz, on prowadzi... Jeżeli cień pada na ciebie, raczej zgiń razem z tym...

Boggiero zatrząsł się.

— Santiago, postradałeś zmysły! Fałsz!... Patrz na mnie... Ale ja sobie sprawiedliwość znajdę sam... Niech idzie, niech wiedzie, a tam ten nóż!...

Zakonnik zniżył głos:

— Wierzę ci, lecz czy jesteś pewny córki! Jeżeli ona... bez twojej wiedzy!...

Boggierowi piana wystąpiła na usta.

— Nie mów tak do mnie! Moja córka? Nigdy! Słyszysz!... Niema dziewczęcia bardziej oddanego! A gdybyśmy!... Nie! Niepodobna, Sasie! Na toż lat tyle żyliśmy, abyś i ty mnie ranił w tem, co mam najdroższego?

— Wybacz, przyjacielu!... Przysięgam ci zemstę! Twoja zniewaga jest i moją zarazem! Solanilli nie cierpiałem, nienawidziłem zawsze!

— Nikczemnik, śmiał żądać ręki Dolores... Szuka zemsty!

— Niefortunną obrał sobie drogę! Basilio, jeżeli ty go nie dosięgniesz, mnie nie ujdzie!

Naraz zakonnik przystanął i jeszcze więcej głos zniżył:

— Słuchaj, a może to podstęp? Oni chcą poddać miasto! San March opierać się nie będzie, ani Manso...

— Wówczas — mruknął Boggiero — zginąć powinni!...

Członkowie chunty zdążali do pałacu książąt de Luna, kołując między barykadami i zawalonemi gruzem ulicami. Na czele zdążał Solanilla.

Pochód był już około kościoła San Filipe, już ledwie kilka minut drogi oddzielało go od pałacu, gdy wtem, w stronie Porta del Carmen, odezwały się armaty, a za niemi z przeciwnej strony, od kościoła św. Magdaleny, odpowiedziały im salwy karabinowe.

San March porwał się do szpady.

— Nie czas na waśnie! Za mną, na mury! Butronie, ty w drugą stronę pośpieszaj! Manso, do rezerw! Przygotować się do odparcia szturmu! Solanilla, bądź przy mnie!

Chunta rozbiegła się.

Generałowie pośpieszyli na swoje stanowiska. Przed kościołem zostali Santiago Sas, Boggiero, don Pedro Ric i Manuel Cavallero.

Boggiero widząc oddalającego się za San Marchem Solanillę, chciał biedz za nim, lecz don Pedro powstrzymał go.

— Basilio! Teraz nie czas! Wobec nieprzyjaciela muszą ustać waśnie. Zaufaj, on ci wyrządził krzywdę, bezwątpienia wielką, lecz przyjdzie czas na niego!... Dla dobra ojczyzny zaniechaj teraz!... Nie sprowadzaj bratobójstwa!...

— Ricu!... Obelgi tej przeżyć mi nie wolno!...

— Dobrze! Ale zanim chciałbyś się pomścić, pamiętaj, że wobec chunty musisz dowieść oszczerstwa!...

— Słusznie mówi don Pedro! — wtrącił Cavallero.— Nie pora! Żegnam was, panowie! Wracam do moich min. Ale! Jeżeli prawdą jest, iż w pałacu de Luna jest twoja córka, to wyprowadź ją, Boggiero... i zaraz... aby nie było wypadku! W razie ataku silniejszego — wiesz?...

Cavallero oddalił się. Don Pedro rzucił jeszcze kilka uwag i powlókł się ku środkowi miasta.

— Cóż myślisz, Boggiero? — zagadnął Santiago Sas.

— Idę do córki!

— Czekać cię będę pod La Seo!

Don Basilio zawrócił ku pałacowi książąt de Luna.

Burza wrzała w umyśle Boggiera.

Za poświęcenie się jego, za krew, za oddanie się — oto obluzgano go, sponiewierano, oplwano najdroższe dlań uczucie, a potwarca odszedł, nietknięty! Żaden członek chunty, prócz Sasa, nie ujął się za nim! Żaden nie powalił łotra!...

Gorycz wykrzywiła twarz don Basilia. Doczekał się nagrody!... Gdyby Palafox to słyszał, gdyby nie leżał bezsilny, mocujący się ze śmiercią... Solanilla w tej chwili już byłby w klamrze garroty...

Przed pałacem, od strony ulicy de Cerdan, biwakował oddział piechoty. Oficer dowodzący pozdrowił potężnego Boggiera.

— Cicho tu, kawalerze?

— Najzupełniej, generale. Francuzi snać boją się murów. Spotkałoby ich nielada przyjęcie. Sygnalizowano z wieży, iż działa są wymierzone przeciw pałacowi, lecz jakoś nie mają ochoty się odezwać.

— W pałacu niema nikogo?...

— Podobno córka pana generała raczy pozostawać!... Przed chwilą właśnie mówiłem jej camarerze. Lada chwila ma opuścić pałac.

Don Basilio skinął milcząco głową i wszedł do pałacu.

Równocześnie prawie pierwsze kule armatnie wstrząsnęły posadami starożytnej budowli.

Don Basilio minął pustą kolumnadę na dziedzińcu i szedł wprost do skrzydła, w którem mieściły się pokoje jego córki. Ku wielkiemu zdziwieniu pokoje zastał puste. Obejrzał się niespokojnie dokoła.

Czyżby Dolores już była wyszła? Niepodobna! Na stoliku jej leżała mantyla obok kobiecych drobiazgów.

Boggiero wyjrzał na schody marmurowe, przeszedł kilka komnat sąsiednich i znów powrócił ku wejściu.

Na schodach spotkał był oddział żołnierzy, prowadzony przez tego samego oficera.

— Nie widziałeś, kawalerze, mojej córki?

— Nie, generale! A czas największy, by się stąd oddaliła, może tu być lada chwila gorąco. Szturm z tej strony niemal pewny. Don Esteban Fleury lada chwila nadciągnie!...

Boggiero znów wpadł do komnat — raz jeszcze przebiegł je — w końcu, tknięty myślą, że może Dolores zabawia się niebezpiecznie przypatrywaniem się z górnych pięter przebiegowi szturmu, ruszył dalej.

Wspiął się po schodach bocznych. I tu atoli spotkał go zawód. Don Basilia ogarnęło nerwowe drżenie. Złowrogie przeczucia wstrząsnęły nim. Przebiegać zaczął z szalonym pośpiechem krużganki i przejścia — mimo, iż pod uderzeniami bomb z sufitów i sklepień odrywały się tynki.

Po kilkunastu minutach kołowania wpadł do szerokiej izby na dole, służącej za skład pałacowych rupieci. I tu nie było nikogo. Boggiero padł na porzucony stołek i dyszał ciężko.

— Może Dolores wyszła z pałacu do Lonchy, do Juanity? Bezwątpienia wyjść musiała!... Tu stanowczo jej niema!...

Uspokojony nieco tą myślą, podniósł się, aby coprędzej przekonać się o prawdzie.

Naraz pośród huku armat rozległy się w oddali przeciągłe dźwięki trąbki... a jakby w odpowiedzi im... tuż za ścianą żwawe rżenie konia.

Boggiero osłupiał. Skoczył ku drzwiom, szarpnął, lecz te były zaparte z przeciwnej strony. Don Basilio zatrzymał się, trąc niespokojnie czoło. Czyżby mu się zdawało?

Rżenie odezwało się po raz drugi, wyraźniej, pełniej.

Boggiero bez namysłu porwał za porzucony między rupieciami młot żelazny i podsunął się ku drzwiom.

Pod silnemi uderzeniami zardzewiałe zawiasy pękły — Boggiero wszedł, obejrzał się i przetarł oczy.

W izbie stał koń. Koń siwy, nie przypominający ani nawarskich koników guerilli, ani andaluzyjskich wierzchowców hiszpańskiej kawaleryi.

Don Basilio walczył z okropnem przeczuciem, które teraz silniej w nim nurtować zaczęło i szukał dookoła znaku, śladu, któryby go mógł utwierdzić.

Przebiegł raz i drugi izbę. Wzrok jego padł na ławę w kącie. Postrzegł starannie ukryte siodło i pełne okulbaczenie... Na karmazynowym czapraku widniała litera N.

Pod Boggierem nogi się zachwiały — byłożby to prawdą, co mówił Solanilla?...

W rogu izby, na jasnem tle muru, rysowały się małe drzwiczki. Don Basilio ścisnął młot trzymany w ręku i pchnął je silnie. Drzwiczki roztwarły się.

Boggiero znalazł się w długim, ciemnym korytarzu, na końcu którego widniał snop światła dziennego, zakradający się tu przez wąski otwór w ścianie.

Don Basilio szedł z ponuro ściągniętemi brwiami. Korytarz zakręcał się w miejscu, gdzie wpadało światło i tworzył już tylko wąskie przejście.

Boggiero spojrzał bystro przed siebie, w oczach mignęła mu się ciemna postać kobiety. Bez wahania zbliżył się ku niej.

— Kto tu?!!...

— Ja... senior! — szepnął wylękniony głos.

— Co tu robisz? — badał dalej Boggiero.

— Schroniłam się...

— Gdzie seniorita?

— Nie wiem... senior... u siebie!...

— Kłamiesz! — przerwał ostro Boggiero. — Muszę wiedzieć całą prawdę! Czyj to koń tam? Mów!...

— Nie wiem... nie wiem, senior — jąkała drżącym głosem stara cyganka.

Don Basilio schwycił ją za ramię i cisnął gwałtownie do muru.

— Słuchaj, wiedźmo!... Patrz, tym młotem łeb ci roztrzaskam!

Chitana padła do nóg Boggierowi.

— Senior, łaski!... Nie służyłam ci...

— Gdzie jest moja córka?... Odpowiadaj!...

— Seniorita?... Nie — nie wiem!... Nic nie wiem!...

Don Basilio targnął gwałtownie ciałem Temperanici i pchnął ją. Cyganka zachwiała się i oparła o ciężkie odrzwia. Boggiero był ich nie dostrzegł.

— Co to za drzwi?!...

— Nie wiem, senior!...

— Otwórz je!...

— Senior... Zamknięte... zabite!...

Boggiero podsunął się ku drzwiom, gdy wtem cyganka odwróciła się i wyciągnęła szybkim ruchem klucz, tkwiący w zamku. Don Basilio przytrzymał ją za rękę.

— Dawaj ten klucz!... Słyszysz?...

Cyganka wszystkich sił dobyła, by się uwolnić ze stalowego uścisku. Boggierowi oczy krwią nabiegły.

— Żmijo!... Zadławię cię!...

Temperanica schyliła się do ręki don Basilia i wpiła w nią swe zęby. Boggiero syknął z bolu. Cyganka szarpnęła się gwałtownie i rzuciła się do ucieczki. Don Basilio skoczył za nią. Temperanica uciekała, ile tchu starczyło — zatrzaskiwała za sobą drzwi, lecz Boggiero mimo to doganiał ją. Odległość się zmniejszała. Raz już Temperanica padła powalona kawałem muru, którym rzucił za nią don Basilio. Lecz zdołała porwać się na nogi. Po kilku minutach cyganka wpadła na schody — chwila jeszcze, a wydostanie się z pałacu i zniknie w labiryncie uliczek. Na schodach atoli stało wojsko!...

Boggiero zawołał na żołnierzy. Cyganka miała drogę zagrodzoną.

Don Basilio, jak sęp wpadł na cygankę. Schwycił ją za włosy i uderzył młotem, gruchocząc czaszkę Temperanici. Żołnierze oniemieli ze zgrozy.

Boggiero wyrwał z konwulsyjnie zaciśniętych rąk cyganki złowrogi klucz i znów wpadł do komnat i korytarzy.

Gdy stanął przed drzwiami, przy których znalazł Temperanicę, zimny pot wystąpił mu na czoło. Wahał się, jakby bojąc się spojrzeć w oczy okropnej prawdzie...

Po krótkiej walce wsunął klucz i nacisnął. Już tylko pozostawało pociągnięcie za wiszącą klamrę żelazną.

Boggiero oparł głowę o mur i dyszał ciężko. Huk armat wstrząsał posadami pałacu, głuchy łomot i trzask co chwila rozlegał się po komnatach.

— Byłożby to możliwem? Dolores!... Kochanie jego całe... pociecha starości... Dziecię ubóstwianej Moniki... miałoby imię jego wydać na hańbę!... Nie! To wymysł tego nikczemnika!... Córka Boggiera do zdrady nie zniżyłaby się, a jeżeli... to sądzić ją będzie ojciec!...

Basilio uchylił drzwi po cichu i stanął w sklepionej niszy, odgrodzonej od szeregu wielkich izb kratą żelazną, zamkniętą na sztabę z wewnątrz.

Boggiero wytężył wzrok. Przeczucie go nie zawiodło. Poprzez otwarte naścieżaj drzwi, prowadzące do sąsiedniej komnaty, zobaczył córkę u stóp nieznajomego mężczyzny w mundurze...

Dolores siedziała uśmiechnięta, z utęsknieniem szukając wzroku ukochanego. Usta jej szeptały jakieś wyrazy — wycie armat głuszyło je.

Don Basilio sięgnął po pistolet. Lecz ręka mu tak drżała, iż utrzymać go nie mógł. Zamierzył się młotem, by zgruchotać kratę. Wstrząsnął się. Krata była mocną — mogłaby się oprzeć i dać conajmniej czas do ucieczki — może i obrony. A on musi ich zgładzić, musi ich tak właśnie dosięgnąć!...

Wtem don Boggiero zaśmiał się dziko do siebie.

— Jest sposób i na nich! Zginą! Nikt nie będzie wiedział o jego hańbie! Solanilla napróżno chciał go upokorzyć!

Basilio wysunął się cicho z niszy i powrócił do żołnierzy — gotujących się już do ataku.

Oficer uznał za właściwe objaśnić go o przebiegu wypadków.

— Generale — rzekł — nieprzyjaciel gotuje się do szturmu! Pod Puerta del Carmen już walka idzie na bagnety!...

Don Basilio przyświadczył głową i wyjąkał:

— To dobrze, bardzo dobrze! Ale... a miny w porządku?...

— Tak jest, generale!

— Czy tylko nie mylisz się, kawalerze? Gdzie jest wejście? Każ mnie zaprowadzić!

— Generale, obawiam się wypadku...

— Dosyć! Chcę zobaczyć! Rozumiesz? Nie, ty nie masz o tem wyobrażenia!

Oficer spojrzał na wykrzywioną dziwnie twarz Basilia i miał ochotę oprzeć się mu, lecz wspomniawszy na burzę, która mogłaby wyniknąć — ustąpił.

Don Boggiero, prowadzony przez sapera, szedł do podziemi. Żołnierz postępował naprzód z latarką w ręku. W długiem, wąskiem przejściu saper zatrzymał się i wskazał na białawą taśmę, zwieszającą się pod ścianą muru.

— Generale, oto lont!...

Boggiero przysunął się doń.

— W tem miejscu? Czy aby jest dostateczny?...

— Lont idzie pod główny filar środkowy gmachu!... Nabój jest trzykroć silniejszy od tego... na moście!...

— Myślisz, że zawali? — mówił, ważąc coś don Basilio.

— Generale, żywa dusza stąd nie wyjdzie! Nawet domy okoliczne są opróżnione, bo wybuch i ich nie oszczędzi!

— A kto ją podpali?

— Ja, generale! Gdy się szturm zacznie, mam rozkaz stania przy minie!

— Zginiesz!

— Lecz i kilkuset Francuzów!

— Nie może być! — mruknął nagle Boggiero. — Słuchaj! Idź, przywołaj mi którego z poruczników... albo nie... Odszukaj don Manuela Cavallero... i powiedz, aby... natychmiast wysłał do mnie którego z inżynierów!...

— Generale, mam rozkaz!...

— Idź, ja tu zostanę, dopóki nie powrócisz!...

Saper postawił latarkę na ziemi i oddalił się śpiesznie.

Boggiero, gdy odgłos kroków żołnierza ucichł, podniósł latarkę, spojrzał na lont i zaśmiał się z dziką radością.

— Teraz chwila jedna i zawali się wszystko — wszystko!... Razem z jego hańbą! Razem z wiarołomną!... Cha, cha!... Solanillo... nie doczekasz upokorzenia Boggiera!... Gruzy, ziemia ukryją na wieki i ojca i nikczemną córkę!... Śmiało — śmiało, Basilio — masz zniszczyć wszak piętno zdrady! Tu, w tem podziemiu jest twe uspokojenie... twój honor — za nim klątwa całego Arragonu!... Wstyd!...

Boggierowi przyszło na myśl, że tam, na górze stoi oddział Hiszpanów, którzy zginą niechybnie, że druzgocząc mury pałacu, otworzy tem samem drogę Francuzom, lecz skrupuły te wydawały mu się błahymi wobec rozpaczy, jaka go szarpała, wobec zemsty trawiącej go, wobec tej dumy, z którą urodził się, wzrósł i zestarzał. Boggierowie nie mogą być zdrajcami!...

Don Basilio wyjął z latarki lampkę olejną. Lont zapalił się z trzaskiem. Płomień biegł po białym sznurze... Boggiero postępował za nim... aż póki nie znikł we wgłębieniu muru.

— Spełniło się! — szepnął Basilio i padł na kolana.

Z wgłębienia dobył się snop iskier. Boggiero podniósł hardo głowę do góry ku sklepieniom i czekał, aż te nie pękną...

Upłynęła długa, męcząca chwila. Krew nabiegła don Basiliowi do głowy i biła nerwowo o pulsa. Boggiero chciał się modlić, chciał ręce skrzyżować na piersiach — nie mógł. W uszach miał już i łomot i huk piekielny. Zdawało mu się, że ziemia go pochłonęła, że czworogranne kamienie filarów zwaliły mu się na piersi, że oślizgły gad skrada się ku niemu, aby zeń ostatnią iskrę życia wytoczyć.

Naraz Boggiero drgnął i spojrzał z przerażeniem ku wgłębieniu, w którem zniknął płomień, lecz czekał jeszcze.

Czyżby mina aż tak daleko sięgała? A może nie potrafił zapalić jej, może lont zagasł, zanim jej dosięgnął!?...

Don Basilio poszedł za śladem zwęglonych a chwiejących się jeszcze resztek lontu. Wyciągnął ruchomy kamień, zasłaniający otwór miny... Mina... była pustą — nigdzie śladu naboju!...

Boggiero zgrzytnął zębami. Lecz wydało mu się niepodobieństwem, aby miny nie było — saper musiał go wyprowadzić w pole... może bezwiednie! Cavallero nie zawiódł jeszcze nigdy! Może jest obok...

Generał powstania jął opatrywać mury, bacząc, czy nie natrafi na ślad lontu — bodaj prochu. Podziemia pałacu czerniały głuchą pustką. W sąsiednich korytarzach i chodnikach sople pleśni pokrywały szczelnie każdy załom, każde wygięcie.

Wtem, w stronie wejścia rozległy się przyśpieszone kroki.

Don Manuel Cavallero, prowadzony przez sapera, biegł szybko, nawołując don Basilia po imieniu.

Boggiero chciał się ukryć, ujść, lecz Cavallero już dojrzał go zdaleka.

— Don Basilio! Co się tu stało? Dlaczego wysłałeś posłańca? Mów! Szturm rozpoczęty!... Lada chwila może trzeba będzie...

— Gdzie jest mina? — rzucił ponuro Boggiero.

— Mina?... Stoisz przed nią!...

Don Basilio roześmiał się sucho.

— Tu?... Nie widzę jej!.

Cavallero podszedł do otworu — zbladł.

— Cabrera! — rzekł do stojącego za nim sapera.— Patrz?... Kto tu był!...

— Generale, przysięgam!...

— Gdzie lont?... Lont spalony!... Zdrada!

— Generale! — szeptał saper. — Nie pojmuję! Przed chwilą pokazywałem lont generałowi Boggiero!...

Cavallero spojrzał ponuro na don Basilia.

— Czy to prawda?...

Boggiero zmarszczył się. Żołnierz z niepokojem czekał potwierdzenia swych słów. Don Basilio zachmurzył się.

— Nie! — rzekł krótko. — Nie widziałem lontu i dlatego po ciebie wysłałem!...

Cavallero przeszył Cabrerę piorunującym spojrzeniem.

— Kłamiesz — łotrze!

— Generale!

— Milcz!...

Saper chciał odpowiedzieć, lecz Cavallero wyciągnął pistolet z za pasa i wypalił. Cabrera zatoczył

się i padł. Twarz żołnierza zamieniła się w wielką bezkształtną ranę.

— Cóż tam?... — rzucił chłodno Boggiero.

— Stracona mina! Trzeba choć przyśpieszyć stawianie barykad za pałacem!... Przekleństwo!... Ten nicpoń musiał stchórzyć... Zobaczymy!... Nie czas na rozprawy. Wracajmy, żeby nie było za późno!...

Basilio ujął don Manuela za rękę i rzekł z trwogą:

— Więc ten pałac zostanie?...

— Sam widzisz, co się stało!... Francuzi codzień więcej mają przyjaciół!... Chodź! Jest to klęska!...

— Nie możesz nowej miny założyć?

— Szalony! Na toby trzeba godziny, dwóch nawet! Sam lont...

— Na co? Po co lont! Każ zatoczyć dwie skrzynki prochu!...

— I któż je podpali?...

— Ja!...

Cavallero spojrzał w błyszczące gorączką oczy Boggiera i odezwał się po chwili cicho:

— Wierzę ci, Boggiero! Ty jeden może nie cofnąłbyś się!... Oddałbyś życie!... Ale... niestety, prochu już nie mamy... Trzebaby inne miny burzyć! Niepodobna!... Tu moglibyśmy nie zdążyć, a tam zmarnowalibyśmy pracę! Wracajmy! Drżę, aby nam więcej takich figlów nie wypłatano!... Muszę zaciągnąć wartę natychmiast!...

Boggiero zwiesił głowę ponuro i szedł za Cavallerem.

Już byli przy wyjściu z lochów, gdy don Basilio po raz wtóry zagrodził don Manuelowi drogę.

— Manuelu! — rzekł tonem błagalnej prośby — To, co mówisz... Nie! Ten pałac musi runąć! Musi zapaść się w gruzy!... On nie może zostać tak!... Trzeba!... Rozkazuj!... ja uczynię wszystko!...

Cavallero szarpnął się niecierpliwie.

— Dzieciństwa! Powiedziałem... Mnie chyba więcej zależy, aby im zgotować fanfarę!... Mina była!...

Zniszczyli ją!... Może Solanilla niedarmo mówił, iż tu czyha...

— Milcz! — huknął groźnie Boggiero.

Don Manuel spojrzał na niego badawczo i mruknął:

— No — jeszcze do tej sprawy powrócimy! Odchodzę! Chwili czasu niema! Słyszysz? Szturm! Lecz może ty wolisz zostać?...

Cavallero, nie czekając na odpowiedź Boggiera, rzucił się ku wyjściu.

Don Basilio stał osłupiały. O kilkanaście kroków przed nim przez czworokątne wygięcie skradał się strumień światła. Z głębi korytarza dobywało się przeciągłe rzężenie konającego sapera, a z poza murów szedł łoskot i wrzawa. Niekiedy bezładne strzały karabinowe posypały się i umilkły — ziemia pulsowała dalekiem wyciem armat.

Chciał wyjść, lecz bał się tego szarego światła, bał się, aby w obliczu jego nie wyczytano strasznej tajemnicy.

Po dwakroć sięgał po krucicę i po dwakroć na wspomnienie córki odwracał lufę. Ona żyć nie może. Musi zginąć razem z tym, dla którego podeptała najświętsze obowiązki. Musi zginąć z ręki ojca!...

Boggiero, nową myślą wiedziony, wypadł z lochu na podwórzec pałacowy. Tu zamęt i popłoch panowały nie do opisania. Z pięter znoszono po schodach dziesiątki rannych — dźwigano do góry belki i kamienie, prowadzono świeżego żołnierza. Fala ludzi przeciągała z gorączkowym pośpiechem, cisnąc się i tratując. Niekiedy na schodach następowało takie stłoczenie, iż oficerowie pałaszami i szpadami musieli rozdzielać szamoczący się ze sobą tłum. Jęki i skargi rannych, szczęk broni, komenda dowódców, okrzyki idące z górnych pięter, zlewały się ze sobą w piekielny hałas.

Don Basilio, widząc zatarasowane przejście, skręcił do dolnych komnat ku bocznym schodom i dostał się na piętro. Tu wrzała już bitwa. W zatarasowa-

nych oknach stali żołnierze i sypali kulami na oblegających.

W kilku miejscach już ukazały się kaszkiety poza oknami. Drabin szturmującym przybywało, w prawem skrzydle pałacu, do którego dążył Boggiero, szturm był silniejszym. Drugi pułk legii nadwiślańskiej darł się zajadle. W narożnej komnacie garstka Hiszpanów walczyła na śmierć, lada chwila nieprzyjaciel miał wpaść do pałacu.

Don Basilio biegł szybko, nie zważając na padające kule, na czołgające się ciała rannych, na sypiący się gruz. Biegł, nie rozumiejąc okrzyku zgrozy i przerażenia, jaki rozległ się na głównych schodach. Aż dostał się do korytarza i stanął przed kratą...

Komnaty zdawały się być pustemi. Boggiero wstrząsnął zagradzającem mu drogę żelazem.

— Dolores! — zakrzyknął w końcu z wściekłością.

Zgiełk bitwy był mu jedyną odpowiedzią. Don Basilio wołał coraz silniej, zajadlej — aż głos mu się złamał, z piersi Boggiera dobył się jęk głuchy.

W otwartych drzwiach sąsiedniej komnaty ukazała się Dolores.

Don Basilio zadrżał i sięgnął w zanadrze po nóż.

— Otwórz! — rozkazał ponuro.

— Ojcze! — szeptała Dolores. — Niepodobna... zasuwa!... Uciekaj stąd! Francuzi są w pałacu!...

— Cha, cha! — zaśmiał się dziko Boggiero. — Wiem, wiem o tem... lecz ty mnie osłonisz! Co, prawda?...

Dolores drgnęła i spojrzała trwożliwie na ojca.

— Nie... ja... drugiem wejściem! Ojcze, na lewo jest chodnik! Na Boga, uchodź!

— Otwórz, powiadam ci!...

— Nie, niepodobna! Zasuwa!...

Boggiero targnął kratami.

— Słuchaj! Ty! Otworzysz!?...

— Ojcze! Nie, nie mogę!

Don Basilio osunął się bezwładnie na podłogę przed kratami i dyszał ciężko.

— Dolores! — błagał. — Patrz... Francuzi się zbliżają!... Jestem ranny!... Jedyną miałem córkę... Ty kłamiesz! Wiem! Ojca wolisz wydać na śmierć!

Dolores twarz ukryła w dłoniach.

Boggiero mówił dalej półszeptem:

— Na tom cię chował?... Na tom widział w tobie całą radość, całe szczęście życia... byś mnie wydała... opuściła!...

— Ojcze drogi, ratuj się... czas!... Spotkamy się za murami...

— Nie mogę!... Czy nie widzisz, że siły mnie opuszczają?... Tu mi sądzono zdechnąć!... Cha, cha... a moja córka...

Dolores rzuciła się ku kracie i odsunęła ukrytą za ścianą sztabę. Don Basilio porwał się na równe nogi i z dzikim śmiechem schwycił Dolores za włosy.

— Jesteś! Masz, widzę, czułe serce! Gdzie twój gach? Gdzie szpieg!... Gdzie moja hańba?!... Mów! odpowiadaj!

Dolores osunęła się do nóg ojca:

— Daruj! On niewinny! Przysięgam ci!... Zabij mnie raczej!...

— Prosisz?... Dobrze! Lecz najpierw on!...

Boggiero odepchnął gwałtownie córkę i biegł do sąsiedniej komnaty. Dolores uczepiła się jego ramienia.

— Ojcze! Wysłuchaj mnie najpierw!

— Milcz! Widzisz ten nóż?... Masz odpowiedź!

— Więc bij, uderz!...

— Pilno ci?... Poczekaj!... Twój luby musi pójść naprzód!... No, odsuń się! Nie chcesz?... Cha, cha, Ostudzę ja ci bohaterstwo twoje!...

Boggiero zdarł z siebie pas rzemienny, zarzucił go na szyję Dolores i zaciągnął. Dziewczyna broniła się, lecz Don Basilio szarpał stryczkiem coraz silniej. Twarz Dolores posiniała.

— Nie bój się, turkaweczko! — śmiał się Boggiero. — Nic ci nie będzie!... Związemy teraz córeczkę, zaraz odetchniesz swobodniej!... Musisz prze-

cież zobaczyć, jak będzie wyglądał twój kochanek!... To ci się należy!...

Don Basilio, pochylony nad ciałem dziewczyny, nie dostrzegł, że z sąsiedniej komnaty wybiegł Floryan.

Boggiero dalej krępował Dolores, rozprawiając z samym sobą. Naraz dwie silne ręce ujęły go za ramiona i odepchnęły w róg pokoju.

Don Basilio stanął oko w oko z Gotartowskim.

— Jesteś, psie!? — ryknął, wyciągając nóż.

— Szaleńcze! Czego chcesz od tego dziecka!?

— Czego chcę? Ty się pytasz?... Stawaj, tchórzu! Stawaj, szpiegu!...

Floryan zbladł, Boggiero zmierzył go krwią nabiegłemi oczyma, przyczaił się i wpadł z nożem na Gotartowskiego. Lecz Floryan uchylił się. Nóż ledwie drasnął go po ramieniu. Floryan dobył pałasza i zasłonił się od napaści. Boggiero wyciągnął pistolet i wypalił, lecz chybił. Don Basilia wściekłość bezsilna ogarnęła.

— Ustąp! — wołał nań tymczasem Floryan, młynkując pałaszem i osłaniając sobą szamocącą się na ziemi Dolores.

— Ustąpić tobie!? Nigdy! Dalej!... Wyswobódźże ją, niech się rzuci na ojca!

— Postradałeś zmysły! Gniew cię unosi!...

Boggiero cofnął się ku kracie. A dojrzawszy w głębi korytarza biegnących żołnierzy hiszpańskich, krzyknął zajadle:

— Do mnie, do mnie tu! do mnie bracia! Patrzcie! Gniazdo szpiegów!... Do Boggiera!...

Floryan przeciął więzy, krępujące Dolores i zasłonił ją. Do komnaty wpadło czterech Hiszpanów z twarzami zczerniałemi od prochu. Don Basilio ryknął z radości:

— Dalej, naprzód!... Na szpiega!... Żywcem go brać!... Pod piłą musi zdychać!

Żołnierze sunęli z karabinami ku Floryanowi. Gdy wtem Dolores stanęła przed pochylonemi bagnetami.

— Arragończycy!... Nie poznajecie mnie? Jam córka Boggiera!... Ten starzec oszalał!...

Żołnierze zatrzymali się nagle. Don Basilio wyrwał najbliżej stojącemu karabin i huknął groźnie:

— Za mną! Ja rozkazuję!...

Floryan pod natarciem bagnetów jął się cofać do drugiej izby, a wyparowany stamtąd, stanął w niszy, mając za sobą Dolores. Hiszpanka próbowała błagać litości, lecz Boggiero ani na chwilę nie pozwolił zatrzymać się żołnierzom.

— Brać go! Brać szpiega! On tu się ukrywał! On donosił, on naprowadzał!... Nie oszczędzajcie jej... podłej!... Fałsz — to nie moja córka!...

Koło bagnetów zaciskało się coraz silniej. Floryan rozpaczliwemi cięciami odbijał skierowane ostrza.

— Poddaj się łotrze!

— Zwalić go z nóg!...

Jeden z żołnierzy rzucił w Gotartowskiego odłamem muru. Floryan zachwiał się, jęknął, lecz Dolores zdołała go wesprzeć.

— Dobrze! — zachęcał Boggiero. — Walić mocniej!

Żołnierze schylili się po bryły gruzu, gdy wtem wpadła między nich zwarta gromadka Hiszpanów, cofająca się z bronią w ręku, tuż za nimi były już kaszkiety legii...

— Francuzi! Na śmierć! — wołali Hiszpanie.

— Naprzód! Ramię w ramię, kochanku!... Bij — choroba! — huczała ostro komenda. — Niech wam się zdaje, że major prowadzi!

Żołnierze, atakujący Floryana, zwrócili się ku legionistom. W Gotartowskiego wstąpiła otucha.

— Bracia! do mnie!...

Boggiero porwał za nóż.

— Wyjesz, psie! Nie ujdziesz mi!...

Hiszpanie, pod naporem piechoty, padali, ginęli.

— Pardon wołajcie!

— Śmierć Francuzom!...

Floryan zasłaniał się przed don Basiliem, rzucającym się przed nim i usiłującym kolbą karabina wytrącić mu pałasz.

Dolores, przytulona do muru, z trwogą śledziła każdy ruch ojca, gotowa rzucić się między walczących.

Opór Hiszpanów konał. Ostatnie dwa strzały padły...

Oficer, prowadzący oddział drugiego pułku legii, ukazał się we drzwiach.

— Skończyć z nimi! Dalej, królowie! Górą nasza!...

Sześciu żołnierzy ruszyło naprzód, lecz na widok walczącego Floryana z Boggierą zatrzymało się.

— Naprzód bracia! — wołał Floryan. — Obezwładnić go!...

Oficer dowodzący, na dźwięk polskiego zawołania, stanął przed żołnierzami:

— Co to, nie marudzić!

— Poruczniku! — wzywał Floryan. — Zajść go z tyłu! Jeńcem jestem hiszpańskim!

— Dobra!... Chłopcy — a po uchu carrambę!

Karabiny wyciągnęły swe stalowe żądła ku Boggierowi. Dolores jęknęła:

— Ojciec!...

— Hola! Towarzysze! Żywcem go wziąć!... to generał!

— Żywcem!

— Ale ty, psie, zginiesz!

— Brać carrambę, brać!

Boggiero tymczasem ani na chwilę oczu z Floryana nie spuszczał i nacierał coraz gwałtowniej. Floryan odbijał razy, nie szukając cięcia! Boggiero młynkował karabinem i osłaniał się przed atakiem legionistów.

— Macnijże go waćpan pałaszem! — zachęcał porucznik. — Dosyć tych ceregieli! Generał, nie generał!

— Ojcze! — błagała Dolores. — Ustąp! Patrz, przemagająca siła! Zaklinam!

— Pilno ci... Nic z tego! Wesele wam sprawić muszę! Francuzi! Patrzcie! Z wami nie walczę. Chcę tylko błogosławieństwa ojcowskiego udzielić!

Boggiero z włosem rozwianym, z wykrzywioną twarzą i z pianą na ustach, wyglądał na upiora. Już teraz nie atakował, lecz wprost szedł na ostrze pałasza.

Do izby tymczasem wpadło więcej legionistów. Floryan tracił siły i cierpliwość.

— Mości oficerze! Tylu was jest! Zabierzcie tego... szaleńca!

— Naprzód chłopcy! Marsz!

Legioniści zsunęli się i ruszyli z pochylonymi bagnetami. Jeszcze chwila, a Boggiero miał runąć pod ostrzami, gdy wtem wzrok Floryana padł na idącą odsiecz... i naraz w drugim szeregu przy boku porucznika dojrzał patrzącą ku niemu z pod kaszkietu twarzyczkę... Gotartowskiemu w oczach pociemniało... ręka, trzymająca pałasz, zadrżała. Boggiero rzucił się na Floryana, powalił go i ciął nożem po ramieniu. Gotartowski stracił przytomność. Boggiero zamierzył się po raz wtóry, mierząc celniej, lepiej, lecz Dolores chwyciła go za rękę. Między ojcem i córką wywiązała się walka, lecz legioniści pośpieszyli z pomocą i obezwładnili don Basilia. Dolores przypadła do ciała Gotartowskiego z jękiem.

Boggiero rzucał się i targał w nakładanych mu więzach. Porucznik zarządził dalszy pościg Hiszpanów, pozostawiając w pokoju przy don Basiliu zaledwie kilku żołnierzy z kapralem, i nakazując mu, aby i tę senioritę i Gotartowskiego miał na oku, ile że cała ta sprawa podejrzanie mu wyglądała.

Gdy legioniści wyciągali z komnaty, do porucznika zbliżył się młodziutki żołnierz i ozwał się cicho:

— Mości Bzura! Pozwólcie mi tu zostać!...

— Co? Gdzie? Hm!... Może i lepiej... bo tam jeszcze nie koniec. Lepiej! Zgoda! Kapralu! Zostawiam wam Michałka! A miejcie na niego baczenie!

— Według rozkazu! — mruknął kapral.

Floryan nie dawał znaku życia. Dolores starała się zatamować krew, buchającą z rany Gotartowskiego — daremnie. Krew przesiąkała chustkę. Dolores zwróciła się do żołnierzy z błagalną prośbą o ratunek. Boggiero klął i śmiał się dziko, wyrzucając wyrazy bez związku. Młody legionista podał Hiszpance bandaże i manierkę z wodą.

Dolores łzami powitała pomoc. Lecz opatrywanie szło jej niezręcznie. Legionista przyklęknął i z wprawą chwycił za szarpie, namoczył je wodą, obmył krew, nałożył warstwę suchych szarpi i przewinął bandaże.

Dolores z wdzięcznością poglądała na legionistę.

— Życie mi wracasz! — szepnęła Hiszpanka łamaną francuzczyzną.

Legionista podniósł swe wielkie, ocienione oczy i spojrzał na Dolores tak, jak gdyby jej duszę chciał przeniknąć — a po chwili rzekł cicho:

— Kochasz go?

— Pytasz jeszcze!...

— A on? — ciągnął głucho legionista.

— On... moim jest na wieki! — mówiła gorączkowo Dolores. Nic już nas nie może rozdzielić! Jego życie będzie i mojem... jego śmierć moją śmiercią!...

Ręce legionisty tak drżeć zaczęły, iż nie mogły związać końców bandaża. Dolores mu pomogła.

— Niech wam Bóg nagrodzi! — szepnęła ze szczerą wdzięcznością.

Żołnierz podniósł się z ziemi ociężale i raz jeszcze rzucił okiem na Gotartowskiego.

Hiszpanka uniosła głowę Floryana i trzeźwiła go wodą.

Stary kapral mruczał tymczasem:

— Dyabli nadali! Komedye istne! Ani chybi, wisieć będzie ta cała trójka!...

Zgiełk i zamieszanie w pałacu de Luna ustawały. We drzwiach korytarza ukazał się kapitan Rybiński z rontem obchodowym. Kapral zdał raport.

— Więc odprowadzić ich do obozu! A tam zobaczymy, co pułkownik postanowi.

— A ten tu... ranny? Podobno w niewoli był!...

— Do ambulansu pod strażą! Licho wie co za jeden!

Rybiński chciał zawrócić, gdy wzrok jego padł na wątłą postać młodego legionisty. Kapitan otrząsnął się aż z podziwienia i rzekł półgłosem do żołnierza:

— Wąćpanna tutaj? Chcesz, aby którego z nas pod sąd oddano?...

— Kapitanie... daruj... to się już nie powtórzy!

— Co za nierozsądek! Czuję, że to sprawa Bzury — natrę mu za to uszów! Proszę wracać mi w tej chwili! Kapralu! dodał głośniej Rybiński. — Ten szeregowiec, żeby mi wrócił natychmiast do koszar! Chory jest — toż widoczne!...

— Według rozkazu!

— Wracać natychmiast! Tu niema czego czekać! Pułk trzeci lada chwila nadciągnie i zajmie tu stanowisko.

Rybiński odszedł.

Kapral wydał rozkaz żołnierzom. Z porzuconych na ziemi karabinów zrobiono zaimprowizowane nosze i ułożono na nich Floryana. Boggiera i Dolores wzięli między siebie dwaj legioniści i ruszyli do obozu. Kapral z Michałkiem zamykali pochód.

Zdobycie pałacu de Luna było ciosem dla Saragossy. Lannes nietylko wżarł się głębiej w jej mury, lecz posiadł nadto obronną redutę, z poza której mógł razić Arragończyków silniej, dotkliwiej, celniej. Rozstawiona w oknach piechota francuska na kilkaset kroków dookoła trzymała w szachu Hiszpanów.

Noc z dnia ośmnastego na dziewiętnasty stycznia była straszną, przeszła grozą wszystkie dni oblężenia, stolicę Arragonu na wieki cierniową ozdobiła koroną, koroną męczeństwa i bohaterstwa.

Lannes wszystkie wytężył siły, wszystkie wyprowadził oddziały, wszystkie zogniskował środki.

Siedmdziesiąt armat huknęło po południu i lunęło na w połowie zapadłe w gruzy miasto deszczem żelaza. Zaprowadzone miny rozrywały mury, burzyły każdą przeszkodę, rozrzucały barykady.

Piechota ze wszech stron przypuściła szturm, wdzierając się na resztki murów, prąc w ulice i co chwila krwawe staczając rozprawy.

Saragossa broniła się. Wojsko Lannesa, dostawszy się na ulice, miało przed sobą ziejące ogniem armaty. W domach każde piętro, każdy zakamarek, piwnicę, strych, trzeba było zdobywać.

Już nie żołnierze hiszpańscy, nie gromady guerillów, lecz dzieci, kobiety i starcy stanęli do walki.

Z okien lano olej gorący, sypano kamienie, a gdy przychodziło do zapasów oko w oko, kobiety z nożami rzucały się na najeżone bagnety.

Noc bitwę zamieniła w mord obustronny. Łuny wznieconej pożogi otulały Saragossę, ryk dział ginął wśród dzikich zajadłych okrzyków. Piechota francuska, zbrojna ręcznymi granatami, szła naprzód.

Na ulicy Alfonsa, prowadzącej do serca Saragossy, bój wrzał najgwałtowniejszy. Tam mężny Butron, Esteban Fleury, Villalba i San March cudów dokazywali waleczności, tam barykadę wznoszono za barykadą, tam lepiej od nasypów chroniły oblegających zawały ciał ludzkich, tam Lannes atak przypuszczał za atakiem.

Była chwila, że pod naciskiem grenadyerów Hiszpanie już zdawali się chwiać, już mieli ponieść cios śmiertelny, gdy wtem zjawiła im się pomoc — pomoc, która zmroziła krew w żyłach najodważniejszych.

Pod uderzeniami bomb pękły drzwi domu obłąkanych. Sześćdziesięciu chorych wypadło na ulicę Alfonsa i rzuciło się ze śmiechem na oddziały francuskie. Szalone kobiety zawieszały się na szyjach grenadyerów, ściskały ich i całowały śród wybuchów radości. Furyaci wpijali się w twarze żołnierzy i kąsali. Nie wystraszył ich ani ogień rotowy, ani ostrza bagnetów.

Szalonych trzeba było odrywać kawałami od grenadyerów, ćwiartować, krajać.

Szyk francuski w tej walce złamał się. Villalba zdążył zatoczyć moździerz. Pozycya była uratowaną. Mimo to owoc szturmu był obfitym.

Trzy kościoły runęły wysadzone minami, grzebiąc tysiące rannych i tych, którzy imienia wzywali Pańskiego. Dwadzieścia domów zlanych krwią, popsutych granatami, stało się zdobyczą Francuzów — cztery tysiące Hiszpanów okupiło honor Arragonu, w armii Lannesa śmierć również krwawe zbierała żniwo.

Nigdy jeszcze żadna bitwa pod Saragossą nie pochłonęła tylu ofiar. Ambulanse francuskie nie zdołały pomieścić rannych. Żołnierz godzinami wyczekiwał na opatrunek, mdlał z bólu, z bólu targał się na ostatek życia. Hiszpanie strzelali gwoździami, bezkształtnymi kawałami żelaza, piekli żagwiami, parzyli warem, a uciekali się do jakichś strasznych narzędzi, które nie raniły, nie cięły, lecz pruły ludzi, otwierały trzewia, docierały aż do jelit.

Lannes, poglądając na to zniszczenie wojska, zemstę przysięgał, ręce łamał i odwetem groził.

Lecz odwet ten już był.

Gdy nad ranem ognie francuskie umilkły, Hiszpanie legli, jak stali, na pozycyach, murach, dachach domów. Słaniające się cienie kobiet rozdawały tylko wodę — dźbła pożywienia nie było. O rannych Hiszpanach nikt nie myślał, nie troszczył się. Kto padł, ten już powstać nie mógł; kogo kula dosięgła, ten czekać musiał nie na opatrunek, nie na chirurga, lecz na gangrenę...

Jeżeli zaraza zdążyła zjawić się prędzej, ranny błogosławił ją. A zaraza ta była nieubłaganą.

Tysiące zwłok niepogrzebanych zapowietrzyło miasto miazmatami, krew, krzepnąca na ulicach, wydawała z siebie zabójcze oddechy. Były miejsca, że ludzie ustać w nich nie mogli, że zawrót głowy nogi im podcinał.

Lecz sztandar hiszpański powiewał jeszcze!...

W ciemnych, ponurych izbach, na wąskiej uliczce pod La Seo, zebrała się znów chunta. Nieliczne to było zebranie. Manso leżał ranny, Versage śmiertelne odniósł kontuzye. Esteban Fleury leżał omdlały na reducie. Na obrady przywlekli się tylko San March, De Ric, Solanilla, Santiago Sas, Butron i Villalba.

Solanilla pierwszy się odezwał:

— Chyba nocy tej powinno nam wystarczyć!...

— Tobie pierwszego dnia oblężenia było dosyć! — warknął Santiago.

— Milcz, żebyś nie żałował!...

— Pachołku francuski!...

— Precz z kłótniami! — przerwał surowo San March.

— Jak śmie ten... mówić jeszcze o poddaniu! — ujął się Butron.

— Butronie! — upominał San March. — Solanilla nie jest tu jeden!... Będziemy głosowali!...

— Nigdy! — rzucił zapalczywie Butron. — Słyszysz, generale?...

— Spokoju! — wmieszał się don Pedro. — Patrz, dokądżeśmy zaszli... Jeżeliby Francuzi przez dni cztery nawet ani jednego nie przypuścili ataku, grozi nam wszystkim śmierć z głodu!

— Tem lepiej! — mruknął Santiago Sas. — Lecz poddać się — nigdy!...

— Proponuję głosowanie! — napierał Solanilla.

— Ja je popieram! — rzekł głucho San March.

— I ja! — dodał ciszej don Pedro.

Butron porwał się z za stołu, złamał szpadę i rzucił ją pod nogi San Marcha.

— Ze zdrajcami nic mnie nie wiąże!

— Butronie!...

— Cha! Tchórze! Boicie się śmierci! — wołał Santiago Sas. — Wy chcecie być chuntą saragoską? Butronie! Za mną! My jeszcze wśród konających opór znajdziemy!... My przekonamy cię, Solanillo, że twojem przeznaczeniem jest stryczek!...

Solanilla zaśmiał się szyderczo.

Butron z Sasem wybiegli do sieni, lecz tam dziesięciu ludzi rzuciło się na nich i, mimo zaciętego oporu, związało.

San March zachmurzył się.

— Towarzysze! — rzekł głucho. — Wolałbym się był do przemocy nigdy nie uciekać... ale stało się! Trzynaście tysięcy żyjących jeszcze szkieletów zasługuje na litość! Miasta nie poddajemy — ustępujemy z gruzów!... Ci dwaj, to szaleńcy! Dajcie mi chleba i prochu, a lata całe gotów jestem się bronić! Ta garstka żołnierzy ustać nie może!

Solanilla przytwierdził skwapliwie słowom San Marcha. Villalba zwiesił głowę, don Pedro ukrył twarz w dłoniach.

— Zresztą — ozwał się San March — nie decydujmy sami! Chodźmy do Palafoxa. Od wczoraj jest znów przytomny...

Członkowie chunty powstali i szli, kędy w wilgotnym lochu, słabo oświetlonym lampką olejną, leżał powalony niemocą wódz Saragossy. U wezgłowia jego siedziała Juanita de Ric, blada, o twarzyczce pożółkłej, zapadłej.

San March podsunął się pierwszy do łoża chorego.

— Jak się czujesz Palafoxie?

Palafox drgnął nerwowo.

— Ja?... Kto mnie pyta?... To ty San Marchu! Co się dzieje?... Cisza?... Co to znaczy?

— Odparliśmy przed chwilą atak!...

Palafox uśmiechnął się.

— To dobrze!...

— Francuzi owładnęli pałacem de Luna!... Biwakują pod kościołem San Andres i San Carlos...

— Więc spędźcie ich z pozycyi! Zróbcie wycieczkę!...

— Nie mamy prochu!....

— Macie bagnety, pałasze...

— Nie mamy ludzi!...

Palafox uniósł się na posłaniu i przeszył San Marcha piorunującem spojrzeniem.

— Wiem, po coś przyszedł! — rzekł ponuro. — Rozumiem! I pytam dlaczego, czegóż chcecie odemnie?

— Wodzu!—mówił złamanym głosem San March.— Przychodzimy, abyś zawyrokował!... Powiedz, co mamy czynić, co postanowić!... Nam opadają ręce!... Żołnierze od dwudziestu czterech godzin chleba kawałka nie mieli w ustach.

Palafox milczał — na woskowo-przeźroczystą twarz jego wystąpiły czerwone plamy.

— Ja już moje ostatnie słowo powiedziałem!... Chcecie się poddać!... Czytam to w waszych oczach! Nie przecz! Gdy ta myśl raz was opanowała... Saragossa już jest w ręku nieprzyjaciół. Was jeszcze tknęło sumienie! Myślicie, że ja na małoduszności tej pieczęć przyłożę!... Nigdy! Byle umrzeć, byle prędzej!...

Palafox odetchnął ciężko.

— Więc wszyscy... wszyscy?! Gdzież Boggiero?...

— Paść musiał podczas szturmu!

— Gdzie Versage? Butron?

— Versage leży wpółmartwy! Ta tylko nas garstka została... Jeszcze dzień jeden, a i nas nie stanie! Wówczas motłoch sam odwali barykady... podda się bez warunków! Bez traktatu!...

— Masz gotowe odpowiedzi na wszystko!... Czegóż przychodzisz do mnie?... Czego zwlekasz?...

— Palafoxie! Trzeba, abyś ty podpisał przedłożenie...

— Nigdy! Słyszysz? Raczej śmierć, mękę, lecz nigdy upokorzenia! Odejdźcie stąd!... Widzieć was nie chcę na oczy! Dajcie mi tu umrzeć! Niczego w tej chwili nie pragnę!...

— Don Jose! — ozwała się drżącym głosem Juanita. — Nie unoś się! Czy możesz się gniewać?... Umieramy wszyscy z głodu, z nędzy... Iluż doczeka... choćby niewoli! Myśmy słabi, wyczerpani... Tyś był naszem światłem. Któż zdolen jest prowadzić teraz do męczeństwa?...

Palafox załamał ręce.

— Masz słuszność, Juanito!... Wymagam za wiele! Lecz czegóż przychodzą do mnie zadawać mi katusze? Ta ręka nigdy nie podpisze kapitulacyi!... Jeżeli starczy jej sił, pochwyci za pałasz — nigdy za pióro!

Moje słowo ostatnie — śmierć! Ale, jeżeli nie nosicie w sobie hartu, jeżeli nie czujecie się w mocy ledz — jeżeli mielibyście w czasie walki białe chusty na bagnety zatykać, a pod ogniem nieprzyjacielskim pardonu żądać i zmiłowania, to wolej wam już hańbę ustroić w umowę... małoduszność w kapitulacyę!... Tak, bo i nie dość chcieć umrzeć za ojczyznę — trzeba jeszcze umieć!

— Palafoxie! — odezwał się gorąco San March. — Przysięgam ci, że potrafimy uzyskać warunki godne Saragossy!...

Palafox przerwał niecierpliwym ruchem ręki:

— Takich warunków niema!

— Wodzu, na pierwszym planie postawimy twoją nietykalność!...

— Ani się waż o mnie wspominać!... Oddalcie się! Teraz wam moja rada, moje słowo są niepotrzebne!...

Członkowie chunty wyszli. W godzinę na wieży La Seo, obok sztandaru hiszpańskiego, ukazała się biała chorągiew.

Przed namiotem Lannesa stanął don Pedro Ric.

Armaty umilkły.

Układy trwały krótko. Lannes umiał być wspaniałomyślnym, nie wiedział, że przyrzeka więcej, niż mu dać pozwolą...

Dnia dwudziestego pierwszego lutego armia Lannesa stanęła w szyku uroczystym pod murami Saragossy. Na wystrzał armatni rozsunęły się barykady i ukazały się oddziały Hiszpanów.

Oddziały szły do otoczonego grenadyerami placu i tam składały broń.

Serce zamarło w piersiach armii francuskiej, gdy zbliska ujrzała tych, którzy jeszcze chcieli rwać kapitulacyę i stawiali żądania, grożąc oporem!...

Obraz nędzy i wyniszczenia zdumiał zwycięzców. Patrząc na te szeregi postaci bladych, wychudłych, chwiejących się, owiniętych szmatami, czasem ledwie przytomnych — żołnierz francuski zapadał w ponure milczenie. Bębny i trąby, które miały fanfarami powitać upokorzonych, ogłuchły.

Oficerowie odwracali oczy.

Z Saragossy nie armia ustępowała, lecz nędza, głód, zaraza.

Z trzynastu tysięcy ludzi, którzy zdołali wyjść za mury — do wieczora tysiąc padło!

Armia francuska musiała zacząć od kopania mogił. Cztery pułki chwyciły za łopaty, sypiąc sznury kopców.

Suchet ruszył za furażem.

Marszałkowie ze sztabami wjechali w gruzy stolicy Arragonu, wjechali w ruiny, pogorzeliska, cmentarze. I nie było domu, któregoby nie pokrajały, nie poszarpały kule, nie było piędzi ziemi, któraby nie wzięła okupu z krwi i śmierci.

Straże francuskie otoczyły Hiszpanów — wodzowie Saragossy czekali wyroku.

Gońce niosły już do głównej kwatery wieści o zdobyciu miasta. Lannes codzień wyglądał rozkazów, a tymczasem wszelkich środków używał, byle zapobiedz wiszącej nad jego armią klęsce.

Poddanie Saragossy bowiem powiększyło tylko liczbę głodnych i cierpiących. Zniszczone mury nawet schronienia przed chłodem i deszczami nie dawały. Zaraza jęła już między armią grasować.

Zwłoki rozkładające się a wydobywane z siedzib hiszpańskich, palono — całe domostwa, zarażone zabójczymi wyziewami, oddawano na pastwę płomieniom.

Gońce wróciły.

Tego samego dnia jeszcze wybrano co najsilniejszych niewolników, ujęto w łańcuchy konwoju i poprowadzono za Pyreneje.

Generałów hiszpańskich osadzono pod strażą w dolnych komnatach pałacu de Luna — tam także dano pomieszczenie kilku co przedniejszym seniorom, tam Dolores cieszyła Juanitę — Juanita krzepiła Dolores. Palafox leżał w izbie wraz z Boggierem i Santiago Sasem.

Wódz Arragonu od chwili, gdy u jego łoża stanęli żołnierze francuscy, jakby zaniemówił. Nawet

znalazłszy się razem z Santiago Sasem i Boggierą, trwał w milczeniu.

Marszałek odwiedził Palafoxa, zdobył się na słowa uznania dla jego męstwa i odwagi, lecz żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Palafox milczał.

Solanilla, który jeden z pośród oficerów hiszpańskich pozostawał na wolnej stopie, a rozsypywał się w proch przed marszałkiem — po dwakroć zwracał się do Palafoxa z przedłożeniami, aby z poddaniem zniósł wyrok losu, lecz ani razu odpowiedzi nie odebrał. Natomiast Santiago nie szczędził Solanilli obelg i pogardy.

Na trzeci dzień po poddaniu Saragossy do izby, zajmowanej przez Palafoxa, wszedł oficer żandarmeryi polowej z Solanillą.

— Oto są! — rzekł ten ostatni. — Don Basilio Boggiero i Santiago Sas.

— Judaszu! — wykrzyknął ten ostatni.

— Szpiegu! — huknął Boggiero.

— Panowie! — przerwał ostro oficer. — Proszę za mną!

— Dokąd? — rzucił Santiago.

— Dowiecie się!...

Dwunastu żołnierzy otoczyło Santiaga i Boggierę. Ten ostatni zwrócił się do oficera:

— Kawalerze! Dokąd mam iść, to jest mi obojętnem. Przedtem pozwól mi ucałować moją córkę.

Solanilla zaśmiał się ironicznie.

— Poruczniku! — wtrącił. — Jeżeli słowo moje zaważyć może... niepodobna mu odmawiać tej przyjemności!...

Oficer skinął przyzwalająco. Trzech żołnierzy z Solanillą wyszło do sąsiednich izb, a po chwili powróciło, wiodąc Dolores.

— Boggiero, masz pięć minut czasu na rozmowę!...

Basilio na widok córki zatrząsł się i rzucił się ku niej z wybuchem szalonej radości.

Straż odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć na scenę pożegnania.

Boggiero mówił coś do Dolores szeptem tak cichym, tak stłumionym, że ledwie chrobot słychać było w izbie. Rozmowa przeciągała się. Oficer raz i drugi zawołał na Boggierę, wreszcie nakazał rozdzielić ojca z córką.

Żołnierze oderwali przemocą ręce don Basilia...

Na ziemię osunęło się bezwładne ciało dziewczyny. Sine pręgi na szyi i sztylet, tkwiący w piersi Dolores, przeraziły oficera.

— Morderca! — wybuchnął Solanilla z dziką rozpaczą.

— Ale nie szpieg!...

— Nikczemny!...

— Cha! Miałeś ochotę wyprawić sobie wesele!...

— Naprzód! — zakomenderował groźnie oficer. — Kawalerze Solanilla, ustąp!...

— Szpiedzy na bok! — huknął groźnie Santiago i podniósł głowę.

Żołnierze ujęli Boggierę i Santiago Sasa i ruszyli z pałacu.

Gdy pochód zbliżył się nad brzegi Ebra, Santiago rzucił półgłosem do Boggiery:

— Módl się!

— Nie mogę! — jęknął Boggiero.

Żołnierze wprowadzili więźniów na szczątki kamiennego mostu. Oficer zakomenderował głucho:

— Stać!

A potem mruknął ponuro:

— Skończyć!

Dwanaście bagnetów pochyliło się i jęło szarpać ciała Santiago Sasa i Boggiery. Mordowani nie wydali ani jednego jęku, ani jedna skarga nie skaziła zaciśniętych ust, ani jedno słowo o litość nie dobyło się z rozrywanych piersi. Tylko ręce ich wyciągały się ku rysującym się na tle gwiaździstem nieba murom świątyni „Pilaryki".

W kilka chwil ciała Hiszpanów zamienione w miazgę, zgarnięto bagnetami i wrzucono w fale Ebra.

I w ten sposób stało się zadość rozkazowi, który nakazywał zgładzenie dwóch najzaciętszych wrogów nowego króla bez hałasu i rozpraw.

Marszałek Lannes przyrzekł wiele, lecz główna kwatera była nieubłaganą w daniu przykładu innym.

Hiszpanie nie zrozumieli intencyi i z Saragossy wzięli tylko hart, odwagę, poświęcenie, bohaterstwo i zapomnieli o lęku, o zgrozie, którą ich przerazić usiłowano.

Niewolnik szedł z ponurą zaciekłością w oczach do Francyi.

Pół obumarły wódz Arragonu za śmiałość, za nieugiętość, za dumę powleczony został do lochów zamku Vincennes.

Lannes próbował uzyskać zmianę wyroku na Palafoxa — przedstawienia jego nie odniosły skutku; główna kwatera pozostała głuchą na szlachetne unie sienie marszałka.

Dzięki staraniom doktora Gulicza, Floryan już na czwarty dzień po zdobyciu pałacu de Luna odzyskał przytomność.

To niezwykłe staranie zawdzięczał Gotartowski rozkazowi sztabu, który domyślał się w nim jakiegoś tajnego sprzymierzeńca Hiszpanów a powiernika chunty.

Wiadomość o powrocie do zmysłów Floryana sprowadziła do niego oficerów żandarmeryi polowej na śledztwo. Badanie było krótkie; odpowiedzi Gotartowskiego usunęły wszelkie podejrzenia, świadectwo Masłowskiego, Łaguny i Jaworskiego rozproszyło wątpliwości i powróciło Floryanowi zaufanie.

Gotartowski był zgnębionym, przybitym, zniechęconym. Myśl, że go tu śmieli posądzać o zdradę, czy konszachty, napełniła go goryczą. Gorzej jeszcze dręczyło Floryana wspomnienie o Dolores, o którą się napróżno dopytywał. Poza tem, ilekroć sięgał pamięcią chwili walki z Boggierą, tylekroć opanowywał go zabobonny przestrach.

Zdawało mu się, iż z pod kaszkietu żołnierskiego pogląda nań jeszcze ta ściągła twarzyczka, pogląda

z bolesnym wyrzutem, jakby skamieniała z bólu... Próżno Floryan bronił się przed nią, próżno odpędzić chciał, mara wydała mu się tak uchwytną, tak wcieloną, tak żywą — iż wszelki głos zimnego rozsądku głuszyła.

Gotartowski próbował wyperswadować sobie zjawisko podobieństwem, osłabieniem głodowem, gorączką, a mimo to, wciąż niby na jawie widział drobną postać legionisty, tak uderzająco podobną do Zośki.

Armia Lannesa pod Saragossą powoli malała, kurczyła się. Pułki wyciągały codzień, bądź na południe ku Madrytowi, bądź z niewolnikiem do Francyi.

Generał Laval, mianowany gubernatorem Arragonu, zaprowadzał możliwy ład i porządek. Junot, książę Abrantes, otrzymał już nominacyę na wodza po Lannesie. Ten ostatni czynił przygotowania do powrotu do kraju. Za marszałkiem dziesiątki rannych, kalek a chromych prosiło o urlopy i dymisye.

Sztab po dniach i nocach pracował nad doprowadzeniem regimentów do ładu i porządku. Jeden tylko Suchet uganiał się dokoła za guerillami.

Po dwutygodniowej kuracyi Floryan zdołał zwlec się z posłania przy pomocy Strumiłły. Pusto było Gotartowskiemu i obco dotąd.

Koledzy w legii, choć uprzejmi, trzymali się od niego zdaleka, a jeden Stadnicki, z którym Floryan był może w najściślejszych stosunkach, jeszcze leżał bezwładny prawie. Nadomiar, Gotartowskiego dręczyła myśl o siwku. Masłowskiemu udało się konia odnaleźć i to w chwili, gdy żołnierze, wywlókłszy go z pałacu, zabierali się już do sprawienia. Koń niby ocalał, lecz był tak wymizerowany, iż żadnej nie budził nadziei odzyskania sił.

Gotartowski błagał Łaguny, zaklinał Masłowskiego; konia karmiono, pamiętano o nim, ale już i konował strzelców radził zabić schorowane zwierzę, nawet żądał tego i odgrażał się złożyć raport o marnowaniu paszy na wyżywienie bezużytecznego stworzenia.

Serce ścisnęło się Floryanowi, kiedy z ambulansu wywlókł się do stajni i zobaczył siwka. Zapadłe boki konia, opuchnięte nogi, oczy zaszłe bielmem, guzy zołzowe na podgardlu potwierdzały smutne wróżby. Siwek na widok swego pana zarżał przeciągle, żałośnie i wyciągnął łeb do ręki.

Floryan nabił pistolet i przyłożył go do skroni siwka... Koń spojrzał na niego z jakimś niemym wyrzutem.

Gotartowskiemu zabrakło odwagi. Masłowski aż go napominał.

— Dzieciństwa, panie Floryanie! Żal wam zwierzęcia, więc lepiej niech się morduje. Skończyć raz, i tak już chryja cała z tym koniem! Zołza jest zaraźliwą w dodatku! Przykrzej wam będzie, jeżeli się z nim sami rozprawią!

Floryan nie dał się przekonać. Konowała ujął był sobie datkiem i odtąd codzień chodził do konia, opatrując go oliwą, niewoląc do jadła a solami kurując.

Od czasu do czasu Gotartowski zaglądał do Stadnickiego, lecz pan Józef dziwnie zimno go przyjmował, a niekiedy na przytyki się zdobywał.

Floryana ubodła w końcu opryskliwość i oschłość Stadnickiego, pewnego więc razu wobec Bzury zagadnął wprost pana Józefa

— Nie wiem, coś sobie do mnie upatrzył, lecz krzyw mi jesteś! Juści naprzykrzać ci się nie będę!...

— Oo!... Królu! dobrodzieju! Stadnicki! Ot, sobie burczy a burczy... nic zresztą! Myślicie, wachmistrz dla mnie jest łaskawszy? — łagodził Bzura.

— Łaskawszy, nie łaskawszy! — mruknął pan Józef. — Nie lubię, psia mać i koniec! A ty siedź cicho... bo i tak jeszcze ci się należy odemnie!...

— Dopytałem się!... Parlamentarz po łbie dostał... Józiu, królu serdeczny, zapomniałeś, jak to było pod pałacem Karasia?... Daj pyska! Co o tem — potem! A teraz nie surz się, nie symuluj suma, bo ci z tem nie po sercu! Widzisz, my cię tu wszyscy doglądamy, hołubimy, a ty zęby szczerzysz! Powiadam ci, gros-

major ślubował ofiarę na kościół, jeżeli przed półpościem na nogach staniesz!...

— Bodaj się zapadł ze swemi życzeniami!

— Jużci uciął! Józiu, a wiesz ty, co on powiada? Powiada, że ma psie szczęście, bo się jeden naprawdę porucznik udał w legii, a licho nadało, że kawalerzysta i to taki zajadły, iż konia w brzuchu nosi!...

Stadnicki, mimo całego swego zmarszczenia, uśmiechnął się. Bzura próbował skorzystać z tego chwilowego rozpogodzenia.

— No, i widzisz! Samego cię śmiech zrywa!... A radbyś srogość udawać, a kłuć, a gryźć! Pluń, kolego! Dzięki Bogu, oblężenie się skończyło, biedy co dnia ubywa, a wreszcie i my się wydostaniemy na przestwór, gdzie o kubek wina będzie łatwiej, a do rangi, czy krzyża bliżej!... He, he! Wiem ci ja, czego ci braknie — naszej Żubrowej, co?... A bardziej jeszcze tego Michałka, co?...

— Trafiłeś, jak kulą w płot! — bąknął Stadnicki.

— No, no, przyznaj się!... „Mama“ umiała wygodzić!...

— Co to za Żubrowa? — zagadnął Floryan, uderzony podobieństwem nazwiska.

— Markietanka legii naszej! Setna baba! Żeby ona tu była!

— Więc niema jej teraz?...

— Wyciągnęła z pierwszą partyą niewolnika!... Coś ją jakby postrzeliło! Gdzie, po co, dokąd? — Mówię: Przebiedowaliście całe oblężenie! Ani myśli!... Michałko naparł się!

— Michałko?...

Ba, ba! To cała historya! No, niema ich teraz — mogę rzec. Uważacie, markietanka miała przy sobie dziewczynę! Naturalnie, tajemnica wielka!... Dziewczyna po żołniersku się nosiła! Dyablik wcielony! Podobno z zacnego rodu. Co ją tu przygnało, trudno dociec. Niema co — niejedną nam oddała przysługę. Obie to Gulicza potrafiły zakasować, a co Józio, dalipan, im zawdzięcza, że się dziś chmurzyć może!

Stadnicki zamyślił się ponuro. Gotartowski głową chwiał ze zdumienia.

— Dziwy mówicie! — szeptał machinalnie.

— Możnaby o nich ze trzy wieczory prawić. Co to było uciechy z babą!... Lis stary, mądrala taka — ho, ho!... A przytem serce złote. W języku zaś taka sprawna, że jej nic ani generał, ani marszałek! Na dwa dni przed ostatnim szturmem spotkał ją książę Montebello i zagadnął, od jak dawna jest markietanką, a ona mu na to: — a przecież wasza książęca mość z manierki mojej pił pod Montebello!... Lannes sypnął babie garść napoleonów! Ale wierzcie mi, albo i nie — a on Michałek był w szturmie. Kiedy legia wdarła się do pałacu, nas podzielili na oddziały, aby zaczajonych po kątach Hiszpanów wytłuc... Ja z moją półkompanią ruszam, a wtem, niby z pod ziemi, zjawia się przedemną Michałko i ślepkami strzyże... i błaga, żeby ją brać! Ciarki mnie przeszły, lecz nie było czasu!... Z tyłu szedł trzeci pułk!... Kazałem wziąć ją w środek!... Poszła! Ba! Mości wachmistrzu, toć była ze mną — kiedym to was nadszedł był w rozprawie z tym Hiszpanem!...

Floryan zbladł.

— Natarli mi uszu potężnie!... Kto wie, czyby z tego chryja nie wypadła, ale nazajutrz markietanka zwinęła wózek! No i tak się skończyło.

Bzura umilkł. Floryan chciał go o coś zagadnąć, lecz nagle sił mu zabrakło.

— Milczałbyś! — zauważył ze złością Stadnicki. — Bajesz i bajesz, a co kolega Gotartowski mógłby ci więcej o tem powiedzieć!...

— Józefie! o kim myślisz?...

— Cha, cha! Nie wiesz jeszcze? Proszę!... A przecież takim serdecznym nieboszczyka kapitana się powiadałeś? Zdawałoby się, że o jego jedynej stryjecznej choć wspomnisz poczciwie!

Floryan porwał się i zawołał groźnie:

— Człowieku! Nie szarp mnie! Nie dręcz! Przez Boga! Kogo ty wspominasz?!

— Zofię Dziewanowską.

Floryan zatoczył się bezwładnie. Bzura wsparł go.

— Co wam, królu?...

— Nic, nic, — szeptał Floryan. — Rozum mi odejmuje! Możeż to być?! Boże!... Józefie, powtórz! Widziałeś ją? Więc żyje?!...

— I nietylko ona... ale seniorita Dolores także!... Pociesz się, mieli ją za umarłą, ale słyszę, dźwiga się!...

Gotartowski nie zrozumiał przymówki. Radość, uszczęśliwienie odjęło mu mowę. Rzucił się na tapczan i śmiał się do siebie, śmiał się jakimś bólem tajonym, śmiał się a płakał naprzemiany.

Stadnicki, poglądając na Floryana, chmurzył się i mruczał do zdziwionego tą sceną Bzury:

— Nie lubię, psia mać!... A dyabli go wiedzą!... Tu, a i tam! Tfy! Nie lubię!... Komedye chyba! Niby tamta, a przecież ta!...

Po opanowaniu pierwszego wzruszenia, Floryan jął rozpytywać się a dociekać szczegółów, drżąc, aby ta radość nie prysła, aby szczęścia nadzieja, która już tak gwałtownie, tak żywiołowo wryła się w jego serce, nie rozwiała się, nie zczezła.

Wszystkie szczegóły, przytaczane przez Bzurę, potwierdzały w najdrobniejszym drobiazgu wszystko.

Gotartowski słuchał z zapartym oddechem, krzepł na duchu i rósł w siły. Jakby nowe weń życie wstępowało. Myśl, że ona żyje, że była tu, napełniła go pociechą, lecz i trwogę rozniecila.

Dlaczego Zośka uciekła, dlaczego odstąpiła go, dlaczego i dokąd się oddaliła?...

Stadnicki i te wątpliwości rozwiał.

— Wszystko cię, widzę, dziwi! — uciął oschle. — Chciałbyś, żeby druchną była na weselu z tą... z tą...

— Postradałeś zmysły!...

— Z nas dwóch chyba ty!...

— Skąd takie przypuszczenie mogło powstać?...

— Z twych własnych słów!... Zapomniałeś, coś do mnie mówił... gdym cię spotkał, parlamentując?...

Floryan ręce załamał.

— Oby ci Bóg przebaczył krzywdę, jakąś mi wyrządził!

Stadnicki szarpnął się niecierpliwie.

— Wypominaj sobie samemu! Hiszpańskich chciało ci się amorów!...

— Na moją mękę powstała ci ta myśl! Zośkę miałem za umarłą. Do chwili ostatniej nieboszczyk Dziewanowski mnie w tem mniemaniu utwierdzał. A Dolores, za okazywane mi przywiązanie, za poświęcenie płaciłem braterstwem. Jeżelim zaś pomyślał, aby ją pojąć, to nie dla swego, lecz dla jej szczęścia... Bywajcie mi!... Wielką a niezasłużoną krzywdę wyrządziłeś mi, Józefie.

Gotartowski powlókł się ku wyjściu. Stadnicki porwał się za nim z posłania.

— Florek, psia mać!... Cóż ty?... Niech mnie djabli!... Lichoż wiedziało! Łasiła się do ciebie ta czarnucha, jak kot do mleka!... Ty ani „be“ ani „me“! Tfy, nie lubię, psia mać!... Dawaj gęby — przecież do mnie żalu nie dźwigaj! Toć ją odnajdziesz! Czart się wmieszał, a niepokoju znów napłodził!... Bodajby mnie gdzie kula była przetrąciła, zanim, psia mać, gęby o tobie uchyliłem! Ale ci się klnę, że słowa przed nią nie pisnąłem, nawet z babą zaklęliśmy się, pary z ust nie puścić... No, lecz cóż chcesz, com krył, to mi gorączka z gęby wydarła... Florek!...

— Zrządzenie losu! — przyświadczył Bzura. — Królowie moi! Stało się! Łatać trzeba!... Chwytać dezerterów i koniec!

Gotartowski uścisnął rękę Stadnickiego.

— Wierzę, iż nie ze złej woli!... Żegnajcie mi!

— Dokąd ci tak pilno?

— Muszę!... Idę do sztabu!... Pora mi w drogę!...

— Ja z tobą!...

— Józefie! Ty?... Pułk twój na miejscu!... Chory jesteś...

— Co mi tam! Dosyć mam tych piechurów! Wolę buty szwoleżerom czyścić.

— Józiu! królu, jak cię szanuję, tak przetrącę na drogę! — upominał Bzura. — Krzyż dostałeś... pierwszy awans dla ciebie, nie urągaj piechocie!...

— Niech sobie!... Chcecie, na szable z całym regimentem, a ja tu nie wytrzymam!...

Gotartowski uspokoił Stadnickiego, że nie tak prędko do drogi się zbierze, a sam cichaczem natychmiast zameldował się adjutantowi sztabowemu, przekładając, że czuje się na siłach do drogi i prosząc o ordynans do gros-majora Delaître w Paryżu. Adjutant przyrzekł złożyć raport.

Sprawa atoli nie poszła tak gładko, jak był przypuszczał Floryan. Kancelarya sztabu była zawalona robotą, która powiększała się wskutek nieustannego ruchu wojsk i transportów niewolnika hiszpańskiego.

Floryan codzień odbierał zapewnienie, iż odesłanym będzie z najbliższą ekspedycyą i codzień gotował się do drogi. Najwięcej troski nabawiał go siwek, który choć poprawiać się zaczął, lecz przecież nietyle, by go dosiąść można było. Gotartowski był zdecydowanym konia zostawić komu. Dnia jednego nie chciał stracić. Byle prędzej, byle za nią! Obiecywał sobie dogonić konwój w drodze...

Dzień za dniem upływał. Floryan był w gorączce — myśl o Zośce zabijała go, odejmowała mu panowanie nad sobą. Bolesna niepewność przytem dręczyć go zaczęła. Nie było wątpliwości, że Dziewanowska aż tu przywędrowała dla niego.

A teraz?... Czy te okropne pozory nie zburzyły w jej sercu przywiązania, czy znajdzie ją jeszcze dla siebie?...

Ta wątpliwość co dnia stawała się Floryanowi sroższą. Nie myślał już ani o powrocie do pułku, ani go obchodziły wieści o nowej wojnie z Austryakiem. Snuł się po dniach całych po obozie jedną pochłonięty nadzieją, pragnieniem...

Bzura, a i Stadnicki, który już podnosił się z tapczana, cieszyli Gotartowskiego, zachęcali do cierpliwości.

Pan Józef tymczasem ze swej strony starał się także o dymisyę, motywując ją nadwerężonem zdrowiem. Próżno gros-major Michałowski namawiał, pró-

żno pułkownik Kąsinowski wróżył mu karyerę — Stadnicki upierał się. Gros-major był niepocieszonym.

— Kochanku! — mówił, pociągając pasa. — Głupstwo robisz! Fochy, fumy, muchy, niezadowolenie, krzywienie, bałamuctwo, choroba! Już to ja wiem, że wszystkiego narobił ten kamrat, koleżka, towarzysz, szwoleżerek, co to niewiadomo skąd, co, jak, którędy w Saragossie hiberny odprawiał!... Jeżeli znów ci się zdaje, że mi tak bardzo idzie o ciebie, to... to się mylisz, kochanku! U mnie rygor, powinność, piersi naprzód, ręka u kaszkietu i stój, jeden z drugim uszanowanie miej... a waćpan to zaraz gęba jak w febrze, jęzor na łokcie, zęby bodaj generałowi wyszczerzyć, a byle słowo, to ci zaraz brząka szabelką, oczyma świdruje, wąsy gryzie a sapie... Kochanku, rozpuszczenie, bisurmaństwo, tatarszczyzna, choroba!...

— Właśnie! — odcinał się porucznik. — I dla regimentu lepiej, że się jednego warchoła pozbędzie!

— Uu! Zajechałeś, kochanku! Hm — tego!... Widzisz, regiment to... tego... rozmaitych potrzebuje! W uczciwym pułku musi być i saper, i kuchmistrz, chirurg i krawiec, szewc, płatnerz, puszkarz, rymarz, muzykant, stylista, a jeden impetyk, szalona pałka, choleryk, morowiec, zawierucha, choroba musi być także! Czekaj, jakżeś to krzyknął?... „Właśnie szwoleżerzy!“ Bodaj cię urwisie!... Patrzę, puścił sobie młynka, niby laseczką! Co tam! Zostań mówię! Jeden impetyk jest potrzebny!...

Pan Józef był nieporuszonym.

Nakoniec Floryan otrzymał upragnione papiery ze sztabu. Chwili czasu nie tracąc, pobiegł do Stadnickiego pożegnać się, aby nazajutrz, skoro świt, ruszyć z oddziałem do Francyi. Ku wielkiemu swojemu zdziwieniu zastał pana Józefa w mundurze, przy szabli. Stadnicki przywitał go głośnym okrzykiem:

— Jedziesz, Florek! Wiem! Doskonale, ja z tobą, psia mać!... Masz, czytaj... Dymisya gotowa! Koniec! Byle prędzej do kraju. Niech sobie inni w tej przeklętej kampanii stawają! Nie po sercu mi ta wojna!

Wracamy, niema o czem mówić!... Obaczysz, że swoją sądzoną ucapisz gdzie po drodze!...

— Dałby Bóg!

— Codzień bliżej będzie, jak dalej! Ale, Floryanie, nie widziałeś się z porucznikiem Niewodowskim?

— Niewodowskim?...

— Szukał cię przed chwilą. Uważasz, zapomniałeś... Hiszpanka... chce z tobą mówić!... Chce cię widzieć!...

Floryan zasępił się.

— Ani mi w głowie iść! Lepiej dla niej, aby mnie nie widziała!

— Może! — uciął sucho Stadnicki.

— Pewnie! Za wieleś nagadał przedtem, teraz języka ci nie stanie! Ba! Tylko z Niewodowskim niema żartów — dał słowo jej, że cię przyprowadzi.

— Drwisz sobie!...

— Ja? Tfy! Chcesz wiedzieć! Że gdyby palcem na mnie kiwnęła, w ogieńbym poszedł za nią! Ba! Nie mówiłem nic, a od tygodnia codzień wlekłem się do namiotu Niewodowskiego a ślepiami przewracałem... Gdzie! Ani spojrzała, co chwila tylko: „Floryano!“ „Floryanito!“ Masz szczęście! Do Stambułu się melduj i harem sobie funduj! Zakład wcale niezgorszy — dwa takie migdały nawet sułtańskiej mości, co niewiast ma, jak ulęgałek, jeszczeby do smaku przypadły!...

— Co jej powiem, co jej powiem!? — frasował się Floryan. — Żal mi dziewczęcia! Bez ojca, bez rodziny, zmarnieje...

— Boli cię — dopiekał Stadnicki — że się komu innemu dostanie? Bądź spokojnym, Niewodowskiemu aż się oczy śmieją! Cóż, kawaler szczery... Niechby tylko chciała! Niewodowski bałamucić nie będzie! Tfy! Nie lubię!... Mają chłopy szczęście... Słyszałeś, pułkownik Estko także sobie upatrzył jakąś donię i już się do księdza bierze!... Phi! Z tego ci ten morał wypadnie, iż z jednej legii zrobi się pięć! A pół kraju zaroi się od kudłatych łebków, dyabelskich ślepiąt!...

Stadnicki, wzburzony do żywego, chciał perorować jeszcze, gdy oto w baraku zjawił się Niewodowski.

— Masz ci go! Mówiłem! — zakończył pan Józef.

— Mości wachmistrzu! — odezwał się przybyły porucznik — przychodzę po ciebie...

Floryan szarpnął się.

— Wiem!... Ależ, poruczniku, zważ tylko! Czy nie lepiej byłoby uniknąć? Wspomnienia odżyją!

— Mówiłem! — odparł krótko Niewodowski — tłómaczyłem! Uparła się! Dałem słowo!

— Pogorszy to chorobę! Wzburzy!

— Trudno! Mości Gotartowski, ja pierwszy radbym przeszkodzić!... Idźmy!

Floryan poszedł niechętnie za Niewodowskim. Stadnicki ofiarował się z asystą.

— Uważasz, Florek, ty ostro! Krótko psia mać! Bez sentymentów! Żal pestki, ale niech cię sobie zbrzydzi!... Nie lubię wykrętów! Odczep się waćpanna, co było to było, teraz jest inaczej! Bisurmanem nie zostanę, hiszpanić się nie mogę, bo mi Zośka tęskni, czy jak tam, psia mać i... już!

W półmroku, na wysoko zasłanem łóżku, leżała Dolores. Na twarzy jej ciężkie cierpienia wyryły nieubłagane ślady, wyrzeźbiły delikatne jej rysy, starły rumieńce, przezroczystością w nią tchnęły. Tylko w zapadłych, ocienionych mocno oczodołach gorzały ognie, rzucały dookoła blaski, całe życie dziewczyny skupiły w sobie.

Floryan zbliżył się na palcach do łóżka chorej i ujął ją za rękę. Dolores drgnęła.

— Jesteś, jesteś, Floryanie! Jesteś przy mnie! — szepnęły rozpalone gorączką usta dziewczyny.

— Uspokój się! — mówił łagodnie Gotartowski.— Chciałaś mnie widzieć... przychodzę!... Szczerze cieszę się... że wracasz do sił, do zdrowia!...

— Dlaczegoś... nie przyszedł wcześniej... sam?

— Widzisz!... W chorobie nadewszystko spokój! Sam zresztą byłem cierpiącym! Nie wiedziałem, co się z tobą działo!

— Ile ja przeżyłam chwil okropnych! Zdało mi się, żeś już zginął... przepadł na wieki!... Boże!... Nie! Tyś mój! Prawda? Ty mnie już nie odstąpisz, nie opuścisz?... Będziesz moim seniorito, moim królem! Pójdę za tobą, pójdę, gdzie każesz... Twoja wola jest i moją! Floriano, powiedz!... Tyś mój, mój rico!

Dolores zarzuciła mu ręce na szyję i tuliła się do jego piersi.

Floryan przechodził męki, widok tego ufającego dziewczęcia napełniał go trwogą, smucił.

— Dolores! — rzekł po chwili. — Oby ci Bóg mocy użyczył!

— O, teraz jam silna... jam zdrowa!... Zobaczysz! Twoja obecność wraca mi życie!

— A gdybym musiał się oddalić?...

— Ty? Dokąd?...

— Żołnierzem jestem. Rozkaz...

— Pójdę z tobą!...

— Bacz na stan, w jakim się znajdujesz!

— Nie, drogi!... Ja z tobą!... Jabym nie przeniosła rozłąki! Ja muszę być przy tobie!

— Dziecko, dziecko! Niepodobna — czas wojenny, mnie pora!

Dolores rzuciła palące spojrzenie na Floryana i zagadnęła porywczo:

— Dokąd chcesz? Powiedz! Ty coś przedemną ukrywasz! Ja chcę, ja muszę wiedzieć całą prawdę!

— Wracać mi czas do swoich!

— Ja z tobą!

— Nie! Dolores, rozważ. Czas niespokojny. Mnie samemu ciężko będzie dać sobie radę! Na wojnę się zanosi z Austryą. Kto wie, co wypadnie! Ty do swoich, do Tarragony... tam wytchniesz, przyjdziesz do siebie. Do Tarragony! Wszak sama mówiłaś mi tyle razy o niej... Musimy się rozstać... teraz!...

Hiszpanka zalała się łzami.

— Jedyny mój, nie mów tak do mnie! Nie mogę! Ja nie przeżyję! Ty mnie nie opuścisz, nie zostawisz samej!...

Gotartowski zwrócił głowę ku stojącym w głębi porucznikom, jakby przyzywając ich pomocy.

— Tak, tak! — ozwał się głucho Niewodowski. — Jechać musi, powinien!...

— Musi, psia mać!

Dolores ukryła twarzyczkę w dłoniach.

— Nie — nie! On zostanie!... On nie opuści mnie...

— Powróci!

Dolores spojrzała z wyrzutem na Niewodowskiego.

— Tak mi życzysz poruczniku?...

— Właśnie dlatego, iż życzę dobrze, powiadam, iż musi oddalić się.

W oczach Hiszpanki zapaliły się iskry trwogi. Przyciągnęła Floryana ku sobie i rzekła ze drżeniem:

— Słuchaj! Ja muszę wiedzieć wszystko, wszystko!... Ty mnie nie kochasz, ty nie masz dla mnie serca... ty myślisz o tej... tej, która umarła!

— Nie umarła!... — rzucił porywczo Stadnicki.

Dolores osunęła się na poduszki. Przez chwilę słowa wymówić nie mogła, przesuwając po twarzy rękoma, jakby odpędzając jakieś mary straszne. W końcu ozwała się cicho, a głos jej zdawał się być szmerem złamanej brzozy:

— Rico mój! Wiem teraz, wiem! Musisz, bo ona na ciebie czeka! Do niej wlecze cię każda myśl, każde drgnienie serca!... Dla niej wszystko i przez nią!... Cóżem zawiniła, iż ona stanęła na mej drodze? Czemuś znalazł się przedemną, czemu oczy moje upiły się tobą? Boże! Dlaczego nie zginęłam lepiej?... Ocaliliście mi życie... na łzy, na rozpacz, na wieczną pustkę!

— Nie, Dolores, nie mów tak, nie bluźnij! Będziesz miała we mnie brata — w niej znajdziesz siostrę!...

— Nie mów mi o niej!... Nienawidzę jej! Ona wydarła ze mnie całe moje szczęście. Nie chcę twego

braterstwa! Gdybym była wiedziała wówczas... raczej zginęlibyśmy oboje!

Floryan chmurzył się a ręce cisnął. Dolores postrzegła jego wzburzenie, jakby pasowała się z goryczą, która ją szarpała.

— Floriano! Więc przeczucia mnie nie zawiodły? Chcesz do niej?...

— Pytasz się? Nie powiadałem ci tyle razy? Nie mówiłem prawdy?... Ukrywałem przed tobą miłość?...

— Mówiłeś, że nie żyje!

— Bom ją sądził być umarłą! Aż oto tu, pod murami Saragossy... stanęła przedemną... I na moje nieszczęście zobaczyła mnie obok ciebie. I odeszła! Odeszła ze zranionem sercem...

— Taka rana zażywie prędko!... To nie wieczność!... Ja nie mam prawa do ciebie!... Idź w pokoju... a czasem wspomnij dobrem słowem!...

Dolores zbladła i utkwiła mgłą zaszłe oczy w rogu baraku.

— To właśnie rozumiem, carramba! — huknął ostro Stadnicki. — Cóż to, do stu par dyabłów jeden taki Florek na świecie! Tego smakołyku, psia mać, nie brak!... A co u nas takich zuchów choć na kopy mierz! Tfy! Bodajże! Niech sobie hajda!... A co seniorita, pluń sobie, byle szczerze!... I... i... tego... nie lubię, psia mać!...

Stadnicki spojrzał na twarzyczkę Hiszpanki i żałość go chwyciła.

— Migdał taki!... Tfy — carramba — za nią bodaj mendel naszych spódniczekbym oddał!...

— Dolores — nie miej żalu!... Daruj, choć Bóg świadkiem — nie zawiniłem!... Z pamięci mi nie zejdziesz!... Masz we mnie przyjaciela i brata!...

Hiszpanka główką trzęsła — wargi jej drżały. Floryan podniósł się. Dolores chciała coś powiedzieć, lecz głosu dobyć nie mogła.

— Żegnaj! Nigdy nie zapomnę dobra, któreś mi świadczyła!...

— Floriano! Rico! Weź mnie ze sobą, zabierz! Niczego nie chcę!... Niczego... Niech chociaż wolno mi

będzie oddychać twojem szczęściem, twoim widokiem!...

— Nie, Dolores, niepodobna!... Polecę cię kolegom! Możesz polegać na ich honorze!...

Gotartowski uścisnął nerwowo rekę Hiszpanki i wybiegł z baraku.

Dolores porwała się z posłania i chciała biedz za Floryanem, lecz Niewodowski ją zatrzymał przemocą.

Stadnicki, widząc łamanie się, pasowanie i rozpacz dziewczyny, wpadł we wściekłość.

— Psia mać! Nie daruję! Bierz dyabli! Nie lubię!... Krew muszę zobaczyć! Carramba! Licho mnie skusiło za szlufami się u was uganiać! Ja mu pokażę! Ja go nauczę!

— Co waćpan! Pomóż mi raczej! — upominał Niewodowski.

Stadnicki rzucił ramionami.

— Ja? Bałbym się tknąć tego stworzenia, aby go nie skrzywdzić. Poraj się sam! A ja się z tym rozprawię! Ho — ho! Moja rzecz!...

— Awanturę chcesz uczynić?...

— No, to się pokaże!

Stadnicki podciągnął temblak pałasza i ruszył z baraku za Floryanem.

Gotartowski szedł zamyślony ku namiotom sztabowym, gdy dogonił go pan Józef.

— Mości Gotartowski — rzekł uroczyście — proszę na stronę!...

Floryan spojrzał ze zdziwieniem na Stadnickiego.

— Dokąd? Po co?

— To się pokaże!

— Ależ czasu mało!

— Będę cię miał za trutnia, jeżeli nie pójdziesz!

— Co tobie?

— Chodź, mówię, psia mać, bo cię zadławię!

— Lecz...

— Chodź na porachunek, do stu par dyabłów! Tchórz cię oblatuje?

— Jak ci się podoba! Idźmy...

Stadnicki zawrócił ku Monte Torrero. Po małej chwili Floryan zagadnął spokojnie pana Józefa:

— Tedy czegóż chcesz?

— To się zaraz pokaże!

— Nie mam ochoty do żartów!

— Ani ja!

— Więc wracajmy!

— Później! Teraz chodź!

— Józefie!...

— Całuj psa w nos! Zobaczysz, gdzie raki zimują, bratku! Ty sobie, a ona tego... psia mać! Tfy! Pośpieszajmy!

— Pośpieszajmy — rzucił oschle Floryan.

Stadnicki prowadził szybko. Za Monte Torrero, minąwszy linię placówek, zatrzymał się nagle i zwrócił się do Floryana:

— No, tu masz pólko jakby znalazł!

— Do czego?

— Pytasz się? Stawaj!

Pan Józef wyciągnął gwałtownie pałasz i zmierzył groźnie Floryana.

— Stawaj, powiadam!...

— Chcesz się bić?

— Stawaj, psia mać!...

— O co? Dlaczego?

— Carramba! Boś... szczygieł, zimorodek, męczyfartuszek!... Nicpotem...

— Mości Stadnicki!...

— Stawaj, do pioruna! Ja ci pokażę! Ja cię nauczę rozumu! Będziesz mi dziewczyny uwodził, balamucił... Jeszcze takie!...

Floryan, mimo wzburzenia, pohamował się jeszcze i rzucił przez zęby:

— Józefie — zastanów się!... Chcesz doprowadzić do krwi...

— A cóżeś myślał, bazyliszku?... Dosyć mitręgi. Chodzi ci o twą juszkę?... No!... Bo... opłazuję!...

Gotartowski zaciął zęby i porwał się do pałasza.

Przeciwnicy starli się z impetem. Stadnicki z furyą zadawał cięcia — Floryan stał spokojny, choć nachmurzony i odpierał razy.

— Broń się! — syczał pan Józef.

— Zważaj na siebie!

— Płatnę do pioruna!...

— Próbuj!

Stadnicki jeszcze z większą zajadłością wpadł na Floryana. Gotartowski odbijał flegmatycznie ostrze pałasza. Pana Józefa ten chłód przeciwnika zapalił.

— Słuchaj, ty! — wołał zapalczywie — żarciki sobie ze mnie stroisz? Chcesz mi tu wspaniałego udawać? Ty, ty uwodzicielu, lisie stary! Miodu ci się chciało? Poczekaj!... Dwie sroczki za ogon trzymałeś — no, przyjdzie na ciebie! Czeka cię u Dziewanowskiej siurpryza!

— Milcz!

— Boli cię! Cha — psia mać! Myślisz, że tu w legii kawalerya jest z papki? Że tak niby lada sianem dała się wykręcić dziewczynie!...

— Milcz — powtarzam!

— Nie obchodzi cię to? — drażnił Stadnicki. — Jużeś zobojętniał?... Masz nową ofiarę upatrzoną! Hm, pewnie! Jużci tam u Dziewanowskiej niema co robić!... A nieszpetna była... szel...

— Trutniu! — ryknął Floryan.

— Właśnie znalazł się taki jeden, co umiał zdmuchnąć ci...

Stadnicki nie dokończył, gdyż Floryan rzucił się z wściekłością na pana Józefa i, podbiwszy jego pałasz, ciął go gwałtownie po ramieniu.

Krew strumieniem trysnęła z ręki pana Józefa.

Gotartowski odrzucił broń z odrazą. Stadnicki wsparł się ręką na pałaszu i dyszał ciężko.

— Uf! A no, przecież... a no, przecież! — powtarzał z ulgą.

Floryan mierzył go groźnie.

— Mości Stadnicki! Przyślę waćpanu cyrulika! Teraz odchodzę! A jak cię szał ominie, to zapamiętaj sobie, że między nami skończone wszystko!...

Pan Józef szarpnął się nagle.

— Floryanie! — mruknął. — Cóżeś ty, psia mać!?...

— Miałem cię...

— No, już skończone, carramba!

— Masz słuszność!

Gotartowski zawrócił ku obozowi...

Stadnicki oburzył się.

— Do czarta, porzucasz mnie?

— Rana lekka. Dasz sobie radę z nią!

— No, ale czekajże do licha... Przecież razem ruszamy w drogę!

— Nasze drogi rozeszły się dzisiaj na zawsze!

— Florek!... Co, co? Cóż to znów za historye...

— Po tem zajściu!...

— Oo!... Już sobie upatrzył! Widzisz — tu Stadnicki głos zniżył. — Daruj! Ja nie wiem! Tyś setny towarzysz — ale ja nie mogłem znieść! Ta dziewczyna rozpaliła mi krew w żyłach! O, już mi ulżyło!... Florek, musiałem! Inaczejby mnie zalało! Dobrowolniebyś nie chciał, więc użyłem fortelu!... Krzywdy twojej nie chciałem, jeno potrzeba mi było krwi upuszczenia! Florek daruj...

Gotartowski spojrzał ze zdumieniem na rozpogodzoną smętnie twarz Stadnickiego.

— Tyś chory! Nie wiesz, co mówisz!...

Pan Józef westchnął ciężko i wsparł się na ramieniu Floryana.

— Tak, tak! — szepnął głucho. — Jam chory, chory bardzo! Rozgorzało coś we mnie!... Cóż ja — niezdarzony! Gdzie mi do niej... A ona duszę mi wypatrzyła! Czarnucha taka!... Przebacz złe słowo!...

— Więc ty, Józefie...

— Co ja? Nic, nic, psia mać! Uf!... Patrz, wycieknie ze mnie, wycieknie!... Widzisz, jaka spieczona krew!

— Dzieciaku stary! — upominał Floryan. — Chodź czemprędzej. Składałeś się ze mną, jak żak! Nie sięgnąłbym cię nigdy, lecz dojadłeś! Żelezce skręciło się samo w ręku.

— Bóg ci zapłać! Oo! Głupia natura! Taki migdał, jak mi zaczął zawodzić!... Carramba! Nie mówmy o tem! Teraz byle stąd dalej, byle prędzej!...

— Józefie! Przecież kto, wie? Ona jest wolną! Może...

— Florek, co ty pleciesz? Nie słyszałeś że jej? Zdaje ci się, że teraz!... Nie mów psia mać! Lżej mi trochę! Idźmy, idźmy prędzej!... Tam jest zresztą Niewodowski! A taki fircyk pewnie prędzej da sobie radę, niż... tam taki... tfy! Już się Kapucynom nie wywinę! Jedyna ufność, że przecież kulę swoją znajdę!

Gotartowski ze Stadnickim powlekli się do obozu. Tam pan Józef dał sobie opatrzyć cięcie i wraz z Floryanem poszedł żegnać się z kolegami a sztabem.

Legia z żalem rozstawała się ze Stadnickim. Pułkownik Kąsinowski wręczył mu chlubnie napisany stan służby. Gros-major tylko milczał, trzaskał tabakierką i fyrkał groźnie nosem.

Kolumna niewolników hiszpańskich, z którą iść mieli Stadnicki z Floryanem, ruszyła na noc pod osłoną półbatalionu szaserów. Marszałek Lannes zapowiedział przegląd kolumny. Oficer, dowodzący pochodem, ustawił oddział na polu pod Porta del Carmen.

W kolumnie grobowa panowała cisza. Niekiedy stęk ciężki rozległ się wśród ciżby niewolników, czasem szept modlitwy zakłócił ciszę. Hiszpanie stali stłoczeni, zbici w masę, skuci jedną ponurą dolą, jedną grozą strasznego jutra.

Żołnierze, straż trzymający, niemniej byli milczący. Pod kaszkietami ściągały się brwi, w surowym kurczu wykrzywiały się twarze, a mimo to z ócz szedł smutek, a mimo to w źrenicach tlały skry współ-

czucia. Strażowanie bezbronnych nie przypadało do smaku szaserom.

Na lewem skrzydle, kędy stała gromadka inwalidów a uwolnionych ze służby oficerów, panowało bodaj największe rozgoryczenie.

Stadnicki języka na wodzy utrzymać nie mógł, aż Floryan go musiał mitygować.

— Panie Józefie! — mówił — zastanówcie się. Toć prawa wojenne...

— Tfy, z takiem prawem!... Ładny powrót! Nie lubię, psia mać! Piękna wojna! Cóż oni z tem biedactwem zrobią! Toć do skrobania kartofli im się nawet nie zdadzą! Patrzże sam!

— Toć wiem lepiej! Cha! Nam słuchać... Rozkaz! Byle prędzej stąd! Byle już się wyrwać! Wierzajcie mi — nie pierwszy raz prochu zażyłem — ale co takiego zwycięstwa jeszczem nie oglądał!...

— Strach! Strach się obejrzeć! Licho wie, kto tu wygrał i co?...

— Cicho, cicho, panie Józefie! Patrz, marszałek nadjeżdża.

Lannes, z chmurą na swem jasnem czole, zatoczył kołem przed kolumną, wysłuchał raportu dowodzącego oddziałem i zwrócił się ku miejscu, gdzie na prawem skrzydle pośród gromadki inwalidów a uwolnionych ze służby, stali Stadnicki i Floryan.

Tu dopiero twarz marszałka rozpogodziła się. Zmierzył z zadowoleniem olbrzymią postać Stadnickiego i ozwał się łaskawie:

— Wracasz, poruczniku, dla nadwyrężonego zdrowia?

— Nie ekscelencyo!

Lannes spojrzał ze zdziwieniem na jadącego tuż przy nim generała Chłopickiego.

— A więc na urlop!...

— Uwolniony ze służby, ekscelencyo! — objaśnił Chłopicki.

Marszałek skrzywił się.

— Szkoda! Widzę, żeś krzyża się dosłużył! Nie uśmiechają ci się awanse? Tęsknisz do swoich?

— Nie, ekscelencyo!...

— Więc podałeś się do dymisyi?

— Bo... bo... z tymi Hiszpanami już nie mogę!...

Generał Chłopicki, chcąc zatrzeć wrażenie dziwnie śmiałej odpowiedzi, pośpieszył objaśnić Lannesa, że Stadnicki służył w szwoleżerach i że jest tak przywiązanym do dawnej swej broni, iż niewątpliwie zamyśla znów zaciągnąć się do kawaleryi.

Marszałek atoli, jakby uwagi nie zwrócił na słowa Chłopickiego i rzekł oschle:

— Nie podoba ci się wojna?

— Nie, ekscelencyo! Tylko... brak mi do niej serca... Z babami nie potrafię... A, ekscelencyo, do tych Hiszpanów inwidyi nie czuję!... Bo... bo... to bitny naród!...

Lannes zamyślił się. Po chwili położył rękę na ramieniu pana Józefa.

— Nazywasz się?...

— Stadnicki!

— Jeżelibyś chciał zaciągnąć się znów do armii, zgłoś się do mnie!...

Marszałek wsiadł na konia i odjechał. Około Stadnickiego ruch się zrobił. Oficerowie otoczyli go i ściskali za ręce. Nawet sztabowcy śpieszyli pieczęć przyłożyć na względności wodza.

— Śmiały! Marszałek takich lubi! Dobrze powiedział! Ryzykant! — odezwały się głosy pojedyncze.

Stadnicki zaś, odzyskawszy w jednej chwili całą pewność siebie, huknął zapalczywie:

— Carramba! Zdawało się wam, że będę w bawełnę obwijał!? Hańba! Póty gębę trzymałem na wodzy, póki za pazuchą nie miałem dymisyi! A teraz co!? Tfy! To jest wojna? Z kim? O co? Jadę panowie, bom żołnierz, a nie rabuś ani oprawca! Tu zaś pono trzeba już nie żwawych do karabina, lecz sprawnych do stryczków!... Nie lubię! Niby sami dla siebie chcemy Bóg wie czego... a tu carramba...

— Kochanku! — przerwał gwałtownie major Michałowski. — Co ty wygadujesz!?... A milczenie, posłuszeństwo, szacunek, mores... choroba!... A urwisie!

Bunty, rokosze, warcholstwo kawalerowi w głowie!... A na odwach wezmę!... Pod sąd!...

— Panie majorze! Już ci sygnał dają... już mnie licho niesie! Już nie będzie komu o niezadowolenie pana majora przyprawiać, do gniewu okazyi dawać.

Major żachnął się niecierpliwie i poprawił energicznie pasa na brzuchu.

— Kochanku! Nie wypominaj! Ja wiem. To nie ty! Tylko ten twój kamrat, z którym na utrapienie moje zwąchałeś się aż tutaj!

— Majorze — wtrącił Floryan. — Nie wpływałem....

— No, no! Ja was znam!... A cóż to acan tę szkapę chcesz ze sobą prowadzić! Nie lepiej zostawić ją na pieczyste?

— Majorze! Z jednej on wioski ze mną!... Jak pies przywiązany! Porzucić mi go nie wolno! Kawalerzysta...

— Trafiłeś kochanku! Kawalerzysta! Chcesz mnie w oczy kłuć swoją kawaleryą! Thy! Już się znalazł! Kawalerya, kochanku...

— To psia mać... kitki, brzękadełka, pasiki... choroba!... — dokończył pośpiesznie Stadnicki.

— A... a... ty skąd wiesz o tem!? — zagadnął ze zdumieniem major.

— Przecież to każdy legionista potrafi...

— Dobrze kochanku! — mruczał skonfundowany major. — No, kawalerze, bądź tego!... Dawajcie garście! Kochanku, jeden z drugim... niby a niby!... Służba, to służba! A jeżeli... Widzicie, grają!... Bywajcie! Komu do dom, a komu do obozu!... Czekaj kochanku, jakżeś to ty zakrzyknął: — „Szwoleżerzy właśnie!“ Niech cię uściskam! Stadnisiu, pamiętaj — piechota! Widzisz, już i tak konia we wnętrzu masz!... Weź rozbrat! I tego... bo to grunt... to jest wojsko!...

Michałowski chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz trąbki zagrały długo, przeciągle — kolumna ruszyła z miejsca. Żołnierze i oficerowie żegnali odcho-

dzących towarzyszów. Powstał rozgwar hałaśliwy i bezładny.

Major ściskał pana Józefa, pożegnał życzliwie Floryana i nagle ze wzburzeniem zawrócił ku swemu namiotowi, mając za sobą Bzurę, który był dnia tego na ordynansie.

W drodze major zatrzymał się nagle i zagadnął ostro Bzurę:

— A co, widać ich jeszcze?!

— Widać!

— To dobrze, kochanku...

Po ujściu kilkunastu kroków, Michałowski po raz drugi przystanął.

— Poruczniku, obejrzyj się! Widać ich?...

— Słabo, ale widać!...

— To dobrze!

Gdy byli pod murami Saragossy — major zagadnął po raz trzeci:

— Widać ich, kochanku?

— Nie, majorze! — odrzekł ze smutkiem Bzura.

Major odsapnął ciężko.

— At, nie może być!...

Michałowski odwrócił się, rzucił bystrym wzrokiem w dal, lecz w miejscu, gdzie stała kolumna pochodowa, już mgły słać się zaczęły. Major szarpnął z alteracyą pasa.

— Niema ich!... Niema!... — mówił cicho. — Tego dryblasa mi szkoda! Co to za dusza! Co za serce!...

— Gdyby jeszcze, panie majorze, nie miał tych zapałów kawaleryjskich! — wtrącił z przekąsem Bzura.

— Głupiś, kochanku! — przerwał surowo major Michałowski. — Jednego miałem dzielnego oficera piechoty, a był nim choroba szwoleżer!...

Kolumna tymczasem posuwała się w głuchem milczeniu, rozpływała w szarzyźnie horyzontów i nikła poza wzgórzami. A w kolumnie tej szedł za Pireneje tryumf — tryumf nędzy tysiąca niewolników, tryumf nieszczęścia ludzkiego. Te twarze skamieniałe w bólu, te szkielety, słaniające się ledwie, miały ucieszyć Francyę! A równocześnie strachem przejąć Hiszpanów i wytrącić im oręż z ręki.

Niedołężne to były rachuby, zawodne wróżby, nieświadomość duszy narodu hiszpańskiego wielka.

To, co miało być uśmierzeniem, to co miało chęć oporu w lęku roztopić, to właśnie krzepiło, dodawało sił, umacniało, stawało się zarzewiem. Serca stygły, zaciskały się pięście, śmierć była życiem.

Z gruzów i mogił saragoskich wiały hasła bohaterskie ku zakątkom półwyspu i wołały gromko:

— Tak gińcie, niechaj tak zczezają sioła i miasta!

Ponad szczątkami stolicy Arragonu zabrzmiała pieśń rozpaczy, zapamiętania. Saragossa była pobudką, przykładem, wzorem.

Saragossa siempre heroica — wzburzyła nawet tych, którzy w sielskiem zaciszu godzili się na rządy brata cesarskiego — sięgnęła tam, kędy Burbonów wymazano już z serc, kędy gwiazdy a łaski Bonapartych się rozsiadły.

Saragossa siempre heroica — padała tak hardo, tak dumnie, że poddanie się jej było zwycięstwem, ile że dźwignęło tysiące ociężałych, obojętnych zapaliło, słabych przejęło tężyzną.

Saragossa siempre heroica — za jęki swe, za poświęcenie, za tysiące poległych, za zburzone kościoły, z ziemią zrównane mury, za morze krwi stała się ukochaniem, stała się tem, co po wieczne czasy przetrwa, co w prapokoleniu odzywać się będzie.

Saragossa siempre heroica — zawołanie to narodziło się z najświętszych uczuć, zawołanie to poczęło się z kwilenia niemowląt, ze skarg matek, ze wzniesionych ku Niebu rąk starczych; zawołanie to stało się tak potężnem, tak gromowem, że na dźwięk jego, jakby ze wzgórz saragoskich a kurhanów, wyszli z mogił wierni synowie Arragonu i stanęli znów w szeregach...

Gdy do głównej kwatery dopadł goniec z wieścią o upadku krnąbrnego miasta, powiedziano tam:

— „Koniec oporu hiszpańskiego!"

Przeznaczenie rzekło: „Początek!"

II.

Dnia pierwszego stycznia 1809 roku kwatera cesarska była jeszcze w Astorga, a dwudziestego tegoż miesiąca Napoleon już stanął w Paryżu — pozostawiając marszałkom uśmierzenie ostateczne Iberyi. Sam zaś zwrócił się ku wrogom, którzy, korzystając z jego oddalenia, gotowali mu zgubę.

Ukazanie się Napoleona przeraziło spiskowych, rozpłaszczyło ich u stóp orła. Praca ciemności w promieniach bonapartowego słońca skonała, znikła. Lecz nie dla niej tylko cesarz zasiadł na tronie.

Oto ze wschodu nadciągały znów chmury. Anglia nie dała mu nigdy zaznać pełni tryumfu.

Nie dość jej było wspierać Hiszpanów, nie dość Portugalczyków zbroić, flotą brzegi Iberyi obstawiać— oto udało się jej w państwie Habsburgów obudzić chęć odwetu, udało się jej do Prus trafić i do podeptania tylżyckiego traktatu namawiać.

Austrya podniosła głowę. Cała monarchia drżała już szczękiem oręża i pomrukiem nadciągającej burzy.

Prusy chwiały się. Jena i Auerstaedt były zbyt bliskiemi. Nadto, cesarz Aleksander nie chciał gwałcić przymierza z Francyą i obojętnie przyjmował pruskie podszepty, które każdą umowę, każde zaręczenie swoje uważały za chwilowy wypoczynek.

Nad brzegami Dunaju i Wisły już gruchnęły słuchy. Chmury ołowiane, ogniste, które tak daleko poszybowały, jakby odbiły się tylko o Somo-Sierrę i wracały brzemienne jeszcze większą zajadłością.

Napoleon nie chciał wojny. Wolałby w złotoblaskim pokoju rozejrzeć się w zdobyczach, a zażyć pełni majestatu cesarskiego. Atoli Austrya, zadufana w potężną swoją armię, nakłaniana przez Anglię, a zachęcana przez Prusy — skradać się zaczęła ku Bawaryi, granicom Księstwa Warszawskiego, Tyrolu i Włoch.

Arcyksiążę Karol objął naczelne dowództwo nad armią austryacką, sięgającą pół miliona żołnierzy — i zanim gabinet francuski zdołał w nocie dyplomatycznej zażądać wytłómaczenia tych nagłych ruchów— on już złamał granicę.

Wojna zaczęła się bez wypowiedzenia, bez pogróżek, bez żądań.

To zachowanie się Austryi nie było niespodzianką, bo mimo traktaty, pozorne zgody a przymierza, wojna trwała wciąż! Ci Napoleonowi strzymywali warunków, którym nie stawało sił na opór. Wierność ich bywała bezsilnością!

Wódz austryacki długo gotował się do skoku, czaił się, aż, rozstawiwszy swoje korpusy, rzucił nimi.

Austryacy równocześnie prawie ukazali się na całej linii granic, uznanych za wrogie Habsburgom i rozpoczęli nie jedną, lecz cztery wojny. Włochy, Tyrol, Księstwo, Bawarya już zaroiły się od białych mundurów, a starczyło ich jeszcze na korpus wymierzony wprost przeciw Bonapartemu.

Napoleon na pierwszą wieść o wkroczeniu Austryaków do Bawaryi, porwał się z Paryża, a postrzegłszy rozproszenie swoich korpusów, jął je skupiać, zgromadzać, śląc rozkazy Eugeniuszowi Beauharnais, a wzywając do swego boku Lannesa.

Oudinot rozpoczął kampanię bitwą pod Plaffenhofen, Davoust starł się pod Thau — aż pod Abensbergiem przewodził dopiero Bonaparte. Krótka była walka. Wirtemberg z Bawaryą szły za orłem na śmierć. Generał Vandome prowadził. Korpus arcyksięcia Ludwika austryackiego został zniszczonym.

To było pierwsze słowo Napoleona. Czego nie zrobił Abensberg — tego dokonał Landshuten.

Lecz nie tu był opór Austryi.

Niepowodzenie nie zmieszało arcyksięcia Karola, nie strwożyło go, nie ustraszyła nawet porażka pod Eckmühl.

Wódz austryacki stawił się śmiało Bonapartemu pod Ratysboną, świecąc przykładem męstwa.

Lecz daremnymi były wysiłki Austryaków, próżnymi talenty dowódcy. Żołnierz napoleoński parł z szaloną odwagą, w spojrzeniu Napoleona, w głosie, w każdym ruchu czerpiąc niespożyte męstwo.

Cesarz był im słońcem — Lannes gwiazdą. Lannes pod Ratysboną był nie marszałkiem, nie generałem, lecz żołnierzem. Z karabinem w ręku prowadził bataliony pod ziejącą z murów miasta bateryę nieprzyjacielską. Żołnierze rzucili się na mury — wdarli się na nie i wpadli do miasta. Dnia dwudziestego trzeciego kwietnia Ratysbona była zdobytą.

Napoleon szedł dalej...

Wojna tymczasem rozpalała się — ze wszech stron gotowała zgubę orłom cesarskim. Na szczytach Tyrolu wśród nocy gorzały ognie: to Andrzej Hofer wzywał swych współbraci do wypędzenia Bawarczyków, do walki śmiertelnej za koronę Habsburgów. Z gór i z dolin gromady włościan spłynęły na Innsbruck i w pień wycięły bawarską załogę. Powstanie, wsparte przez korpus austryacki Chatelera, rozlało się aż po Piemont i zagroziło Medyolanowi. Marszałek Lefebvre śpieszył na opanowanie Innsbrucku, na pokaranie Tyrolu.

Równocześnie atoli w północnych Niemczech podniósł głowę Tugendbund, który poza plecami króla pruskiego oddawna knuł odwet Francuzom.

Żołnierze związku, mając na czele Dürnberga, wkroczyli do Westfalii. Król Hieronim musiał odstąpić od planów wojennych, wyznaczonych mu przez Napoleona i porać się ze zbrojnymi oddziałami Bundu.

Na Wschodzie znów arcyksiążę Ferdynand wiódł trzydziestopięciotysięczny korpus wprost ku granicom Księstwa Warszawskiego.

Wojna przybierała coraz groźniejsze rozmiary, coraz szersze zataczała koliska. Salwy armatnie rozlegały się pod Pfaffenhoffen, Abensberg, Landshuten, Eckmühl, Ratysboną — znajdując ponure echa pod Raszynem, Górą i Sandomierzem — szukając odgłosu pod bramami Magdeburga — a może najdzielniejszy wtór mając w wąwozach tyrolskich. A przecież jeszcze i za Pirenejami walka nie ucichła. Tam Anglia, zachęcona przez Austryę, słała posiłki — tam Hiszpanie coraz zaciętszy stawiali opór. Europa, która przed rokiem korzyła się u stóp Bonapartego, po raz trzeci targać chciała nałożone pęta, po raz trzeci porywała się na obalenie tego, co ją ujarzmił, co pod stopy swe podesłał. Pękały wątłe nici traktatów i zaręczeń!

Nikt nie sądził się być zniewolonym do strzymywania przymierza. Gdy je zawierano, gdy z poddaniem przyjmowano nawet uwłaczające dumie narodowej warunki — już myślano o nowym na Bonapartego zamachu. Jeden podobno Napoleon ufał konwencyom, pilnie strzegł zobowiązań i austryackich i pruskich, a po każdem zwycięstwie łudził się, iż zazna długich lat pokoju.

Złowroga głowa hydry zemsty, odwetu za Marengo, za Austerlitz, za system kontynentalny, za uszczuplone granice — odrosła. Lecz Bonaparte jeszcze nie zadrżał. Podniósł głowę dumnie i szedł sam na czele armii liczebnie mniejszej, lecz silnej geniuszem wodza. Atoli geniusz nie wszystko mógł ogarnąć, nie wszędzie sięgał.

Może najmniej tam, kędy słabe dziecię tylżyckiego traktatu tuliło się do brzegów Wisły, kędy wątłe Księstwo Warszawskie, wycieńczone wymarszem, co dzielniejszego żołnierza pod mury Saragossy a na płaskowzgórza Arragonu i Kastylii — ledwie, że stroiło się w pajęcze sieci ładu wewnętrznego, ledwie, że

nowozaciężnego żołnierza zdołało na pułki podzielić a w mundury opatrzyć.

Arcyksiążę Ferdynand zjawił się jak duch nad brzegiem Pilicy — przeprawił się i sunął pod mury Warszawy. Książę Józef dzielny stawił opór na polach Raszyna, lecz przemagającej sile ustąpić musiał. Warszawę zajęli Austryacy. A wojska Księstwa Warszawskiego, podzielone na trzy korpusy, rozpierzchły się w trzy różne strony — wkraczając z kolei w granice tak zwanej Galicyi zachodniej i wschodniej.

Wódz austryacki łudził się, iż szumnymi manifestami a odezwami zdoła ludność Księstwa skłonić do zdrady, do odstąpienia Napoleona. Udawał więc łaskawość, wzywał obywateli na obrady i rozrzucał wspaniałomyślne deklaracye. Ludność Księstwa była nieporuszoną — jeżeli dawała posłuch, to tylko pobudkom korpusu Poniatowskiego, Dąbrowskiego i Zajączka.

Arcyksiążę Ferdynand nietylko w Księstwie nie znalazł sojuszników, lecz nawet w granicach monarchii austryackiej, tuż za swojemi plecami, tracił punkt oparcia. Okolice Radomia, Kielc, Sandomierza i Lublina wrzały. Wzburzenie sięgało już po Kraków, Lwów, Tarnopol i Zaleszczyki. Spokojne dotąd ziemie wypowiadały posłuszeństwo Habsburgom i szły za orłami napoleońskimi. Siły były nierówne. Austryacy nietylko liczbą przewyższali, lecz i sprawnością żołnierza. Nadto w ich ręku były warownie i obronne miejsca, oni mieli i magazyny zasobne i artyleryę mocniejszą. Wojska Księstwa Warszawskiego spodziewały się pomocy cesarza Aleksandra, podówczas sprzymierzeńca Bonapartego — zawierucha jednak, która szaleć zaczęła w środku Europy, mogła tę pomoc udaremnić lub spóźnić. Trzeba było na własne tylko siły liczyć.

Książę Józef, porzuciwszy Warszawę, stoczył bitwę pod Górą i ruszył do Lublina — nietyle Austryaków szukać, ile nowozaciężnych. Na linii pochodu tymczasem wrzały potyczki i mniejsze rozprawy — z dość pomyślnym dla wojsk Księstwa skutkiem.

Odprawiwszy wjazd do Lublina i imieniem cesarza Francuzów wezwawszy go do przysięgi na wierność — Poniatowski skierował się do Janowa, mając po prawej stronie mocno obwarowany Sandomierz, po lewej zaś niezdobyte mury Zamościa.

Poniatowski postanowił obiedwie warownie wydrzeć Austryakom. Sokolnicki i Rożniecki otrzymali już rozkaz uderzenia na Sandomierz. Lecz co do Zamościa, jeszcze Poniatowski zdecydować się nie mógł, jeszcze ważył, jeszcze się namyślał, jeszcze obawiał się, żeby o potężne mury warowni nie rozbiła się otucha żołnierza, zapał, a może i jego własna sława.

Zamość był fortecą nielada. W szesnastym wieku pobudowany przez Jana Zamoyskiego, a przez dwa następne stulecia obsiadły w posadach, umacniany nasypami, pancerzony poszyciem mięsistych murów, opasywany liniami rowów i fos — mógł dzielnie się bronić, mógł szturm wytrzymać — nawet i odeprzeć. Miał bowiem i żywności i amunicyi poddostatkiem, i trzy tysiące dobrze wyćwiczonej załogi, i doświadczonego pułkownika — dowódcę Pulszkego.

Nadto Zamość rozsiadł się na pozycyi obronnej, do przebycia ciężkiej, ruchy wojsk udaremniającej. Głębokie przepastne bagna otulały warownię, wartkie strugi przeszywały okoliczną płaszczyznę. Wieprz tu rozpoczynał toczyć swą krętą wstęgę. A chociaż od stron Lwowa i Lublina grunta wyniesione przedstawiały niejaki do fortecy dostęp, atoli tam znowu sztuka inżynierska zryła je i pokrajała.

Tam za podniesieniem szluz i zawór jawił się zalew i obejmował Zamość pierścieniem wód...

Cichy, majowy wieczór spłynął ponad lustrzaną taflą Świtezi i szedł od Zabuża na San, kołysząc do snu rozległe, chełmskie równiny. Ziemia oddychała wiewem zefirów, niosących aromaty pól, zbierających z krzaków czeremchy nektary, a z głogów różane całunki. Wybujałe trawy a o kiściach marzące zboża perliły się już łzami rosy. Na skraju nieba płomienne smugi znaczyły łoże słoneczne, na firmamencie, z szafiru niebios utkanym, noc srebrne dziergała hafty.

Na drodze, wiodącej z Janowa do Zamościa, panowała głucha cisza. Nawet rozciągnięte nad drogą chaty wieśniacze milczały spowite cieniami. Naokół nigdzie ani kmiecia, ani baby, ani piosnki, idącej z pól, ani odezwu z obórek lub stajni. Nawet wiejskich kundysów słychać nie było.

Dzień ledwie minął, jak tą drogą właśnie generał Kamiński mknął na czele pięciu szwadronów jazdy, witany niskimi pokłonami, prowadzony znakami krzyża, ścigany trwożnemi spojrzeniami.

Generał Kamiński ciągnął pod Zamość, aby pierwsze łańcuchy placówek zarzucić, a niespuszczone jeszcze szluzy opanować. Ukazanie się oddziału kawaleryi trwogą przejęło lud osiadły i wypłoszyło go z pod strzech. Kto żyw zabierał dobytek i ciągnął w przeciwną stronę, nie przeczuwając, że niebawem i Sandomierz, i Przeworsk, i Trześnię obejmie pożoga wojenna, że piędź ziemi nie zostanie, którejby nie tknęła stopa żołnierza, że zniszczeją zasiewy, a praca dziesiątków lat pójdzie na pastwę płomieni.

Lud galicyjski uciekał. Ssany przez mandataryuszów, gangrenowany przez fiskusów, stracił wiarę w panów, w szlachtę, w przywileje, sobie samemu nawet nie ufał. W nadciągającej wojnie czuł tylko klęskę — nienawidził zarówno pandurów węgierskich jak i ułanów Księstwa. Każde zwycięstwo czy pogrom jeden dlań sprowadzać się zdawało skutek — ucisk. Kmieć galicyjski przegrywał ciągle — od lat. Nie dziw więc, że gdy na drodze od Janowa dojrzał żółte rabaty, a uszu jego doszedł furkot ułańskich chorągiewek — zadrżał. W głowie mu nie było pytać, kto zacz są ci, którzy ku Zamościowi dążą.

Ledwie ostatnie odgłosy kopyt jazdy Kamińskiego ścichły — już wsie wytaczały wozy a bryki, ładowały chudobę i bocznemi drogami uciekały — byle dalej. Za ludem szedł groźny pomruk — „wojna!“ Co przezorniejsze dwory i dworki całymi taborami ruszały w stronę Lwowa i Krakowa.

Była północ. Księżyc już większą część swej niebieskiej drogi przepłynął i ledwie rąbkiem z poza

lasu poglądał na falisto idący gościniec, spozierając ciekawie, iżali kogo nie postrzeże. Raz i drugi zerknął badawczo, przeciągle i zasunął się za mur sosen a wystrzelistych świerków.

W tejże samej chwili na skraju drogi ukazał się chłopski wózek i z wesołym brzękiem jął toczyć się z góry wprost ku czerniejącemu na skraju drogi Szczebrzeszynowi.

W wózku dwie przytulone do siebie kobiety prowadziły dość ożywioną rozmowę. Szczególniej jedna z nich, popędzająca małego chłopskiego konika, rozprawiała zawzięcie.

— O... Mówiłam! Juści widać! Albo i nie! Ba — ba!... Drogi nie znałabym! Sacrebleu, niech mnie pierwsza kula nie minie... jeżeli skoro świt nie staniemy w Zamościu! Już go czuję prawie przez skórę!... Paniusieczko moja, toć rodzinne strony! Jeszcze trochę tego trzęsienia, no i spoczniemy! Mam w Zamościu stryjeczną. Mąż jej pisarkuje w kancelaryach ordynackich! Dobrzy ludzie oboje. Jemu Chryzostom, a jej Katarzyna!... Pani kapitanowa sama się przekona. Przyjmą nas sercem a i barszczem. Phi! Ale ci tu pustkowie się zrobiło! Noc niby, a przecież... Niech sobie! Po omacku także trafię! Tu nie te Pireneje zatracone, że chybnij się jeno, a już po tobie. Przestworu dowolna! Choć się wywrócisz, jeszcze święta ziemia cię nie opuści. Uf! Ciepła noc! Jak wspomnę, że tam może mój stary siedzi sobie i wypatruje, to mnie aż trzęsie z alteracyi! Dola!...

— Oj, dola, dola! — westchnęła smutnie druga z kobiet.

Pierwsza trzasnęła energicznie bacikiem.

— O, paniusieczko moja! Komu to tu wydziwiać na dolę? Gdybym to ja miała, jak pani kapitanowa, dwudziestkę w takich ślepkach, tyla krasy na obliczu, a takie perły w gębie, bez urazy... Ech! To i bodaj generałowi dywizyi umiałabym za skórę zaleźć, żeby jeno białkami łyskał a zgrzytał z miłości! Pewnie! A tak cóż? Jeżeli mego starego nie pochwycę gdzie... to... to... już taki zostanę!... Poczciwy był! Krzepię

się ciągle, złego nie dopuszczam do głowy... a... a... jednak ono dławi człowieka! Ślubowałam, obiecywałam! Nic! Z takim próchnem, to już i Święci Pańscy nie chcą wchodzić w układy! A co patron mój, święty Antoni, pozbadł mnie z kretesem! Co robić? Wio — maluśki!... wio!... Niech sobie! A jak się zawezmę, to jeszcze znajdę sobie drogę!... Byle do swoich! Wypocząć, odsapnąć po tej biedzie a tułaczce... no, i... tego... sacrebleu!...

Rozprawiająca baba umilkła nagle i głowę smutnie zwiesiła. Po małej chwili zwróciła się żywo do swej towarzyszki i rzekła cicho:

— Bo... pani kapitanowa zdrzemnęłaby się trochę!...

— Nie, nie. Noc taka piękna!...

— Hm! Właśnie jakby do snu! Paniusieczka się nie wysypia! Na nic taka jazda! Musi być ład. Jedna zmiana odpoczywa, druga na stanowisku. A to myślenie, to ani zdrowe, ani na zmorę skuteczne! Teraz nic nie mówię — ale niechno dobrniemy do Zamościa!... Subordynacya musi być! Pani kapitanowa nic na szarżę nie pomna!...

— Moja Żubrowo, gdzie?... Przepadło wszystko — wszystko! Trzeba mi teraz uspokojenia tylko! Byle dalej od ludzi, od świata... Wam nie zawadzę! Może sierotę przyjmą gdzie!...

Baba pociągnęła nosem i ozwała się z impetem:

— Doczekałam się! Mnie — zawada! Przepadło! Bodajbym się pod ziemię skryła! Pocieszenia niema! Tfy! Niech mnie samą!... Chłopy, oczajdusze, kłamce, nicponie! Prędzejbym się śmierci spodziewała!... Popluć na złe i odwrócić się!... Frykasu tego jest jeszcze do woli!... Bóg da, to my się jeszcze większej doczekamy rangi! Co porucznik! Pułkownik albo i major ostrogami brzęknie!

— Nie mówcie tak!

— Albo to grzech? Kto może wiedzieć, co komu sądzono? Czy ja to kiedy myślałam, żeby nasz porucznik!... No, postrzeliło go! Gdybym na własne nie widziała oczy...

— Żubrowa!...

— Już milczę!... A tfy! Człowiekowi ciągle od serca na język przypływa! Chociaż, jak go znam, tobym przysięgła, iż się odmieni!... Przyszło na niego i odejdzie... i wróci...

— Wolna wola!

— Sumitować się będzie!

— Jego rzecz!

— Do nóg padnie!

— Żubrowa! — ozwała się surowo Zośka. — Jeżeli raz jeszcze podobnie przemówicie, klnę się, że i was rzucę i pójdę sama!...

— Jezus, Marya! Paniusieczko moja serdeczna! Bodaj mnie!...

— Szarpiecie boleśnie! — Co wam w głowie?... Mało jeszcze goryczy?... Zdaje się wam, że to się zmieni?... Nigdy! Powiedziałam raz...

— Olaboga! — mruczała markietanka. — Dogadałam się!... Wio, malutki!... Jak to się wlecze! Nieszczęście po piętach idzie!... Do Szczebrzeszyna jeszcze z godzina drogi! Cha! Dla mnie?... A cóż?... Dobrze mu tak! Zachciało się hiszpańskich amorów — niech mu! Ej! Kawaler ci był, że ze świecą drugiego szukać! Bo to i ród, i serce, i głowa, i mina!... Święty Antoni, a przecież go napadło! Jedna bieda! Dwa miesiące włóczęgi na koniec świata, dwa miesiące z powrotem — no, i co? Gorzej jest, niż było!... Zdało się, tu przynajmniej, chociaż w spokojności posiedzisz!... Gdzie!... Z jednej wojny się wyszło, w drugą się wchodzi!... Byle do Zamościa się dołapać! Byle znów złe nie namieszało kłopotów!

— Zdaje się wam, że to prawda, co mówili w Radomyślu?...

— Mnie już się nic nie zdaje! Powiadają, nasi idą pod Zamość! Niech idą! Nam byle zdążyć przed wojskiem i do swoich dopaść!

— Oblegać mogą!

— Niech oblegają! Niech szturmują, niech zdobędą! Co począć? Pod ziemię się schować chyba! Do Warszawy, mówili, nie jechać, bo Austryak siedzi, do Krakowa nie, bo żołdactwo bobruje w okolicy, do

Lwowa także nie, bo znów jakieś bitwy na drodze będą! Do pioruna, sacrebleu! Przecież gdzieś trzeba!

Baba zaklęła i szarpnęła energicznie lejcami.

Przez chwilę słychać było tylko miarowy stukot toczącego się wozu. Markietanka odezwała się znów pierwsza:

— Pusto! Żywego ducha nie widać! Musi być po północy chyba! Chociaż... tam, na wzgórzu — kto ich wie—niby cień, a przysięgłabym, że to konni.

Baba wpatrywała się uważnie w słabo rysujące się cienie. Zośka również wzrok wytężyła.

— Jezdni! — zakrzyknęła ta ostatnia. — Dwóch, sześciu, dziesięciu...

— O! Jak się to wychylają z po za drzew! Święty Antoni, byle nie jacy łotrzykowie! Tegoby jeszcze brakło!... Pani kapitanowa niech się przesiądzie tutaj!... A ja tu pukawki opatrzę!

— Nie myślcie tylko o oporze! Próżne rzeczy! Lepiej zgodą!

— Pewnie! Zgoda, to zgoda, ale co kruciczka za pazuchą nie zawadzi.

Jezdni tymczasem, którzy ukazali się na załomie drogi, zbliżali się szybko, dążąc wprost naprzeciw wozu. Żubrowa ledwie miała czas się usadowić za plecami Zośki, gdy dał się słyszeć donośny głos:

— Stój! Kto jedzie?

— Nikt!—odparła ostro Żubrowa.—Baby dwie jadą!

— Skąd — dokąd?

— Z Radomyśla do Zamościa.

— To zawracać z powrotem! Zamość już otoczony!

— Do licha!... A bodajże!...

— No, no! Nie ma czego pomstować! Zawrócić konia... Nie czas na gawędy!...

— Zawrócić? To się jeszcze zobaczy!

— Słuchać, bo was każę zatrzymać!

— Phi! A może to byłoby dobrze...

Jedni podsunęli się do wózka. Baba postrzegła ułańskie czapy i rabaty.

— Ruszajcie, ruszajcie! — upominał łagodniej głos dowodzącego oddziałem. — Krzywdy waszej nikt nie

chce. Możecie się znaleźć w samym ogniu. O Zamościu niech wam się nie śni! Zawróćcie na Krzeszów.

— Ani myśli! Gdzie nam! Choć do Szczebrzeszyna pozwólcie!

— Niema ducha żywego!

— No, to my jedziemy do Zamościa!

— Pójdziecie pod straż!

— I właśnie dobrze! Będzie przynajmniej bezpiecznie!

— Poszaleliście!...

— No, jedźmy! Gdzie ta straż?

— Wziąć ich do Szczebrzeszyna, a tam się zobaczy! — rozkazał surowo dowódca.

— O, i właśnie!...

Jezdni otoczyli wózek i ruszyli żwawo. Konik chłopski, znalazłszy się w towarzystwie rosłych wierzchowców ułańskich, nastroszył grzywę, parsknął raźno i pomknął ochoczo.

Zośka zdumiała się takiej rezolucyi i szepnęła:

— Żubrowa! Dokądże my?... Nie lepiej po dobrej woli ustąpić?

— A to po co?—uparła się markietanka i głos podniosła tak, żeby ją jadący obok kawalerzyści słyszeć mogli. — Jesteśmy między swoimi! Czy to Niemce jakie albo Austryaki? Zjedzą nas? Mamy się po nocy tułać, toć lepiej nam w kompanii ułańskiej! I weselej i pewniej!...

Dowódca puścił mimo uszu słowa baby — choć nie na żarty zafrasował się, co pocznie z więźniami. Był rozkaz wzbraniania przejazdu pod Zamość, lecz również było polecenie łagodnego obchodzenia się z ludem i obywatelstwem. Mógł je wprawdzie na posterunku swym w Szczebrzeszynie zatrzymać, lecz to tylko kłopotów by mu przysporzyło.

Babie tymczasem usta się nie zamykały. Rozprawiała głośno a szeroko, wyzywała ciężkie czasy, a ułanów zasypywała pytaniami.

Żołnierze uśmiechali się pod wąsem i milczeli. Markietanki wcale to nie zbiło z pantałyku.

Po godzinie niecałej drogi oddział dostał się do Szczebrzeszyna. Dowódca rozsiadł się w chacie na skraju wsi, wysłuchał raportu wysłanych z podjazdami podoficerów, a następnie, przybrawszy surową minę, polecił przywołać zatrzymane kobiety.

Żubrowa, ciągnąc za sobą Zośkę, weszła z fantazyą, skłoniła się oficerowi i rzekła z ukontentowaniem:

— Przecież bo pan porucznik o nas sobie przypomniał! Co niewiastom, to należy się zachowanie.

— No! Przekonałyście się, że tu żartów niema! Na ten raz wam jeszcze daruję. Możecie jechać.

— Do Zamościa?

— Nie do Zamościa! Powiedziałem. Bądźcie kontente, że cało was puszczam!

— Pokornie dziękujemy! Choć ani rusz wyimaginować sobie nie potrafię, żeby pan porucznik mógł nam jaką krzywdę wyrządzić!...

— Dosyć! Uciekajcie, pókim dobry!

Baba przymrużyła lewe oko i rozsiadła się na ławie pod piecem.

— To już lepiej nam będzie pod strażą!

— Każę was zamknąć!

— My i tak nie uciekniemy!...

— Odejdźcie, póki czas!

— Nie, panie poruczniku, to już my tu lepiej zostaniemy!

— Ależ, kobieto, zastanów się! Tu może nastąpić spotkanie...

— My tego zwyczajne.

Porucznik stropił się do reszty.

— Nie, nie może być!... Ależ... Tylko patrzeć jak nadciągnie piechota!... Musicie się oddalić!... Nie upierajcie się!... Dobra waszego chcę!

— Bóg zapłać! Tylko co ani ja, ani pani kapitanowa kroku stąd nie zrobimy. Wziąłeś nas, panie oficerze, to trzymaj!... Bezbronne sieroty jesteśmy!... jak nie do Zamościa, to nigdzie!

— Zobaczymy! — przerwał groźnie porucznik, a spojrzawszy na gładkie liczko Zośki, dodał znowu

łagodniej: — Waćpanna sama nie wiesz, na co się narażasz... Chmara żołnierzy sunie tutaj... a w zamieszaniu może cię despekt spotkać, a potem i niepotrzebne indagacye...

— Te-te! Panie poruczniku! — przerwała żywo markietanka. — Strachy na lachy! Nam nie nowina! Już ja tam sobie radę z nimi dam... Jeszcze pan porucznik na szlufy z za płota wyglądał, kiedy człowiek po bitwach się tułał!... Co tam! Pozwólcie, do woza skoczę... Czas popasać! Pan porucznik może i głodny! Nie zginiemy!

Baba skoczyła żywo do drzwi, a powróciwszy z dwoma koszami, jęła się gospodarstwa, zapędzając do pomocy stojących przy drzwiach ułanów.

— No, chłopcy, pomóżcie! Rusz się dryblasie! Pomóż koszyk wyładować! Mam cię prosić dwa razy? Równaj się! Marsz! Nie wiesz gdzie? Lala żółtogranatowa! Niema opłotków przed chatą?... Wyciągnąć mi chrustu i pod komin! Czego stoisz?... Żywo, bo jakiem Muszyńska z domu, popędzę! U mnie nie kupić! No-no! Tylko z naczyniem ostrożnie! Zębów nie szczerz, bo nie dla waszeci!...

Porucznik trzaskał niecierpliwie palcami i mierzył izbę wielkimi krokami, spoglądając na markietankę. Na stole tymczasem zjawił się gąsiorek, miski, kubki, sztućce. Na kominie kurzył się w żelaznym saganie bigos. Porucznik chciał był właśnie nową powiedzieć perorę, lecz baba dygnęła mu i na posiłek zapraszała.

Porucznik wydął poważnie usta i rzucił oschle:

— Jak się nazywacie?

— Hm! To nam najpierw należałoby wiedzieć, z kim mamy honor?

— Porucznik trzeciego pułku ułanów, Stanisław Błędowski, adjutant brygady generała Kamińskiego.

— Joanna Żubr, markietanka legii, czasowo przykomenderowana do wielmożnej pani kapitanowej Zofii Dziewanowskiej! — odparła uroczyście baba.

Błędowski roztworzył szeroko oczy.

— Dziewanowska? Czy nie krewna pułkownika Dziewanowskiego, dowódcy szóstego pułku ułanów?...

— Nie, panie poruczniku! — odrzekła Zośka.

— My się z lepszych Dziewanowskich wywodzimy. Stryjeczny nasz, świętej pamięci pan Jan, szarżował pod Somo-Sierrą...

— Pan Jan Dziewanowski, kapitan szwoleżerów! Oficer wielkiego serca...

— Właśnie! Prosimy na bigos!

Błędowski nie ociągał się dłużej i zasiadł przy stole. Markietance cała już zwykła fantazya wróciła.

Gdy jeszcze porucznik zagadnął o jedno i drugie — tak się rozgadała, że jednym tchem wszystkie smutki, żale a kłopoty mu zwierzyła.

Młody adjutant słuchał, głową kiwał, a na zarumienioną Zośkę spoglądał. Kiedy Żubrowa skończyła — odezwał się ze współczuciem:

— Ciężkie termina! Słucha się jak o bajce! No, no! Ale cóż ja z waćpaniami pocznę?... Dalipan rzetelnie mówiłem! Wojna!... Generał Kamiński już blokuje Zamość... Lada chwila korpus generała Pelletiera nadciągnie... Będziem dobywali! Gorąco będzie!... Z jednej biedy w drugą! Zamość mocny — licho wie, jak długo potrwa oblężenie! A na dobrą sprawę Austryacy z odsieczą mogą nadejść!

— Trzeba się też waćpanom uwinąć.

— Dobrze mówisz waćpani! Ani słowa... tylko murów tak łatwo nie ugryzie! Żołnierzy mają pewnie ze cztery tysiące, armat i prochu na pół roku. Kto ich wie!...

— No, to jużby wstyd był, żebyście waćpanowie pokpili sprawę! Zamość! Phi! Znam go. Ma mocne bastyony — niema co!... Ale toć po swoje pójdziecie — nie po cudze! Byle dobrze znać położenie, to sacrebleu, carramba, inżynierskim figlem wysztukować można taki szturm!... Fiu! A imaginujże sobie waćpan, iż w samym Zamościu i ludu jest siła rozmaitego, co pewnie Austryakom nie rad bardzo!...

— Prawda! Tylko z ludem ciężka sprawa! A o takich, którzyby Zamość dobrze znali, też ciężko...

— Hę?... No, a ja?... Jakiem Muszyńska z domu... niech mego starego na oczy nie oglądam, jeżeli po ciemku do każdego zakamarka nie trafię!

— Wy? Moglibyście?...

— Przysięgam Bogu!... Carramba! Trzeba wam czego? Święty Antoni... a toć pokażę!... Prowadź mnie waćpan do sztabu! Już wiem. Od Lwowskiej bramy najpewniejsze! Dostęp gładki... Przed bramą pagórek na baterye! Sacrebleu! zbębnić trochę podmurówki, a potem do ataku! Ho, ho!... Jabym do Zamościa nie trafiła!...

Baba biła się w piersi, a zaklinała z taką gorącością, że aż Błędowskiemu oczy się zaiskrzyły.

— Wiwat, mości Żubrowa! W wasze ręce! Za pomyślność! Jedziemy zaraz do generała! Ja tu pół dnia bałamucę, rzetelnych przewodników szukam, a tu ani weź. Co pochwycą mi chłopa — słowa ze strachu wymówić nie może! Obiecuję nagrody, przyrzekam — nic poradzić nie można!... Na zdrowie!

— Bóg zapłać! Niechno tylko pan porucznik tak bardzo się do gąsiorka nie przypina! Jechać, to jechać! Ja wam pokażę, co Żubrowa, a co Zamość! Hej! Siodłać konie!

— A jakże będzie z imć Dziewanowską?

— Jak ma być? Rusza z nami! Nie bój się o nią!... Kto hiszpańską odbył potrzebę, ten się znowu waszej austryackiej pukaniny nie ulęknie!

— Opatrzyć wózek!

— Tylko nie wózkiem! Tam sobie odkomenderuj dwóch ułanów! Albo — albo! No, rękę dam sobie uciąć, panie kawalerze, jeżeli i dla ciebie na krzyż nie zarobimy!

Błędowski jął szybko gotować się do drogi. Właśnie miał już do koni z przewodniczkami ruszać, gdy do chaty dopadł ułan na spienionym koniu.

— Melduję pokornie, że kolumna generała Pelletiera nadciąga z pod Janowa pod Zamość!...

— Dobrze! Kapral Kozakiewicz!...

— Panie poruczniku?

— Obejmiesz dowództwo pikiety! Gdy generał Pelletier nadejdzie, złożysz raport i wrócisz pod Zamość.

— Według rozkazu!

— A teraz na koń! Czterech ze mną! Gajewski, Skłodowski, Grosz, Borkusiak!

Żubrowa pomogła Zośce usadowić się na kulbace, a potem zakrzyknęła na kaprala:

— Kawalerze! Podajże mi rękę, bo albo koń za wysokiej miary, albo moje nogi za krótkie! Uf! Niezdara z waszeci! Na rękodajnego nie wzięłabym cię! Ruszamy!

Konie poszły wyciągniętego kłusa, Żubrowa sapała ciężko a dogadywała:

— Jurny konik! Zrywa, jakby dwudziestolatkę niósł na grzbiecie! Poczujesz ty, nieboraku, poczujesz! Jeszcze odrobinę!...

Błędowski naglił do pośpiechu:

— Naprzód, naprzód!... Chwili niema do stracenia! Niebo mi was zesłało. Byle zdążyć na kilka godzin przed korpusem Pelletiera! Ale... mości Żubrowa, trzymaj się waćpani mocno przed generałem! Surowy bardzo!...

— No! nie zje on mnie! Niech się pan porucznik nie boi. Nie z takimi dawałam sobie rady! Tylko panią kapitanową wziąć musicie pod opiekę, a już ja was poprowadzę!...

— Bądźcie pewni, że generał potrafi ocenić waszą gotowość!

— O tem potem! Bylem się nie utrzęsła! Uf! Jak to skacze podemną! Mnie się już sprzykrzyło, a jemu jeszcze nie!

Po dwóch godzinach zajadłego kłusowania na jasnem tle roziskrzonego nieba zarysowały się siedmiogranne mury Zamościa.

Baba przeżegnała się pobożnie.

— Święty Antoni! Teraz prowadź dalej!... Każdy kamuszczek znam, byle licho nie nasadziło siurprzyz!

— Jeszcze dwie staje! — zachęcał Błędowski.

— Ba, i na jedną staję zdrowia nie staje — oburknęła się Żubrowa. — Tańczy ze mną, że ledwie się trzymam! Zbełtał mnie z kretesem! Wytchnąćby tutaj chyba.

Błędowski ani słuchać nie chciał o popasie. Baba się upierała, gdy wtem rozległo się zawołanie wysuniętej na drodze pikiety ułańskiej. Porucznik odetchnął.

— Jesteśmy przecież! Gdzież generał? Prowadź nas!

Podoficer objazdowy ruszył od pikiety i powiódł przybyłych do opuszczonej w zaroślach chaty, kędy był generał Kamiński z oficerami obradował. Wejście Błędowskiego wywarło rozruch w izbie.

Kamiński wysłuchał raportu o nadciąganiu kolumny Pelletiera, a potem rzucił gorączkowo:

— A przewodników znalazłeś waćpan?

— Są, panie generale!

— Dawać ich tutaj coprędzej!

Błędowski wprowadził Żubrową i Zośkę. Generał Kamiński żachnął się niecierpliwie:

— To to? To mają być przewodnicy?... Mości Błędowski, waćpan nadto lekceważysz sobie rozkazy! Cóż ja z babami pocznę?

— Generale, właśnie...

— Nie tłómacz się waćpan! Miałem go za roztropniejszego! Naraziłeś mnie! Pelletier się zbliża, a tu nawet rozpoznania niema!...

— Pomimo najsilniejszych poszukiwań...

— Nie znalazłeś! — dokończył ironicznie generał. — Moja wina, że młokosowi zaufałem!

— Horrendum! — mruknął basem pułkownik Brzechwa.

— Ta młodsza jeszcze sobie niczego — bąknął major Suchodolski.

Generał mierzył wielkimi krokami izbę. Z pod nasuniętych krzaczastych jego brwi szły błyskawice gniewu.

Oficerowie spoglądali na skonfundowanego adjutanta, ścigali wzrokiem stojące podedrzwiami ko-

biety i uśmiechali się do siebie. Kamiński, podrażniony zachowaniem się swego sztabu, uniósł się gniewem.

— Waćpan o służbie pojęcia nie masz! Sprowadziłeś mi baby! Nie wiem po co, chyba asanowi głupstwa w głowie! Widzę, że się zawiodłem! Do pioruna, wstyd mi, że nosisz adjutanckie akselbanty! Proszę mi zdjąć! Postąpiłeś sobie jak smyk! Dosyć tego! Marsz do szwadronu! Pułkowniku Strzyżewski, proszę porucznika Błędowskiego wziąć na naukę... — trzeba mu wdrożyć dopiero wyobrażenie o służbie!...

Błędowski, blady jak chusta, wyprężył się, złożył ukłon wojskowy i wyszedł z izby. Zośka chciała wysunąć się także, lecz Żubrowa przytrzymała ją za rękaw.

Generał Kamiński mierzył wciąż izbę krokami, klął a pięści zaciskał. Naraz wzrok jego padł na stojącą spokojnie markietankę.

— A wy tu czego? Słyszałyście? Precz mi w tej chwili, żebym was więcej nie widział!... Bab mi jeszcze potrzeba było!

Żubrowa ani drgnęła i spoglądała obojętnie przed siebie. Kamiński nasrożył się!

— Słyszałyście!?

Baba flegmatycznie potrząsnęła głową.

— Nie, nie słyszałam...

Major Suchodolski zbliżył się do markietanki i rzekł groźnie:

— Macie generała Kamińskiego przed sobą!

— Kamińskiego? Hm! Znałam dwóch Kamińskich i obydwóch kapitanów! Jednemu było Jan. służył w trzecim batalionie legii, drugi Faustyn w szóstym, pod Zagórskim! Ale co obydwaj znani byli z dworskiej dla niewiast grzeczności! A co Jan... rzetelny...

Suchodolski nie dał jej skończyć i przerwał z napomnieniem:

— Nikt tu nie ciekaw waszych wywodów!... Zbierajcie nogi, żebyście skórą nie nadłożyły!

— Nogi zbierać? Hę?... Mości pułkowniku, nauczże mnie, bo nie potrafię! Pewnie w waćpanowym szwadronie tej sztuce przypatrzeć się można!...

— Jesteście hardą!...

— Nie, panie generale, Żubrowa do usług!...

— Zawołać służbowych, niech ją wyprowadzą! — rozkazał sucho generał.

Jeden z oficerów skoczył przed sień. Markietanka ujęła się pod boki i wysunęła na środek izby.

— To tak? Za twoje myto jeszcze cię obito? Ja się tu do waćpanów napraszałam ze swoją osobą? Co? Pilno mi było do waszmościów? Jakiem Muszyńska z domu, nie daruję! Dzięki Bogu, z książętami gadałam, diuki mieli respekt dla mnie, przed cesarzem języka za zębami nie trzymałam!...

— Pomieszana! — rzucił któryś z oficerów.

— Hola! Mości panowie! Znaj uszanowanie! Bo może tu niejeden tylu włosów pod nosem nie ma, ile ja widziałam bitew! Kłaniam uniżenie! Źlem trafiła, bo z podjazdem nie powinnam się była wdawać! Tyle sobie zapamiętajcie, że nie wy, jeno ja do Zamościa wejdę przed wami... Chyba że mnie śmietankowe mundury austryackie na sztuki porąbią!

Kamiński chciał coś powiedzieć, lecz baba pociągnęła za sobą Zośkę i wybiegła przed chatę.

Dziewanowska chciała mitygować markietankę, lecz Żubrową pasya ogarnęła.

— Nie, paniusieczko! — wołała. — Niech mnie połamie, sacrebleu, jeżeli nie strzymam!... Są konie! Dawać dwa konie! Żywo do stu dyabłów, kartaczy, fur beczek, batalionów!...

Żołnierz, stojący przy koniach ordynansowych, usunął się z uszanowaniem przed tak gromkim rozkazem. Baba wgramoliła się na siodło — przytrzymała konia Zośce i zanim sztab w izbie zdołał otrząsnąć się z pierwszego wrażenia, dwa dzielne wierzchowce unosiły już odprawione przewodniczki drogą ku Szczebrzeszynowi.

Po wyjściu Zośki i Żubrowej pierwszy odezwał się Suchodolski:

— Szalona baba! Hic mulier!

— Skąd ją wyrwał Błędowski? — dorzucił Brzechwa.

— Baty powinnaby wziąć! — zauważył surowo Strzyżewski.

Generał zamyślił się.

— A może lepiej byłoby je zatrzymać? Niektóre szczegóły przydałyby się...

— Jeżeli pan generał rozkaże...

Suchodolski wybiegł przed chatę. Po długiej chwili powrócił pomieszany.

— Uciekły! — rzekł krótko.

— Więc gonić je! Pochwycić!

— Panie generale! Właśnie dwa najlepsze konie ordynansowe zginęły! Żołnierz tłómaczy się... i doprawdy nie winien. Widział je u pana generała!

Kamiński zaklął.

— Możemy sobie powinszować! Dwie baby... Słów nie mam! Rozesłać patrole — muszą być niedaleko! Do pioruna, żart za gruby! Licho wie co za jedne! Wstyd — hańba! Błędowski odpowie mi za to!...

Zarządzono natychmiastową pogoń. Dwa plutony ułanów rozbiegły się w rozmaitych kierunkach — napróżno. Markietanka z Zośką jakby się pod ziemię zapadły.

Nad ranem dopiero wracać zaczęli wysłańcy, raportując, że nawet na ślad nie trafili, a równocześnie zapowiadając szybkie zbliżanie się Pelletiera.

O świcie na drodze od Janowa, ukazał się korpus piechoty z dwiema armatami i czterema moździerzami.

Pelletier przywiózł ze sobą rozkaz księcia Józefa, oddający mu pod dowództwo konnicę Kamińskiego.

Nie podobało się to generałowi, lecz uległ, ugłaskany nieco komplementami francuskiego wodza.

Wojsko postępowało szybko. Ze wstęgi pochodowej formowało się w podłużne pasy, ustawiało w czworoboki i flankowymi ruchami zataczało wielkie koliska, pierścieniem karabinów otaczając Zamość.

Komendant austryacki czuwał. Ukazanie się piechoty powitał salwą armatnią i rotowym ogniem strzelców ukrytych poza wałami, usypanymi przed

murami fortecznymi. Pelletier natychmiast wysłał woltyżerów pod Stanisławem Potockim.

Kamiński, który się przygotowywał do rady wojennej i całe postulaty o oblężeniu układał, zdziwił się niepomału takiemu pośpiechowi.

Pelletier wskazał mu na widniejące w oddali szluzy.

— Jeżeli woltyżerzy nie spędzą stamtąd Austryaków — za dwie godziny droga szczebrzeszyńska będzie zalaną!...

— Czy podobna?...

— Jeżeli kolega łaskaw, proszę ze mną na objazd!...

Kamiński dosiadł konia i podążył za Pelletierem. Gdy mijano tymczasowo rozbity namiot sztabu, przyłączył się do nich zamaszysty szlachcic w bekieszy, a z poza niego wysunęła się znajoma Kamińskiemu postać markietanki.

Kamiński zagryzł wargi i rzekł przez zęby:

— Czy kolega znasz tę jejmość?

— Doskonale! Pozwól sobie przedstawić. To pan Domański, rządca dóbr ordynackich, który już swojemi wskazówkami oddał nam nielada usługi... A to Joanna Żubr, dawna markietanka legionów, znakomicie oryentująca się w położeniu Zamościa! Ba — ba!... Dziwię się, że kolega jej nie znasz z dawniejszych czasów!... Ja ją sobie przypominam z wjazdu najjaśniejszego pana do Warszawy.

— Nie, nie pamiętam! — mruknął niechętnie Kamiński, wspomniawszy nocną przygodę.

— Jak ten postrzał w biodro dokuczy panu generałowi na wilgoci, to może wówczas wspomni pan generał na tę, co go opatrywała! — huknęła śmiało baba.

Kamiński spojrzał ze zdumieniem na markietankę i już chciał odezwać się życzliwiej, lecz znów myśl o nocnem zajściu zmroziła w nim krew. Odwrócił się obojętnie od Żubrowej i ruszył niecierpliwie naprzód.

Pelletier z uwagą objeżdżał fortecę. Co chwila rozpatrywał okolicę, badał lunetą mury, słuchał objа-

śnień imci pana Domańskiego, a niekiedy wpół żartem a wpół seryo zagadywał markietankę.

Baba, przejęta swojem posłannictwem, trzęsła głową, przewracała z powagą oczyma i co chwila powtarzała:

— Jabym tam zbębniła odrobinę mury około Lwowskiej bramy, a potem na wały! Jedyne miejsce, jakiem Muszyńska z domu!...

— Pierwsza rzecz te dwa bastyony! Podwójny rząd armat! Pośrodku nich zamek! Tu punkt rozstrzygający...

— Panie generale! Rękę dam sobie uciąć, niech mnie posiekają, jeżeli kłamię... Pan Domański sam świadczy, że od Szczebrzeszyńskiej wał za bramą usypano. A co, jak się do serca dostaniemy, to niech mnie... jeżeli śmietankowe mundury się nie poddadzą... sacrébleu... carramba!...

Pelletier uśmiechnął się pobłażliwie.

— Jejmości na odwadze nie brak! Patrzcie jednak — mury na trzydzieści stóp... przed nimi rowy na dwadzieścia głębokie a trzydzieści szerokie!... Baterye mają mocne i cel otwarty!...

— To i co? Byle ci duch był, drabin trocha... chrustu — nie takie pozycye pod cesarzem się brało! Święty Antoni, na śmierćbym przepomniała! Panie generale, jest furteczka!... Jest, żebym tak mego starego nie zobaczyła...

— Gdzie, jak?

— Około bramy Lwowskiej!

— Wskażcie mi!

— Ot, tu, na lewo... założono dla niepoznaki kamieniami, ale jest! Klnę się, jakem bezbronna sierota!... Po omackubym do niej trafiła!...

— Może...

Pelletier kończył objazd i dzielił się uwagami z Kamińskim.

Żubrowa, choć nieproszona, dogadywała a wtrącała się co chwila.

Generał Pelletier zdanie swoje zakonkludował uwagą, że trzeba działać szybko i natychmiast poczynić przygotowania do szturmu...

Żubrowa aż się kiwnęła na siodle z ukontentowania.

— Sprawiedliwa racya! — zakrzyknęła. — Austryak siedzi tam za murami, a że ludu ma dowolna, więc nielada niespodzianek może nagotować a tak się umocnić, że i sto armat nic mu nie zrobi! Tu znów, u nas, żołnierz młody — czy to już nie zmiarkowałam? — w pierwszym impecie po dyabła do piekła skoczy i za rogi go wyciągnie!... Dać mu jeno czas do namysłu, wnet go zniechęci, zemdli i serce mu odejmie...

— Dziś, jutro będzie fruwał, byle muru się uczepić — prawiła dalej stara markietanka — za tydzień kijem go do rzetelnego szturmu nie napędzi! Jam prosta baba, lecz co się napatrzyłam generalskiego rzemiosła, to napatrzyłam! Pan generał tak ci mądrze skalkulował, że chyba cesarz nie inaczejby rozkazał!... Bo ja to nie wiem! Cesarz toby kiwnął tylko głową i zawołał: — Chłopcy, chcę podwieczorek zjeść w Zamościu!...

Pelletier życzliwie słuchał babskiej perory. Kamiński zaś zżymał się i marszczył zniecierpliwiony, w końcu rzekł półgłosem:

— Czyby kolega nie uważał za właściwe odprawić ją?

— Jeżeli kolega uważa... — odparł przeciągle Pelletier, a zwracając się do markietanki, ozwał się spokojnie: — Możecie wracać, a proszę, żebyście byli w pobliżu mego namiotu.

— Według rozkazu! — huknęła ochoczo Żubrowa i zawróciła konia

Generałowie kończyli objazd — ważąc, co i jak poczynać należy.

Bitwa powoli z bezładnych salw armatnich i wystrzałów karabinowych — przeistaczała się w miarowy pomruk wojny.

Artylerya austryacka zasypywała żelazem okoliczne równiny, piechota odpowiadała gradem kul na tyralierskie strzały woltyżerów. Zamość spowijał się kłębami dymów, jeżył grzbietami spiżowych paszcz i coraz nowe odsłaniał baterye.

Pelletier zachmurzył się. Nieprzyjaciel do nielada był przysposobiony obrony. Potężne mury fortecy dumnie wznosiły swe bastyony i pogardliwie spozierały na wątłe siły Pelletiera.

Wątłe siły — słabe. Żołnierz niedoświadczony, niezahartowany w ogniu, ani do komend przywykły. Oficerów sprawnych mało. Artyleryę ledwie wiwatowym oddziałem nazwać było można.

Wątłe siły. Żołnierzyk taki ledwie czasem karabin podźwignąć zdołał a głowicę szabli objąć. A co między porucznikami dzieciuchów szesnastolatków, jakby makiem nasiał!

Lecz w wątłym tym żołnierzu — duch mieszkał. Duch wielki, duch wyrosły na posiewie bonapartowych przyrzeczeń. Duch ten wiódł do boju, chwiał sztandarami Księstwa i stawił czoło karnym szeregom austryackim. Tym razem atoli nie szło już tylko o atak, o szalenie męskie natarcie, o piorunowy rzut kolumny, lecz o murów opanowanie.

A Zamość był nieubłagany. Z bastyonów jego szedł jak gdyby głos surowy — zimny i wołał:

— Jam zakamieniały w mocy swej — jam niepomny na żadne przywileje — jam jest głazem, o który rozbiją się wasze mózgi.

Pelletier się zawziął. Ufność, z jaką mu książę Józef powierzył dowództwo, sława dzielnego oficera inżynieryi, zdobyta jeszcze w rozprawach pod znakami konsulatu, rozniecila w nim energię. Obronność Zamościa do tem szybszego skłoniła go działania.

Wydano natychmiast rozkazy, zapowiadające szturm. Wojsko jęło gwałtownie czynić przygotowania.

Imć Domański, zebrawszy gromadę, zajął się gotowaniem chrustu na faszynę, sitowia na kosze, a drzewa do drabin.

Topory, siekiery pracowały zajadle. Żołnierz jął się łyka i młotów.

Równocześnie Roman Sołtyk z dwoma moździerzami podsunął się między zabudowaniami przedmieścia pod Zamość i słał bomby Austryakom.

Pułkownik Pulszky trzy baterye skierował na moździerze Sołtyka, które już w kilku miejscach pożar zdołały rozniecić. Sołtyk nie ustępował.

Rozkaz był wyraźny — zająć nieprzyjaciela, odwrócić jego uwagę od czynionych przygotowań, a tem samem przeszkodzić umacnianiu obrony.

Sołtyk stał — kryjąc się między drzewami a domkami, i raził bombami fortecę. Zamość jakby w żelazie chciał utopić śmiałego kapitana artyleryi. Kule austryackie muskały kanonierów, zrywały im czapy, szarpały mundury. Sołtyk ani na chwilę nie opuścił komendy. Głos jego przedzierał się poprzez wycie armat i głuchy jęk ziemi.

Mijały godziny. Dwóch kanonierów padło rozszarpanych granatami, dwóch, powalonych kontuzyami, czołgało się — Sołtyk nie drgnął. Obok niego pięciu jeszcze żołnierzy — pięciu bohaterów — pięć widm poczerniałych od dymu, z oczyma nabiegłemi krwią. Było ich pięciu: Bartosiak — chłop, Siarczyński — kowal, Świderski mieszczuch, Kosolski — kupczyk i Andrejew — smolarz, a zdawało się, że to jeden wielki człowiek — zimny, rozpaczliwie flegmatyczny, zakuty w machinę.

Pelletier -- pośród czynionych przygotowań co chwila pytał o Sołtyka.

— Trzyma się! — raportowali adjutanci.

O zmroku woltyżerzy, atakujący okopy od strony Szczebrzeszyna, zdołali opanować szluzy, które już lada chwila miały lunąć na równiny potokami wody.

W tejże samej prawie chwili kula armatnia uderzyła w zapał moździerza. Bartosiak zachwiał się, pierś jego bluznęła krwią. Kanonier padł z zapalo-

nym lontem. Z rozwartej piersi jego dobył się jeszcze okrzyk:

— Jezu!...

Artylerya austryacka znalazła drogę do Sołtyka. Za Bartosiakiem legł Kosolski.

Sołtyk zawołał pozostałych kanonierów i rzucił się do ocalenia moździerza. Kapitan z żołnierzami ujął za koła. Pod gradem kul mocowano się z zarytym w ziemi potworem. Rwały się pasy, uginały krzyże — spiż ustąpił.

Moździerz cofnięto aż ku szluzie szczebrzeszyńskiej. Pulszky odetchnął; zanim jednak zdołał nowe wydać rozkazy, moździerz Sołtyka już ryknął basem, tym razem lepiej umocowany i osłonięty.

Rozmowa dalej trwała.

Armaty austryackie wyły przeraźliwie, pruły kulami powietrze, zmieniały cele, raz pod chmurami kreśląc mgliste łuki, to znowu tuż przy ziemi tocząc białe obłoczki. A na ten ich huk gromki, donośny, ogłuszający, odpowiadał jeden moździerz Sołtyka!

Pulszky czerwieniał ze złości — klął swoją artyleryę, a nie mogąc dać sobie rady z zakamieniałym moździerzem, zarządził wycieczkę. Na dany sygnał dwa bataliony piechoty wypadły z okopów i uderzyły na tyralierów, rozrzuconych pomiędzy domami przedmieścia. Tyralierzy stanęli murem.

Sołtyk obniżył gardziel moździerza — na białym pasie austryackich mundurów czerwona rozlała się wstęga — zmieszała szeregi, rozproszyła.

Pulszky do nowego kazał trąbić ataku — napróżno. Po dwakroć jeszcze zrywała się piechota austryacka, lecz Pelletier wysłał na pomoc woltyżerom szwadron ułanów szóstego pułku pod Brzechwą. Po dwakroć Austryacy zdołali bagnetami dosięgnąć woltyżerów i po dwakroć cofnąć się musieli pod natarciem kawaleryi.

Noc nadeszła. Zamość huczał jeszcze, łyskając czerwonym oddechem armat. Obóz polski zalegała chwilowo cisza. Naokół leżały bezładne masy faszyny, drabin i koszów ochronnych.

Żołnierze posilali się gorączkowo, poglądając w milczeniu na opatrzone świeżo karabiny. Porucznicy rozdzielali amunicyę i ostatnie wydawali rozporządzenia. Rozkazów jeszcze nie było, lecz żołnierz czuł, że nocy tej krwawa go czeka rozprawa.

Poza linią pikiet Pelletiera, w zagajniku nad Wieprzem, w opuszczonej chacie rezydowała Żubrowa z Zośką.

Markietanka pod wieczór właśnie straciła na humorze. Te oblężnicze przygotowania nie po myśli jej były. Zośka mitygowała ją, jak mogła, ale Żubrowa nie dała sobie żalu wyperswadować.

— Paniuleczko moja! Skaranie! To są oficjery! Napisarzów jakich albo palestrantów to byłoby dobre! Gdzie! zamiast słuchać—oni ani chybi całą Saragossę zrobią! Teraz faszyny, potem miny, przekopy, rozsadzanie murów — phi! A tu właśnie trzeba było z mostu — uderzyć na mury — popsuć trochę Austryaków — i koniec!...

Zośka głową kręciła.

— Co wy macie za myśli!... Przecież generałowie znają się lepiej! Namby raczej należało pomyśleć o bezpieczniejszem miejscu! Bo tu, kto wie, co wypadnie?

— Pewnie, pewnie! Takie rządy! Takie wodze! Tfy! Wstyd nazwać. Smyki do wojaczki się biorą! Idę obozem, a tu poruczniczyna przedemną. Szabla w pachę go szturcha, kaszkiet, żeby nie uszy, toby się oparł na karku, dzieciuch, mleczak! Ładna armia! Żeby kompanię naszych zuchów z pod Marengo sprowadzić, toby kolbami rozpędzili! Aż człowiekowi we wnętrzu kruczy z irytacyi! Jakiem Muszyńska z domu, alteracyi nie strzymam i do oczu chyba im skoczę! Generały, sztaby, akselbanty, inżyniery, a co głowy, to pewnie ani jednej! Mówiłam im od Lwowskiej! Przestwór, mówię, jest, furtka ledwie przysłonięta, zbębnić odrobinę i w fosy! Tfy! Już nie powiem więcej!

— Moja Żubrowa — rzekła spokojnie Zośka — gdzie wam! Toć są wysokie oficery! To nie kobieca

sprawa. Porzućcie lepiej te zawadyackie myśli, bo się jeno biedy jakiej dopytamy, i tak, dzięki Bogu, uszłyśmy niejednej! Nasza babska rzecz w to się nie mieszać.

— Babska nie babska a trzeba prać! Ehe! Gdyby tu mój stary był, nieborak! Juści bezbronnej sierocie ciężko! Ale co robić! Jakiem obaczyła tę malowaną lalę z jeneralskiemi szlufami, to mnie garście do tej pory świerzbią! A pewnie, siedź przed Zamościem i patrz się, jak ci austryacka chorągiewka na zamkowej wieży fyrka!

— Więc cóż wam się nareszcie roi w głowie?...

— Mnie, pani kapitanowo? Nic zgoła, jeno co ślepej pukaniny znieść nie mogę! Narobili ci drabin, że chyba do samego Pana Boga do antykamery dobraćby się można, a koszów tyle, że bodaj cały Zamość na plecachby wynieść! No i co? Dwa moździerzyki usadzili sobie i hukali jak na odpuście. Austryacy znowu chyba na trzy mile wokół wszystkie wróble wystraszyli harmatami, a wiatru uczynili na dwie burze. Wojna! Niechnoby tu był, jeszcze mój stary albo i pan porucznik... Znów mi się wymówiło! Język kołowacieje ze złości! Mówią: „słyszałyście, generała macie przed sobą“ — osobliwość generał, w wielkiej armii lada ciura to też generałem może zostać!...

Żubrowa umilkła i zamyśliła się ponuro. Zośka siedziała znudzona na ławie pod ścianą i wpatrywała się w skwierczącą hałaśliwie drzazgę, zatkniętą w okapie nad kominem. Zniechęcenie, rysujące się na twarzyczce pułkownikówny, tknęło starą markietankę.

— O czem tak paniusieczka?

Zośka podniosła swe wielkie oczy na Żubrową i odparła cicho:

— O niczem! Dola!...

Markietance łzy w oczach się zakręciły, przypadła do ręki pułkownikówny i jęła tulić do niej swe pomarszczone czoło.

— Bodaj mnie! Człowiekowi na starość świta w głowie! Bóg wie, czego się zachciewa, a na kocha-

nie swoje serdeczne nic nie pamięta! Sama nie wiem, sacrébleu, co ze mną! Doskwiera żałość, na wylot świdruje, że... chciałoby się bodaj na armaty lecieć, byle w sobie gorycz zmódz!

Zośka chciała odpowiedzieć, lecz w tejże chwili drzwi chaty z trzaskiem się otwarły. Wbiegł zdyszany ułan i rzekł gorączkowo:

— Zbieraj się waćpani, generał Pelletier wzywa was do siebie!

Żubrowa porwała się na równe nogi, zaciągnęła pasa i jęła się tłumaczyć przed Zośką:

— Muszę, pani kapitanowo! Służba! Duchem powrócę!

— Samą mnie zostawiacie?

— Gdzieżby! Tu bezpieczno! Uwinę się prędko. Kruciczkę za pazuchę od przygody i niech paniusieczka czeka, a już pikietę pod zagajnikiem poproszę, żeby miała na panią kapitanową baczenie.

Zośka ledwie zdążyła skinąć głową, gdy już markietanka wypadła z izby za ułanem.

Żubrowa w kilka chwil później stanęła wyprostowana przed Pelletierem.

— Mówiliście mi o furtce! — zagadnął żywo ten ostatni.

— Tak jest, generale!

— Nie zawodzi was pamięć?

— Gotowam zaprzysiądz!

— Hm! Obawiam się, czy nie mylicie się! Pan Domański właśnie przywiózł nam staroświecką mapę Zamościa, bardzo dokładnie narysowaną... Śladu tej furtki niema! Jest, ale pod bramą Szczebrzeszyńską...

— To druga!

— Gdyby można się przekonać?...

— Ja, panie generale, pójdę!

— Waćpani?...

— Pójdę i wypatrzę — niech pan generał pozwoli!...

— Ależ... narazić się możesz! Tu niema żartów!...

— Ba! Toć wiem! Panie generale, ja jedna tylko mogę! Ja jedna znam... przejdę koło szluzy! Pół go-

dziny nie minie, będę z powrotem!... Nikt tego nie potrafi.

Pelletier wahał się jeszcze. Baba upierała się i nalegała. Generał ustąpił.

— Ile czasu potrzebować będziecie na drogę?

— Nie więcej jak godzinę!

— Pamiętajcież sobie!... Wojsko stoi w pogotowiu do szturmu. Zatrzymam je do waszego powrotu!... Gdyby was Austryacy dostrzegli — strzelajcie! Cała kolumna ruszy wam na pomoc!... Jeżeli byłby dostęp trudny... cofnijcie się. Każdej chwili szkoda!...

— Według rozkazu!

— Wiadomość o furcie jest dla mnie o tyle ważną, że trzeba byłoby zmienić porządek szturmu!

— Uważam!

— Ale, oficer ordynansowy doprowadzi was na linię pikiet i powie wam hasło, bo wolałbym, żeby cała wycieczka odbyła się bez zwrócenia uwagi!...

— Według rozkazu!...

Baba zawróciła żwawo za oficerem.

W drodze omotała się mocno chustką, sięgnęła do kruciczki i ozwała się do towarzyszącego jej porucznika:

— Panie adjutancie! Gdybym tak mogła dostać pałasika?...

— A to na co?

— Bo kto wie, co może wypaść... Rozmaicie się zdarza! Czasem trzeba będzie kogo macnąć...

— Hm!... Na pikietach może będą mieli! Zresztą około szluz leży broni porzuconej dowolna.

— A no i prawda!...

Porucznik powiódł markietankę do dowódcy placówek i powtórzył mu rozkaz generała. Dowódca zdziwił się na widok tak niezwykłego posłańca — zalecił raz jeszcze Żubrowej ostrożność — uprzedzając ją, że w odległości dwustu kroków znajdzie jeszcze drugi łańcuch placówek, które po odebraniu hasła przepuszczą ją bez najmniejszych trudności.

Żubrowa powtórzyła kilkakrotnie powierzone jej hasło, skłoniła się zamaszyście i ruszyła śmiało ku okopom.

Oddaliwszy się na kilkadziesiąt kroków od pikiety, przysiadła nad rowem i jęła ważyć, co i jak przedsięwziąć należy, mrucząc pod nosem i oglądając się dokoła.

— Niemen i Wilejka. Żebym tylko nie zapomniała. Wilejka i Niemen! Noc widna, przydałaby się odrobina cienia! Święty Antoni, aby mnie już teraz nie opuszczaj, bo tu już nie o mnie tylko idzie! Wytchnę sobie jeszcze! O, gorąco! Napraszałam się, dobrze mi tak! Kocia robota! Carramba! Takie skradanie się to mi nie po sercu, bo ludzie ludźmi, Austryaki Austryakami, a bies po nocy także sobie promenady odprawuje! No, rusz się! Bez mitręgi! Czy mi się zdaje?... Przysięgłabym, że to takiś dryblas austryacki wygląda ot tu, z poza kępy! Nie może być! Mówili — jeszcze jedna linia naszych placówek. Psa nie widać. Generałowi się zachciało. Powiedziałam: jest furtka, to jest. Jemu trzeba sprawdzenia, ale co mnie, to nie! Niechby sobie sam chodził na wypatrunki!... W imię Ojca i Syna! Co będzie, to będzie!

Baba odsapnęła ciężko, zacisnęła chustkę na głowie i zaczęła skradać się powoli, kierując się w stronę krzakami porosłej równiny.

— Tam sobie spocznę, żebym wiedziała jeszcze, czy to swój, czy nie swój! Musi austryacki piechur. Chłop taki, gdyby cesarskie grenadyery stały... myślałabym! Nie szkodzi, poczekaj, jak go dmuchnę przez łeb, zaraz do miary należytej dojdzie!

Markietanka zwolniła kroku. Sierp księżyca wyjrzał z poza baszt zamoyskich i obrzucił markietankę snopami biało-srebrzystych promieni.

Żubrowa aż przykucnęła do ziemi.

— Tego mu było potrzeba! Ciekawy! Zdaje mu się, że się na amory wybieram! Chmury na takiego niema!

Baba skuliła się i jęła pełznąć na czworakach. Przez czas jakiś posuwała się nawet dosyć szybko,

gdy w końcu niespodziewanie natrafiła na nielada przeszkodę.

Przed nią było płytkie wgłębienie, stanowiące koryto sztucznego zalewu. Nie było w niem wody, atoli resztki dżdżu przejęły ilasty grunt i pokryły go głębokimi słojami grząskiego błota.

Markietanka co chwila zapadała weń, napróżno szukając suchego kawałka ziemi. Po dwakroć zamoczyła się aż po ramiona i z największym wysiłkiem zdołała wydobyć się na płytsze miejsce trzęsawiska. Pot zimny wystąpił na czoło markietanki. Oślizgłe, rozbłyszczone światłem księżyca błota przejmowały ją lękiem, lecz mimo to krzepiła się i parła naprzód ku krzakom, z poza których wyglądał jakby skamieniały cień żołnierza.

W miarę posuwania się droga stawała się coraz cięższą. Błoto całemi warstwami przylegało do odzieży Żubrowej, utrudniając jej ruchy i jakby skuwając ją.

Po kilkunastominutowem szamotaniu się udało się markietance zbliżyć do krzaka i uchwycić się za pochylone nad błotem łodygi wikliny.

Baba wytężyła wszystkie siły, zawisła przez chwilę, wczepiona w krzaki i szarpnąwszy się z nadludzkim wysiłkiem, wydostała się na twardy brzeg.

Przy tem zmaganiu się wiklina raz i drugi zachrzęściała zdradziecko. Baba ledwie zdołała odsapnąć, i z błota się otrząsnąć, gdy wtem tuż nad swoją głową posłyszała gromkie zawołanie:

— Kto idzie?

Na dźwięk tego głosu serce jakby zamarło w piersiach markietanki. Chciała coś odpowiedzieć, chciała dać odzew, którego ją nauczono. lecz tylko w oczach jej pociemniało, a ze ściśniętego gardła dobył się przeciągły chrobot.

Krzaki wikliny jęły rozsuwać się z hałasem. Tuż przed Żubrową wyrosła niby z pod ziemi olbrzymia postać żołnierza.

— Kto idzie? — huknął ten sam głos, tym razem ostrzej, groźniej.

Baba, wpół rozpłaszczona jeszcze na ziemi, zatrzęsła się całem ciałem i po chwili pasowania, ze wzruszenia ryknęła:

— Jezu!...

Żołnierz, który był trzymał karabin pochylony jakby do strzału, zadrżał. Przez długą chwilę panowało milczenie. Aż żołnierz całą piersią zaczerpnął powietrza i wyrzucił gwałtownie:

— Jasia!... Bo... bo strzelę!!...

Markietanka w jednej chwili odzyskała przytomność, zerwała się na równe nogi i jęknęła, rzucając się na szyję żołnierzowi.

— Macieju! Rany Boskie!

— Cicho Jasia.. nie gadaj! — mruczał stary Żubr, trzęsąc się jak listek.

— Święty Antoni! Gdzieżeś się podziewał?!...

— O nie gadaj! Służba!

— Stary, cóż ty będziesz rodzoną żonę służbą straszył?! Równaj się, psia noga, dawaj gęby. Tfy, skaranie Boskie z tym chłopem! Myślałam, że go tam gdzie zatłukli, a on ci tu jak z pod ziemi wyrasta!

— Jasia! Cicho... placówka!

— Macieju! Znaj uszanowanie!

— Strzelać muszę — bąknął Żubr.

Babie łzy rzęsiste trysnęły z oczu.

— Strzelać?! Ty mnie!? Zwaryował!

— Jasia, nie mogę! — bronił się stary legionista — niema hasła! służba!!...

Baba odskoczyła od męża, dmuchnęła w garście i palnęła go z dwóch stron, wołając:

— Oto masz Niemen, a tu Wilejkę! Naści hasło!...

— Według rozkazu — odpowiedział Żubr.

Markietanka chciała rozpocząć dalszą indagacyę, gdy wtem od strony obozu polskiego nadszedł ront obchodowy, zwabiony odgłosem małżeńskiej rozprawy.

— Co tu się dzieje? — zawołał dowodzący porucznik.

— Wszystko w porządku panie oficerze!

— A, to wy? Jakże, dostaliście się?

— Według rozkazu, panie poruczniku! Furtka musi być, bo była, a po drodze to i mój stary się znalazł!...

— Więc czego tu bałamucicie? Generał czeka, chodźcie za mną.

— Iść, to iść! Poczekaj stary, już ja cię stąd wyciągnę — odezwała się raźno markietanka, i udała się za rontem.

W drodze Żubrową ruszyło sumienie. Rozkazu nie spełniła, miała dotrzeć do murów, nie dotarła. A jeżeli generał jakąś wielką kalkulacyę wybudował na onej wiadomości?!...

Żubrowa westchnęła pobożnie.

— Święty Antoni! Aby mi wstydu nie narób! Aby już ten ostatni raz się zełgało, a od dziś aby jedną prawdą serdeczną żyć się deklaruję!

Pelletier ucieszył się bardzo widokiem markietanki.

— Jakże furtka?

— Jest, panie generale... tylko...

— Tylko co?...

— Tylko, że bezemnie to sam dyabeł do niej nie trafi...

— A to dlaczego?

— Bo, panie generale, szelmy Austryaki, jako mówiłam, założyli kamieniami, zasmarowali, że kto nie wie, ani rusz nie rozpozna.

— Tak, zapewne! Lecz gdzieżbym mógł jejmość wysłać, a jakby cię jaka kula dosięgła?

— Wielmożny generale! Toć bez urazy, moje grzeszne cielsko bitewnego gwizdania zwyczajne! Jak o największę łaskę się przymawiam, niechże mi pan generał pozwoli! Jakiem Muszyńska z domu, bodaj całą dywizyę doprowadzę.

— Więc dobrze, pójdziecie z piątą kolumną, którą szef Brzechwa prowadzi. Udacie się tam natychmiast. Za pół godziny rozpoczynamy szturm.

— Właśnie, bo, panie generale...

— Cóż takiego jeszcze?

— Bo... juści, jako się rzekło, jam zwyczajna, tylko coby mi raźniej było, gdyby tak mój stary mógł iść przy mnie.

— Co za stary?

— Długoby o tem mówić! Stary to juści mąż! Właśnie go tu znalazłam na pikiecie! Chłop mocny okrutnie! Niby mnie tam wszystko jedno, ale gdyby wielmożny generał pozwolił mojemu Maciejowi, byłoby mi i raźniej i pewniej!

Pelletier skinął przyzwalająco głową. Adjutant powiódł markietankę do stojącej w oddali kolumny i dał rozkaz wysłania do niej furyera Żubra ze zwinąć się mających placówek.

Głusza zaległa równiny dookoła Zamościa. Księżyc zsuwał się po niebieskiem sklepieniu i zapadał w dal horyzontu. Na murach fortecy snujące się cienie świadczyły, że pułkownik Pulszky czuwał, nie dowierzając złowróżebnej ciszy, w której tonęły obozowiska wojsk Księstwa Warszawskiego.

Pelletier z Kamińskim dosiedli koni. Ciche dźwięki trąbki rozległy się około namiotu dowódcy, a powtarzane przez rozstawionych na linii oblężniczej sygnalistów, wędrowały w mrokach nocy, zataczając kręgi około murów warowni.

Trąbki mówiły długo, aż naraz dźwięk ich zamarł w chrapliwej pobudce. Równocześnie prawie nad domami Lwowskiego przedmieścia, tulącego się do wałów i bastyonów Zamościa, ukazały się czerwone języki, skłębiły się, trysnęły snopami iskier i w szerokiej łunie pożaru rozpłynęły się na stropie niebieskim.

Pelletier palił przedmieście. Krwawa łuna w ponurych swych odblaskach ukazała Austryakom pięć czarnych kolumn, posuwających się ku Zamościowi.

Artylerya, porwana na nogi, stanęła z zapalonymi lontami, gotując się do krwawego powitania. Rezerwy piechoty zapadały w fosach, każdą piędź wału znacząc stalowymi grzebieniami bagnetów.

Kolumny szły. Pierwszą wiódł Hilary Krasiński, mając na czele grenadyerów drugiego pułku i wolty-

żerów pod pułkownikiem Kamińskim, niosących lasy drabin. Kolumna szła od strony Tarnogrodu, wprost na dwa podwójnym rzędem armat obsadzone bastyony.

Strzyżewski, szef szwadronu trzeciego pułku ułanów, prowadził trzy kompanie na furtkę Lubelską.

Suchodolski, major szóstego pułku piechoty, z saperami i pół batalionem woltyżerów parł wprost na bramą Szczebrzeszyńską.

Czwarta kolumna, złożona z samych grenadyerów batalionu drugiego, miała na swojem czele Stanisława Potockiego, pułkownika.

Nakoniec piąta, pod szefem Brzechwą, prócz spieszonych ułanów szóstego pułku i czwartej kompanii drugiego batalionu piechoty, miała trzy armaty pod Górskim Leonem i Romanem Sołtykiem. Przy tej kolumnie stanęli Pelletier i Kamiński ze sztabem, mając poza sobą dwa bataliony i jeden szwadron rezerwy.

Z tej strony szturm miał być najgorętszy. Tu Pelletier liczył, że dość będzie żołnierzom dopaść murów, aby ukrytą furtkę wyrąbać i do Zamościa się wedrzeć.

Górski z Sołtykiem rozpoczęli ostrzeliwanie Lwowskiej bramy.

Jeszcze echo pierwszych strzałów ubogiej bateryi nie przebrzmiało, gdy już z bastyonów czterdzieści sześć armat zionęło na kolumny, gradem żelaza zasypując płaszczyznę.

Kule austryackie przelatywały ponad głowami oddziałów, tonęły w błotach i trzęsawiskach, sięgały w dali rozrzuconych zagajników, darły pożogą trawione przedmieście, napełniały powietrze przeciągłym rykiem.

A kolumny szły.

Pulszky sam rzucił się na wały, a rozpoznawszy położenie bateryi Pelletiera, ku niej skierować kazał co tęższe haubice.

Brzechwa, przywitany teraz zajadlej — stanął.

Pulszkego nowa myśl tchnęła. Kolumna nieprzyjacielska, którą za najgroźniejszą uważał, była już

powstrzymywaną w pochodzie, gdy równocześnie z przeciwnej strony fortecy, od Lublina, zgiełk się wzmagał! Więc tam musiały być główne siły nieprzyjacielskie, a tu może atak fałszywy.

Pulszky zoryentował się w sytuacyi. Bębny austryackie zadygotały gwałtownie. Lawety forteczne odwróciły swe paszcze, kanonierzy rzucili się do celów, na głowę oddziału Strzyżewskiego spadł deszcz ognia i żelaza. Brzechwa ruszył teraz podwójnym krokiem.

Na przedzie skradała się piechota, posuwając przed sobą wielkie kosze i pęki faszyny i rażąc z poza nich nieprzyjaciela, za piechotą ułani wlekli drabiny. Kolumna posuwała się wolno, każdy krok okupując krwią.

Zaledwie pierwsze salwy austryackie zmieszać zdołały czworobok Strzyżewskiego, gdy już Pulszky dojrzał wdzierających się na pierwsze okopy szwoleżerów Krasińskiego.

Nowy rozkaz.

Austryacy rzucili się ku zagrożonym okopom, gdy znów odgłos trwogi doszedł ich od bramy Szczebrzeszyńskiej, którą rąbać zaczęli saperzy Suchodolskiego.

Bój zawrzał na całej linii. Kolumny rzucały się na mury, szamotały zaciekle, odpływały zmieszane, potargane i zwołane przez bębny a trąbki, do nowego gotowały się ataku.

Grenadyerzy Stanisława Potockiego szli murem na bastyon pod bramą lubelską, broniony przez majora von Windischgrätz. Major miał dwie baterye i dwa bataliony strzelców. Po trzykroć zdołał zachwiać kolumną, lecz Potocki nie ustępował, bo kapitanowie Grotowski, Junge, i Słupecki z karabinami w ręku szli naprzód, rwąc za sobą żołnierzy. Strzelcy austryaccy dziesiątkowali grenadyerów.

A gdy ci już pierwsze zdołali przebyć okopy, miażdżyli ich zwalanymi z murów belkami i kamieniami. Kapitan Hiż legł rozszarpany kartaczem. Porucznicy Klimkiewicz, Burakowski i Gzowski padli,

ciężkie odebrawszy rany, sierżant Jędrzejowski, zwalony z drabiny kłodą drzewa pławił się we krwi.

Walka wrzała coraz zaciętsza. Armaty, nie mogąc dosięgnąć oblegających, którzy już pod ich paszczami wdzierali się na mury, milkły. Żołnierz poprawiał bagnet na karabinie, kanonier porzucał lont i sięgał do pałasza. Strzały traciły miarowość komendy. Głuchy chrzęst mocujących się z sobą ciał ludzkich szedł już od murów.

Kolumna Brzechwy, usłyszawszy strzały tyraljerskie, idące od strony Szczebrzeszyna, ruszyła teraz podwójnym krokiem.

Brzechwa szedł na przedzie, obok niego Błędowski, a tuż za nim markietanka ze starym Żubrem i dwoma przydanymi jej żołnierzami.

Baba szła zamaszyście, co chwila zwracając się ku mężowi, dźwigającemu drabinę.

— Idź, stary! — mruczała — mnie się pilnuj i patrz, carramba! Jak my teraz tym śmietankowym mundurom za skórę nie trafimy, tfy! bodajbym w złą godzinę nie wymówiła, to przepadlibyśmy z kretesem.

— Równaj się. Trzymaj krok! — upominał dowodzący szef szwadronu.

— Trzymaj krok! Do milion dyabłów! — strofował idący na prawem skrzydle szeregu kapitan Krasnodębski.

— Ułanom, sacrébleu! niesporo na piechotę! — zauważyła Żubrowa. — Nie leźć tam. Broń w garści! Patrz przed się! Zważać pierwszy okop... Naprzód za mną! Plują nicponie! Kiwnijże się, stary, bo ci ten łeb wystrzelisty zmiotą.

Stojący na murach strzelcy salwami karabinowemi jęli razić kolumnę. Brzechwa rzucił się w fosę. Bębny warknęły zajadlej. Fala żołnierzy już dosięgała pierwszych okopów.

— Żubrowa! — huczał teraz szef Brzechwa — gdzie furtka? Prowadź do furtki! Błędowski, bierz pluton, idź z nią!

Markietance w oczach pociemniało, spojrzała ku szczytom piętrzących się bastyonów i drgnęła. Myśl

straszna wstrząsnęła jej mózgiem. Do furtki nie trafi, cały oddział wyda na strzały zabójcze Austryaków.

Rozkaz Brzechwy już spełniono. Błędowski wyrwał z szeregu pluton, stanął za markietanką i wołał chrapliwie:

— Prowadź, waćpani! Rusz się do czarta!

— Według rozkazu! — huczał stary Żubr.

— Prowadź! — pienił się już z gniewu Brzechwa, widząc, jak oddział w ogniu nieprzyjacielskim topnieje, ginie.

Baba posiniała, w oczach jej jakieś rozpaczliwe iskry błysnęły, wyrwała karabin stojącemu obok niej żołnierzowi i ryknęła!

— Za mną, trznadle, smyki i żółtodzioby, sacrébleu, carramba! Stary, ciągnij drabinę! Trzymać się mnie, do stu tysięcy par dyabłów! Święty Antoni, ma we mnie która trafić, to byle odrazu, Macieju, wlecz drabinę i pluj w garście!...

Pluton ruszył bezładnym kłusem ku murom. Trzech ułanów padło, zanim Żubrowa zdołała stanąć pod bastyonem.

— Dawajcie drabiny — wołała markietanka.

— Zwaryowaliście! Precz z drabinami! Do furtki prowadź! — upominał Błędowski.

— Właśnie do furtki, sacrébleu! Słuchać, jeden z drugim, bo łby poukręcam! Stary, drabina!

Adjutant zębami zgrzytał, nie mogąc zrozumieć zarządzeń markietanki. Nie czas było na rozprawy. Żubrowa swym głosem zajadłym jakby zaklęła żołnierzy plutonu. Mimo strzały rzęsiste i mimo tryskającą z ułańskich mundurów krew sztukowano z gorączkowym pośpiechem drabiny, wiązano je postronkami.

Błędowski nie posiadał się z rozpaczy: jeszcze chwila, a strzelcy austryaccy wybiją pluton co do nogi.

— Gdzie furtka, do pioruna?! — wołał znów adjutant.

— Zaraz będzie! Stary, trzymaj drabinę!

Baba przeżegnała się, chwasty u płaszcza zasupłała na ręku i jęła się piąć ku górze.

Drabina kołysała się pod ciężarem markietanki, gięła się, łamała w wiązaniach, a trzęsła tak, jakby lada chwila w drzazgi się miała rozprysnąć. Żubrowa z zapartym oddechem, z zaciśniętemi usty darła się na bastyon, krwawym wzrokiem śledząc rysujące się cienie piechoty austryackiej. A piechota autryacka stała zimna, zadufana, pilnie strzegąca głosu komendy, wyrzucająca co chwila chmury żelaza. Nieprzyjaciel w odległości trzystu kroków za pierwszymi wałami krył się a chował za faszyną. Z tej strony szturmu jeszcze nie było i być nie mogło. Piechota austryacka szukała dalekich celów, ledwie kilkanaście kul wysyłając ku tarmoszącej się u stóp bastyonu gromadzie.

Żubrowa skradała się, na chwilę nie ustając. Zawadzał jej karabin, plątał się pałasz, gięły a pękały szczeble. Żubrowa pięła się. Już była tak wysoko, że odróżniła złote obszlegi u munduru austryackiego porucznika. Zaledwie kilkanaście szczebli dzieliło ją od szczytu bastyonu.

Markietance krew uderzyła do głowy. Jeszcze jedno okamgnienie, a postrzegą ją, naszpikują kulami i zrzucą.

— Bodaj was połamało! A niedoczekanie! Chociaż jednego, a płatnąć muszę! Jakiem Muszyńska z domu! Sacrébleu, niema śmiechu! Święty Antoni, jeżeli mnie teraz nie wesprzesz, to bodaj do Belzebuba... tfy! żeby nie wymówić...

Baba była u wierzchu drabiny. Już chciała rękę wyciągnąć, aby za załam muru się chwycić, gdy wspomniała, że od plutonu jest odciętą, że ją jedną mogą roznieść na bagnetach. Markietanka zawahała się, gdy wtem w oczach stojącego ponad jej głową żołnierza w blasku karabinowego ognia dostrzegła nieme przerażenie.

Cofać się było za późno. Baba zwróciła głowę ku ziemi i rzuciła przeraźliwym szeptem:

— Macieju! Rany Boskie, właź za mną!

Drabina zatrzeszczała u dołu. Żubrowa wyciągnęła rękę, wpiła się palcami w zmurszałą powierzchnię bastyonu, a natężywszy muskuły, podrzuciła się

gwałtownie i wpół zawisła na murze. Ciało markietanki szamotało się, szukało równowagi aż, zdoławszy znaleźć zaparcie na wystającej galeryjce bastyonu, targnęło się silniej.

— Za mną, żółtodzioby! Tu jest furtka, sacrébleu, carramba! — huknęła gromko markietanka i ze ściśniętym karabinem wpadła na stojących na murach strzelców.

Zanim Austryacy zdołali otrząsnąć się z osłupienia, jakiem ich przejęło niespodziewane ukazanie się baby, to już kilku zdołała powalić i zmieszać najbliżej stojącą linię. Zgiełk i popłoch powstał na murach. Cienie nocy mnożyły postać markietanki. W imaginacyi austryackich żołnierzy baba urastała na oddział, oddział na batalion, batalion na pułk, pułk na dywizyę.

Kilku bliżej stojących strzelców pochyliło karabiny ku Żubrowej i błysnęło bagnetami. Markietanka, widząc ku sobie wysunięte żądła, ujęła swój karabin za lufę i jakby cepem młócić zaczęła na lewo i prawo, wołając głosem chrapliwym:

— Za mną smyki, jest furtka, niech żyje cesarz, precz, białe króliki! Kości poprzetrącam! Dobrze ci, szczygle, carrambą, Macieju, a drap się do stu par dyabłów! Do mnie! Bij! Święty Antoni, takie to cherlawe rękę wyciąga! Masz, pokrako, niech cię święta ziemia nie nosi! Stary, niech żyje cesarz!

— Jasia! Według rozkazu — huknął już głos starego legionisty, a w ślad za nim rozległ się łomot ponury w skotłowanej gromadzie Austryaków.

Szedł Żubr, trzymając w rękach wielki drąg i zataczając dokoła krwawe kręgi, szedł niby kosiarz bujnym łanem i wycinał złowrogie polany.

Napróżno dowodzący oddziałem oficerowie w zmieszanych szeregach chcieli ład zaprowadzać: głos komendy ginął, okrzyki zgrozy, jęki ranionych głuszyły nawet nerwowe odezwy trąbek i bębnów. Żołnierz wpół przytomny sięgał do karabinu i strzelał naoślep nie bacząc, że swego zabija towarzysza. Tymczasem

za Żubrem, porwany zawołaniem markietanki, wdarł się adjutant Błędowski z resztą ułanów.

I skoczył na pomoc słabnącym już Żubrom.

Szef Brzechwa stał w okopach, oczekując rychło furta wyrąbaną będzie, aby z całym oddziałem ruszyć na nieprzyjaciela, a tymczasem zataczać kazał dwie armaty dla poparcia szturmu. Pluton zniknął w mrokach nocy. Strzelcy austryaccy razili. Brzechwa niecierpliwił się i klął. Długie chwile płynęły. Strzały na bastyonie umilkły, zgiełk głuchy spływał z murów ku równinie. Brzechwa wysłał podporucznika Budzyńskiego ze świeżym plutonem, aby sprawdził, co się dzieje z Błędowskim i markietanką. Budzyński ruszył naprzód. Po kilkunastu minutach nadbiegł wysłany przez niego ułan.

— Pułkowniku! — zaraportował. — Nasi w Zamościu!

Brzechwa nie słuchał dalszych relacyi, skinął na sygnalistów. Pobudki zagrały. Kolumna rzuciła się ku murom. Czas był po temu największy. Żubrowa, Żubr, adjutant Błędowski i ułani walczyli jak lwy. Mimo atoli popłochu wznieconego groziło im wielkie niebezpieczeństwo. Kapitan von Kolbe zoryentował się bowiem w położeniu i, zebrawszy dwie kompanie piechoty, natarł śmiało na Błędowskiego. Sierżant Faliński i kapral Kącki padli, osłaniając adjutanta. Żubrowa, potrzaskawszy karabin, uchwyciła teraz za pałasz. Legionista następował przy boku żony. Austryacy wygięli linię i już zatoczyli półkole, aby zagarnąć śmiałków.

Gdy wtem, ponad zębami bastyonu ukazał się kapitan Krasnodębski z szaserami drugiego pułku.

— Naprzód smyki! — huczała znów markietanka. — Naprzód, grzmoć królików, carramba!!

— Jasia! Nie gadaj! — wołał Żubr.

Austryacy jeszcze próbowali stawić opór — daremnie. Za Krasnodębskim darł się Brzechwa; porucznicy Tomson, Jelski prowadzili ułanów. Żołnierze natarli na Austryaków, złamali i rozproszyli. Tu i ów-

dzie w załamach bastyonu pojedyńcze gromadki kupiły się i zachęcane przez oficerów, ucierały się jeszcze.

Siły Austryaków słabły. Okrzyki, wołające o pardon, z początku drżące, niepewne, brzmiały coraz silniej, coraz rozpaczliwiej. Walka zamieniła się w rozbrajanie żołnierza, spędzanie niewolników. Brzechwa natychmiast nad pojmanymi kazał zaciągnąć straże i opatrywać każdy zakamarek bastyonu, spodziewając się nadejścia odsieczy. Jedna tylko markietanka z mężem i garścią walczących około niej ułanów, nie zważając na sygnały, zwołujące na zbór, ani na głosy komendy, rwała naprzód, a nie znajdując na swej drodze oporu, pędziła wprost na rynek zamoyski.

Inny zgoła przebieg szturmu był od strony, skąd prowadził Hilary Krasiński. Tam kapitanowie Daine, Słupecki i Grotowski po trzykroć wiedli do szturmu, po trzykroć armaty austryackie zmusiły ich do odstąpienia, aż za czwartym razem Daine z porucznikiem Wężykiem pierwsi wdarli się na mury, pociągnęli za sobą grenadyerów i wpadli na armaty. Godzinę z górą trwało szamotanie się z kanonierami i woltyżerami. Natarcia były tak szybkie, tak gwałtowne, tak piorunowe, iż żołnierz nie miał czasu broni do oka podnieść. Pryskały stalowe igły bagnetów, trzaskały kolby. Były chwile, że walczono złomami kling i głowni, że walczono na pięście. Podporucznik Remiszewski legł, kaprale Wiśniewski i Kantycki padli na lawetach armat, dobosz Miaskowski śród największego zamętu bitewnego skoczył na armatę, rozsiadł się na lawecie i bębnił szturm.

Mimo zajadłe natarcia, mimo bohaterstwa żołnierzy i oficerów, mimo że bateryę w ręcznej rozprawie udziału brać nie mogły, Austryacy nie ustępowali. Dowódca fortecy, pułkownik Pulszky, sam wiódł do boju, sam ład zaprowadzał, sam walczył. Kiedy Austryacy zaczęli upadać na siłach, Pulszky dał rozkaz stojącym w pobliżu rezerwom. Trzy kompanie grenadyerów ruszyły ociężałym krokiem.

Pulszky szedł na ich czele, zachęcał słowami, do natarcia wzywał. Lecz, o dziwo, groźne postawą od-

działy w ponurem milczeniu przyjmowały zawołania dowódcy. Na jasnych ich obliczach jakaś niemoc, jakaś rozterka osiadły. Grenadyerzy szli wpółsenni. Aż gdy ujrzeli przed sobą kaszkiety nieprzyjacielskie a sztandary Księstwa, oczy ich zadrgały życiem i ogniem. I naraz, jakby jedną myślą tknięci, ścisnęli karabiny i bez komendy, bez wezwania runęły szczątki piechoty austryackiej...

— Niech żyje cesarz! — zawołały szeregi Krasińskiego.

Natarcie grenadyerów piorunujący sprawiło skutek. Pulszky chciał zginąć śmiercią mężnych, lecz raniony cięciem pałasza przez Daine'a, został pochwycony. Okrzyk zgrozy rozległ się w resztkach szeregów austryackich. Rzucono broń pod stopy zwycięzców, Białe płachty powiewać zaczęły, a błagalne wezwania rozlegały się zewsząd. Kapitan Słupecki runął naprzód ze swoim oddziałem i jął wywalać bramy Szczebrzeszyńską, a potem Lubelską. Wojska ze wszech stron darły się już teraz do fortecy, zagarniając tysiące niewolnika.

Pelletier i Kamiński, którzy byli w oddali śledzili przebieg bitwy, ruszyli ze sztabem do bramy Szczebrzeszyńskiej, a połączywszy się z oddziałem Hilarego Krasińskiego, ciągnęli wprost na rynek zamoyski.

Wkraczających zwycięzców witały radosne okrzyki mieszkańców Zamościa.

Całe gromady Galicyan w austryackich mundurach deklarowały swoje przystąpienie do szeregów Księstwa. Atoli w strzelnicach, kazamatach, koszarach rozlegały się jeszcze pojedyńcze wystrzały, świadczące, że wśród żołnierzy austryackich mężne serca wolały śmierć przenieść nad niewolę.

Pelletier ostrożnie postępował ku rynkowi, obawiając się, że na odwachu natrafić może na liczniejszy oddział wojska.

Jakoż przeczucia go nie zawiodły. Idąca w awangardzie kompania piechoty sygnalizowała, że odwach obsadzony jest silnie przez nieprzyjaciół. Nakazano

więc ruchy obchodowe, aby odwach ze wszystkich stron otoczyć i tem samem do poddania zmusić.

Po kilkunastu minutach postoju bębny w ulicach Zamościa warknęły przeciągle. Pelletier z Kamińskim stanęli na czele grenadyerów i postępowali ku rynkowi, aby obecnością swoją zapobiedz rozlewowi krwi. Jakież atoli było zdziwienie generałów, gdy ponad odwachem austryackim ujrzeli unoszący się sztandar Księstwa Warszawskiego z pozłocistym orłem cesarskim na wierzchu! Pelletier nie zdążył jeszcze zapytać, gdy od strony odwachu rozległ się przeciągły warkot bębna, w ślad za którym wysypała się warta i stanęła w szeregu.

Kamiński rzucił okiem i zawołał w zdumieniu:

— Toż nasi ułani! — Pelletier spiął konia i ruszył naprzód ku odwachowi, pociągając za sobą generała Kamińskiego ze sztabem i adjutantami.

— Ba-a-a...czność! — dał się słyszeć donośny głos komendy. Żołnierze sprezentowali broń. Pelletier zdarł konia.

Oczom jego dziwny przedstawił się widok. Dwudziestu kilku żołnierzy prężyło się przed generałem w dwa uszykowane szeregi. Żołnierze o twarzach zczerniałych od prochu, w mundurach zbryzganych krwią. Dziwna to była warta: z prawej strony ośmiu ułanów uzbrojonych w austryackie karabiny, w środku dwóch woltyżerów drugiego pułku piechoty, czterech grenadyerów, a dalej kilkunastu żołnierzy w austryackich, białych mundurach a polskich kaszkietach. Na prawem skrzydle prężył się wielki chłop w uniformie furyera piechoty. Przed frontem stała baba spowita chustami, salutując wielkim dragońskim pałaszem.

Pelletier podjechał ku odwachowi i rzucił z podziwem:

— A wy tu co robicie?

— Nic, panie generale! po wypędzeniu Austryaków zaciągnęliśmy wartę — odparła raźno baba.

— Co? kiedy!? jak!?

— Będzie temu dobra godzina.

Pelletier spojrzał na zasmoloną twarz baby i zapytał:

— A wy co za jedni?

— Joanna Żubr, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu, czasowo ordynans jaśnie wielmożnego generała Pelletiera, a od godziny w zastępstwie rannego adjutanta Błędowskiego, porucznikująca temu oddziałowi, żal się Boże, z prawa starszeństwa!...

Pelletier aż się na siodle pochylił ze zdumienia.

— Wy! wy! — powtarzał — więc odnaleźliście furtkę! Dzielnieście się spisali, a myślałem, żeście nie zdążyli! Gdzie szef Brzechwa?!

Z pośród zjeżdżających się oficerów wysunął się szef szóstego szwadronu.

— Generale?

— Mości pułkowniku, zdasz mi raport o zasługach, położonych przez tę dzielną markietankę! Tymczasem przyjmij pozdrowienia! Twój oddział zdołał uprzedzić wszystkich!

— Nie, generale! Atak mój był równoczesny!

— Więc skądże się tu wzięła markietanka? nie zdążyliście dotrzeć do furtki?!

— Owszem generale! Tylko ta jejmość wypłatała nam figla! Jej furtka była na szczycie bastyonu!...

— Nie rozumiem!

— Pierwsza wdarła się na mury i pociągnęła za sobą pluton Błędowskiego!

Pelletier zwrócił się ku markietance, która stała wyprostowana z twarzą rozczerwienioną, wciąż salutując pałaszem. Generał wyciągnął rękę ku Żubrowej.

— Imieniem całego wojska dziękuję ci i pozdrawiam! Zanim wódz naczelny wyda stosowne rozkazy, ja, mocą przezeń nadaną, mianuję cię porucznikiem!

Pelletier skinął. Bębny zawarczały długo, uroczyście, generał uścisnął szeroką prawicę markietanki.

Żubrowa zbladła. Oczy jej mgłą zaszły. Na twarzy sine ukazały się plamy. Chciała coś rzec, coś od-

powiedzieć na podziękę, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Pierś wezbrała głuchem łkaniem.

Szeregowcy warty stali jakby w ziemię wrośli, wpatrzeni w niezgrabną postać tej, która im przewodziła. Tylko na prawem skrzydle wyniosła kita na kaszkiecie furyera chwiała się coraz silniej. Z ócz starego legionisty łzy rzęsiste trysnęły.

Nowomianowany porucznik pasował się jeszcze ze wzruszeniem, aż nagle odrzucił pałasz i runął w objęcia furyera.

— Macieju! — łkała Żubrowa — trzymaj, bo mnie rozerwie!

— Nic! Nic! Jasia! — bąkał legionista.

Długa upłynęła chwila, zanim Żubrowie odzyskali panowanie nad sobą. Pierwszy otrząsnął się furyer.

— Jasia! — szepnął cicho — uważasz, nie uchodzi! Porucznik z furyerem!?...

Baba uśmiechnęła się przez łzy.

— Stary, sacrebleu! Teraz, psia noga, mores znaj! Równaj się!

Żubr wyprężył się, aż mu lederwerki zatrzeszczały na piersiach i huknął basem:

— Według rozkazu, panie poruczniku!

Żubrowa wytarła z trzaskiem nos, zaciągnęła pasa od szabli, i rozejrzała się po swojej komendzie, ku której naciągnęła już kompania piechoty dla objęcia warty.

— Baczność! — zawołała znów markietanka, wykonywując ustanowione zwroty.

Oficer, prowadzący nową wartę, salutował porucznika w spódnicy, wysłuchał raportu o tem, że na ławie w kordegardzie leży adjutant Błędowski, postrzelony w nogę i że warto mu świeży okład z zimnej wody nałożyć, i przy dźwiękach bębna zajął odwach. Baba wyprowadziła swój oddział na plac i zwróciła się do szefa Brzechwy, żądając dalszych rozkazów.

Tyle przytem w obliczu nowomianowanego porucznika było zaufania a rozmachu oficerskiego, że

aż to w podziw wprowadziło przytomnych. We wszystkich obrotach Żubrowa ani na włos nie chybiła, jakby pół życia spędziła w szeregu. Jedna tylko w zachowaniu się jej była osobliwość, bo gdy ruszyć jej kazano na Lwowską ulicę, kędy oddział Brzechwy miał wyznaczony spoczynek, wówczas porucznik z niezwykłym impetem, prawie że w takt marsza rozpoczął sążnistą perorę.

— Równo! Równo! Pierś naprzód! Ślepiami nie kręć. Ty, o tam z lewej, sucharze austryacki! Sacrébleu! carramba! Dobrałam sobie kompanię, jakby do sadzenia pietruszki! Mocniej stąpaj! Raz dwa! Za mną... Za mną!!

W tem miejscu wzrok porucznika padł na idącego tuż obok niej furyera.

Żubr szedł wyprostowany jak struna, niby na cesarskiej paradzie, nogi prężył a z zaciętym impetem stawiał. Równocześnie w marsowo nasrożonych łukach brwi gorzała jakaś duma, szczęście.

Żubrowa zerknęła raz i drugi, westchnęła głęboko, a potem huknęła z mocą:

— Raz, dwa, trzymaj krok!

Tylko, w tem mocnem zawołaniu jakby roztkliwienie przebijać się zaczęło.

Po roztasowaniu się na kwaterach, markietanka wzięła męża na spytki, zasypując go potokiem pytań, gdzie przez tyle czasów się podziewał. Ale ze starym legionistą dogadać się było trudno; głową trząsł, a z ust jego dobywały się pojedyńcze wyrazy. Daremnie baba pieniła się a gorzkimi wyrzutami zasypywała męża.

— Jasia, nie gadaj! — mruczał pokornie Żubr.

— Nie gadaj, nie gadaj! Święty Antoni, a toż mój stary zgłupiał z kretesem, co ja z nim poradzę? Zawszeć miał głowę do niczego! Ale co teraz, sacrébleu, to rozstąp się ziemio! Gadajże, gdzieżeś się włóczył!? Tak to rodzonej żony pilnujesz? Mówże nareszcie!...

— Według rozkazu!...

— Będziesz ty mi gadał?!

— Jasia... nie gadaj... Prusacy... potem. Friedland, no a potem Waśka...

— Jakaż znów Waśka?...

— No Waśka — powtarzał Żubr — tak i Waśka, no i chodziliśmy, gdzie się zdarzyło, a potem.. pod Częstochowę... i... kapitan Wosiński, no i Raszyn a za Raszynem zaraz Góra... i... i... Zamość!

Żubrowa pięści zaciskała a łamała ręce, lecz nic nad to z męża wydobyć nie mogła. Legionista głuchym był na przełożenia, na opisy niepokojów, które ona przeżyła, na biedę a nędzę przebytą... Z osłupiałem uwielbieniem poglądał na twarz żony, a z ust wyrywał mu się co chwila szept cichy:

— Porucznik!...

Żubrową aż ta flegma oburzyła.

— Macieju, capem byłeś i capem zostaniesz! Głupstwom zrobiła, bo kiedy mi się jeden Hiszpan carramba oświadczał, albo i ten woltyżer pod Saragossą, co z amorów wielkich żenić się chciał, zgoła, trzeba było na dudka cię wystrychnąć! Miałoby się i męża z głową do rzeczy, a kto wie, dzieci już ze troje.

— Jasia, a dzieci?!

— Jakie dzieci?!

— Nasze dzieci!

Markietanka splunęła z irytacyą.

— O chłopy, chłopy zatracone! w głowach im świergoli! Co tu długo gadać, zachciało się porucznikowi czarnuchy hiszpańskiej, no i rzucił panią kapitanową.

Żubr pokręcił niedowierzająco głową. Baba skoczyła ku niemu z pasyą.

— I cóż ty mi tak kiwasz?!... powiedziałam, że rzucił, to i koniec!...

Legionista wydął policzki i wyjąkał z namaszczeniem:

— Pan porucznik?...

— I cóż ci to tak wielkiego porucznik! A ja to czem jestem?!... Juści był sobie... żal wspominać!? No i co?!... Lepiej nie tykać! Chłopczyna taki choć

go łyżką jedz! I co?... Już się tam to czarne dyabelstwo pewno do tego frykasu przypięło, że jeno patrzeć, a przyjdzie na świat pokraka! Półszwoleżer, półhiszpan, półlegionista, półbakalia! Ni pies, ni wydra! Ani do bigosu, ani do pomidorów!... Kapusta będzie mu za kwaśną, a migdał za słodki. Dwie nacye wnętrze mu wzburzą, bo juści gil z przepiórką, szczygieł z głuszcem, ani pućka z dzięciołem nie wiele się dochować potrafią! Widzisz, stary, naści zamysły! Naści dzieci!... Pociecha sacrebleu!...

Żubr chciał coś odpowiedzieć, lecz baba porwała się z miejsca i zakrzyknęła z przestrachem:

— Macieju! A toć i dzień szczery się zrobił!... A ty nic!? Rozpuściłeś gębę, z Zamościa do Hiszpanii, a pani kapitanowa czeka?! A o przepytaniu się o moją stryjeczną nic nie myślisz?! Mam pociechę!... Mam wyrękę!... Ruszajże się!... Bo jakiem Muszyńska z domu... na odwach zasadzę!...

— Według rozkazu!...

Baba wybiegła żwawo na ulicę, za nią sunął legionista. Przez czas jakiś szli w milczeniu. Nagle z poza węgła wysunął się barczysty piechur i z oznakami ukontentowania dopadł starego legionisty. Żubrowa oburknęła się:

— Macieju! Będziesz mi tu marudził! Naprzód!...

— Jasia! — odezwał się błagalnie Żubr. — To... to... Waśka!...

Markietanka wykręciła się, zmierzyła żołnierza od stóp do głów i zagadnęła ostro:

— Coś za jeden!?... Gadaj jeden z drugim!...

— Waśka! — tłómaczył się legionista nieśmiało.

— Macieju! Chybaś rozum stracił!?... Co ty mi brzęczysz!... Carramba sacrèbleu... bo się nie strzymam!...

Żołnierz tymczasem mrugnął znacząco lewem okiem na Żubra i ozwał się śmiało:

— He he! Tak pozwólcie!... Waśka Ilariewicz!... A więc od batki zdaleka, on stary dobry!... Lada babie nie dam przystawać do niego!...

Żubrowa aż się zachwiała z irytacyi.

— Co ty? Komu ty!?... Mnie, rodzonej żonie!... Ladam baba!... Do stu fur beczek. carramba sacrébleu! Bierz go, stary!... Za obrazę oficera... sąd wojenny — kula!... Co sąd!... Ja cię tu sama nauczę!...

— Waśka! — jęknął błagalnie Żubr.

Żołnierz stropił się, cofnął i z uszanowaniem sięgnął ręką do kaszkietu.

— Darujcie!... Nie wiedziałem!... Wy, musi być Jasia... co batko wspominali!... Obadwaj wspominali dobrem słowem!...

Żubrowa natarła z kolei na męża.

— Skądżeś go wziął!?... — zagadnęła surowo męża.

— Z wody!!...

— Skąd?!...

— Tak pozwólcie!... Stary ot, dusza człowiek, lecz niemowny!...

— No no!... Pewnie...

— To było tak!... Byliśmy pod Friedlandem! Sławna bitwa!... Narodu zabitego pokotem wszędzie... Francuzi sypali ogniem, a my stali!... Co huknie, to tylko zmiecie!... Strach co mołodców padło!... My stali!... Sidor nawet nie poradził, a gefrajter, preobrażeniec zakamieniały!... Mnie wuj!... Kto jego wie, jak tam było!... Śmierć jedna została... Ja dostałem się do rzeki, przeprawiać się chciałem, trupy nie dały!... Morduję się, a one wloką do topieli... No wtenczas batko wyciągnął a opatrzył!... Dobry stary!... A potem chciał się prochami wysadzić, nu, tak go żałość zdjęła!...

— Czekaj, poganinie!...

— At, nie wspominajcie!... Rozmyślił!... Zostaliśmy sieroty!... Chciałem go do sioła prowadzić rodzonego!... Gdzie! Austryacy schwycili, w białe mundury wystroili i chodzić kazali. Pluł batko, ja plułem. Poprowadzili w pole i powiadają: wojna!... Komu wojna, a nam nie do wojny. Austryak nie kum!... Starego dręczyło i mnie także!... My w nogi pod Częstochowę!... Kapitan Wosiński dobry pan!... To i wszystko szczera prawda!... Złe słowo darujcie!...

— Hm! — mruknęła baba po namyśle. — Zobaczymy, może... cię wezmę do mojej komendy!...

Waśka spojrzał z zakłopotaniem na Żubrową i rzekł nieśmiało:

— Gdzie mnie!... Kiedyś człowiek około ojcowej chaty umiał chodzić, a co wodę nosić potrafił i drwa rąbać, a choć i kartofle skrobać... ale dziś!?...

— Dosyć!... Słuchać!... U mnie będziesz nosił karabin, rąbał pałaszem, a skrobał lederwerki, bo inaczej, sacrebleu carramba, niema żartów!...

— Niema żartów... według rozkazu!... — przytwierdził basem Żubr, spoglądając z tryumfem na osłupiałego Waśkę.

Żubrowa zawróciła z powagą ku chacie, w której była zostawiła Zośkę, mając za sobą męża z żołnierzem.

W drodze Waśka, maszerując za furyerem, odważył się zagadnąć szeptem:

— Stary... co ona?!...

— Nie gadaj... porucznik!... — odparł tymże tonem Żubr i pogrążył się cały w miarowem stawianiu kroków.

Zośka szczerze ucieszyła się z ostatnich wypadków — nie tyle może przypisując wagi do wysokiego odznaczenia markietanki, ile radując się odnalezieniu Żubra.

Po krótkiej gawędzie o wydarzeniach nocnych — udano się natychmiast na poszukiwania owych stryjecznych, a odnalazłszy ich, rozlokowano się w schludnych izdebkach pod pałacem.

Imć pan Chryzostom Dobrzański, kancelista ordynacki, przyjął Żubrów całem sercem, a co żona jego, pani Marcyanna, ledwie na miejscu usiedzieć mogła z nieustannej troski, aby gościom na niczem nie zbywało. Cichej kanceliścinie nieco dziwaczną się wydawała postać i zachowanie się krewnej, ale co pan Chryzostom — jeno palcami trzaskał z ukontentowania, słuchając wynurzeń markietanki. A były one tyle obfite, ile że nowa troska znów dokuczać zaczęła Zubrowej.

Znalazła męża, w Zamościu spocząć może, a potem?!... Co pocznie sama, ważniejsze, gdzie podzieje Zośkę? Prosta natura markietanki rozumiała, że ani dom kanceliściny, ani sadyba jaka w zaścianku drążkowo-szlacheckim to nie dla pułkownikówny... Z drugiej strony, wspomnienie o Floryanie spokoju jej nie dawało!... Myśl, iż musiałaby stracić z oczu ukochanego porucznika spokój jej burzyła. Teraz zaś z podwójną siłą gnębić ją jęła.

Po południu, gdy pierwsze rozmowy a poczęstunki minęły, Żubrowa wykiwała nieznacznie imć pana Chryzostoma do ustronnej izdebki i dalej żale swoje rozwodzić a o radę prosić.

Pan Chryzostom trząsł głową, trzaskał tabakierką, chrząkał znacząco — to i owo już wykoncypował, lecz do gustu markietance trafić nie mógł.

Kiedy tak rozprawiali — z oddali iść zaczął cichy, miarowy odgłos wojskowej kapeli. Z początku ledwie uchwytny, niewyraźny, zagłuszany gwarem ulicznym, aż stopniowo coraz dźwięczniejszy, pełniejszy. Za odgłosem tym zerwała się nagle burza okrzyków i zatrzęsła uliczkami Zamościa.

Żubrowa, a za nią pan Chryzostom rzucił się do okien. Markietanka spojrzała i aż w ręce klasnęła z ukontentowania.

Był to korpus księcia Józefa, nadciągający z Janowa. Lecz nie to taką uciechą napełniło Żubrową, jak widok jeźdźca zamaszystego w czerwonym kontuszu, który na czele dwóch szwadronów jechał na szpicy pochodowej kolumny. Jeźdźcem tym był imć pan Józef Podhorodeński z Pliszczyna, dawny mecenas trybunału lubelskiego.

Markietanka zeszła na dół, a stąd pobiegła naprzód dowiadywać się, kędy pan Podhorodeński kwateruje. Lecz niełatwo było doń dotrzeć — ile że nadciągające wojska zatarasowały ulicę, a nadto na rynku deputacye obywatelskie witały wodzów a podejmowały.

Żubrowa nie dała się atoli zbić z tropu. I tak zachodziła a kluczyła, że między sztab się wcisnąwszy, imć pana Józefa dopadła i pokłoniła mu się.

Pan Podhorodeński zajął się szczerze Żubrową, wysłuchał cierpliwie opowiadania i rzekł po namyśle:

— Ot, masz waćpani!... Statku było mało!... Wiem, wiem, jak to, niby hajdamaczki, uciekłyście z domu pana Bonawentury!... Cenię waćpani intencyę, ale samaś przyczyniła się do biedy powiększenia!... Hm!... Pannę Dziewanowską najlepiejby... do pani Gotartowskiej... krewną jej wypada! Chociaż kto wie... Trzebaby... się jej samej zapytać, co myśli, bo to, widzę, nie taka znów panna, coby się wodzić dała... Ba — tylko w tem sęk — kiedy!?... Jutro rano parada ma być, a potem ruszymy dalej, kto wie, co wypaść może!... Czekajcie — to ja chyba do was wieczorem wpadnę. Pannę uprzedźcie!... Chwili niema czasu!... Jutro, kto wie, gdzie wyciągnąć przyjdzie!...

Żubrowa powróciła uspokojona nieco do izdebek. Późnym wieczorem nadszedł pan Podhorodeński i, rzecz krótko zagaiwszy, natarł żywo na Zośkę. Dziewanowska zbywała go odpowiedziami, dopiero gdy pan Józef, sam na sam z nią zostawszy, silniej nalegać zaczął a całą grozę położenia przedstawiać — zmiękła nagle.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Żubrowa w przedsionku już drzemać zaczęła, kiedy nareszcie pan Podhorodeński wyszedł. Baba pobiegła za nim pytać. Mecenas był zasepiony.

— Cóż wam powiem!?... Źle jest i koniec.

— Wielmożny panie, aby nie opuszczaj!...

— Niema czego pod koszem chować — do klasztoru chce...

— Święty Antoni... do klasztoru?!

— Nie krzyczże asindźka a słuchaj!... Tłómaczyłem, wystawiałem... Zaparła się!... Sierotą jest — nikt jej tu zabraniać ani zezwalać nie może!...

— Paniusia moja, kapitanowa... mniszką... sacrébleu!...

— Cicho!... Takie ma postanowienie!... Lepiej pod wodę nie iść, może ją sama odwiedzie... Dostaniecie odemnie pisanie do Warszawy... do siostry Agnieszki... u panien Wizytek...

— Jezu!...

— Odwieźcie ją tam!... W liście rzecz całą wyłożę!... Mam nadzieję, że tam wpłynąć potrafią... a jeżeli nie — ha — widocznie przeznaczenie!... Tymczasem dla panny to bodaj najprzystojniejsze schronisko!... Czasy ciężkie! Wam starym łacno — lecz co na nią, to złe czyha wszędzie! Wojna! Dziś nasza górą w Zamościu, a za dni parę może znów Austryaki tu będą...

— Warszawa także przecież Austryakiem obsadzona!...

— Prawda! Lecz was puszczą — a jak raz dostaniecie się do klasztoru, to i siedzieć możecie.

— Dlaboga! Zmiłowania nademną nie było!!

— Bywajcie mi teraz! Na jutro rano rzecz całą wygotuję!... Może i do księcia trafię po sukurs!... Zobaczymy!...

Żubrowa wracała do izdebek zalterowana, przygnębiona, złamana. Odbiegła ją i fantazya, i żywość zwykła, i przytomność. Wszystkie myśli a projekty, jakie była sobie w głowie ułożyła, prysnęły nagle, rozwiały się...

Dnia następnego Zamość zbudziły raźne pobudki wojskowe.

Na rynku ustawiać się zaczęły oddziały, tworząc zwarte wstęgi około placyku przed kościołem, który przeciągłem biciem we dzwony wzywał Zamościan na niezwykłą uroczystość.

Za wojskiem nadciągali powoli co przedniejsi obywatele, sztabowcy, karmazynowi adjutanci księcia, generałowie. Dopiero gdy na placu stanął Poniatowski, błysnęły w słońcu stalowe ostrza bagnetów i pałaszy, a cisza uroczysta zaległa szeregi. Tylko kościół gorzał światłem, szmerem modlitwy drżał a rozbrzmiewał pieśnią... aż naraz gdy „Te Deum“ uderzyło o jego

sklepienie, zatrząsł się w posadach. Salwy armatnie wtórzyły hymnom

Książę Józef, mając przy swoim boku Pelletiera, generałów Sokolnickiego, Rożnieckiego i Kamińskiego, zwrócił się do ustawionych na prawo żołnierzy i oficerów, nad głowami których łopotały fałdy barwnych sztandarów.

Tu stali wszyscy ci, których męstwo rozstrzygnęło o zwycięstwie, a na froncie ich — Żubrowa...

Adjutanci czytali listę walecznych.

Książę rozdawał awanse, szlufy oficerskie, szewrony.

Gdy w ostatku wywołano Żubrową — baba zbladła.

Poniatowski zbliżył się do niej łaskawie.

— Mości poruczniku! — rzekł. — Godność, nadaną waćpani przez generała Pelletier, zatwierdzam! Drugi pułk piechoty jest dumny, że miał ją w swoich szeregach!... Da Bóg czas wojenny przeminie, a wówczas weźmiesz nagrodę należną twej zasłudze!... Teraz podaj mi rękę i przyjmij odemnie pamiątkę dzisiejszego dnia.

Poniatowski ujął łagodnie twardą dłoń markietanki, uścisnął i podał jej kosztowny sygnet. Żubrowa chciała dziękować, lecz cały rezon ją odbiegł.

Tymczasem otrąbiono rozejście się oddziałów i wypoczynek. Baba stała się przedmiotem gorących owacyj. Mimo oporu, zaciągnięto ją na zamek ordynacki, kędy stało zastawione śniadanie pochodowe dla księcia i świty.

Ukazanie się markietanki przyjęto okrzykami. Generał Hebdowski palnął z miejsca jędrną mówkę, amazońskie przypominając czyny. Prawił przy kieliszku i Kamiński; Suchodolski wysnuł całe poema, a w końcu porwał się do oracyi imć pan Podhorodeński mecenas, rozwijając całą swego trybunalskiego kunsztu przedniość, piękne zakreślając figury a Platonem, Wirgiliuszem, Homerem a Plutarchem niby z rękawa sypiąc.

Ochota wzrastała. Żubrowa wyzbywała się onieśmielenia i coraz większego nabierała rezonu, żwawo odpowiadając na trafne przymówki a broniąc się żarcikom.

Szczególniej następował na markietankę adjutant księcia, młody Nowicki, pokpiwając sobie z jej szarży i położonych zasług. Baba mimo uszu puszczała docinki, lecz kiedy Nowicki odezwał się, że szarawary powinnaby wdziać i choćby pół kompanii takich zebrać, to już ci nieprzyjaciel od samego widoku, z każdej pozycyi by rejterował.

Żubrowa odparła sucho:

— Jakbyś wiedział, mości panie adjutancie, bo gdyby takich lal złoconych, jak waszmość, było więcej, to pewno żołnierskie rzemiosło musiałoby się stać babskiem zajęciem!

Nowicki zmarszczył się i wycedził przez zęby:

— Niech się nie zapomina, do kogo mówi!

— Wcale słuszna racya! Przepomniałam, że waćpanu odpowiadać się nie powinno. Stoi przede wrotami ordynansowy gniadosz, to mu się waść pokłoń, akurat odwrócił się tyłem.

Nowicki zaciął zęby. Wybuch śmiechu powitał odpowiedź markietanki. Panowie Domański i Podhorodeński chcieli przemówienie załagodzić, czem Żubrową na dobre rozsierdzili.

— Co mi tam, mości panowie! Adjutant nie adjutant, lala powiedziałam i koniec! Zębów na sobie nikomu ostrzyć nie pozwolę! Smyk carramba. Za piecem u pani matki siedział, kiedy mnie tacy szanowali! Krzywda mu, to niech staje! Językiem to językiem, a jak potrzeba, to i szablą uraczyć potrafię... sacrebleu!...

— Wiwat Żubrowa!!... — zakrzyknięto dookoła.

— Wiwat, niech sobie będzie! Byle nie długi, bo jak się przypinać do kieliszków zaczniecie, to was Austryak ucapi.

— Dobrze mówi!

— Zuch baba!

Ochota wzmagała się coraz większa. Oficerowie jęli kupić się w gromadki. Szumlański i Kormenecki upatrywali już wolnego miejsca, gdzieby bank z faraonem rozłożyć i grę rozpocząć.

Generał Sokolnicki spostrzegł rozluźniające się węzły karności i zamienił kilka wyrazów z Poniatowskim.

Za oknami rozległy się dźwięki pobudek.

Sale gościnne jęły się opróżniać. Żubrowa ochłonęła i zawracała powoli ku drzwiom, lecz pan Podhorodeński zatrzymał ją.

— Tu macie pisanie do ksieni, tu zapasik na drogę!

— Gdzieżbym brać śmiała...

— No, no! Policzymy się! A teraz chodźcie ze mną jeszcze!

Pan Podhorodeński pociągnął markietankę ku Poniatowskiemu. Ten ostatni przystąpił do niej żywo i zaczął:

— Wiem, jakie sprawy wam ciążą. Jedźcie do Warszawy. Jest dla was list do pana Józefa Krasińskiego, a mąż wasz, czy chce wam towarzyszyć?

— Wasza książęca mość, czego tam mój stary chce, to nie wiem, ale co z nami, to iść musi, bo gdzie nam bezbronnym sierotom!

Poniatowski uśmiechnął się.

— Będzie zwolnionym! Ruszajcie z Bogiem. A jak się pierwsza okazya zdarzy, meldujcie się u mnie.

Tego samego jeszcze wieczora, z przed domu, w którym zamieszkiwał imć pan Chryzostom Dobrzański, ruszył wózek chłopski, uwożąc ze sobą Żubrów i Zośkę.

Stary legionista, znów w kubraku chłopskim, zajął miejsce woźnicy. Markietanka z pułkownikówną usadowiły się na sianie.

Wózek potoczył się w głuchem milczeniu. Ani Zośka, ani Żubrowa nie miały ochoty do gawędy.

Minęli mury a fosy zamoyskie, przesunęli się przez łańcuch rozstawionych straży, opowiedzieli się podjazdom i sunąć zaczęli falistym gościńcem lubelskim.

Noc rozścielała swój płaszcz ciemno-granatowy. Ostatnie błyski słoneczne rumieniły tylko rąbki obłoków na dalekim widnokręgu. Pustka z wyludnionych wiosek a opuszczonych pól wiać zaczęła.

O kilkanaście staj za Zamościem, w miejscu, gdzie szosa przepasywała swą biało-żółtą wstęgą olszowy zagajnik, ku toczącemu się wózkowi wyskoczył z poza drzew jakiś cień wysmukły.

Wpół drzemiąca Żubrowa zatrzęsła się, legionista szarpnął mimowolnie końmi.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Skaranie Boskie! Już się zaczyna! Kto idzie, do stu piorunów?

— Nic! Nie gniewajcie się, to ja, Waśka.

— Święty Antoni! Waśka, nicponiu jeden! A jakie licho aż tu ciebie przyniosło?

— Darujcie! Wy mieli jechać, mnie nie pozwolili z wami. Powiadali — służba! Jaka tam służba bez was! Tak i poszedłem i czekam!

— Wracaj mi zaraz! Bo cię na pierwszym posterunku za dezertera wydam!

— Wola wasza, jeżeli trzeba, wydajcie! A ja taki z wami pójdę.

— Jego właśnie brakowało!

— Żubrowa! — ujęła się Zośka. — Niech jedzie!

— Dla mnie wszystko jedno — oburknęła się markietanka. — A wieszże, ty zatraceńcze, że my do klasztoru jedziemy!? Uciekaj, bo i ciebie za łeb chwycą i do kapucynów zaraz wezmą.

Waśka wzruszył flegmatycznie ramionami.

— Wola wasza; był ja w grenadyerskiem, był w austryackiem, był w woltyżerskiem, tak można i w kapucyńskiem.

III.

I znów jesień nadeszła, jesień cicha, jasna. Jesień, która po krwawych zapasach niosła przymierze ludom, która koić chciała smutki, a w uśmiechu wiosennym zatrzeć ślady ponurego posiewu śmierci. Jesieni tej na imię było Wagram!

Więc Wagram podyktowało prawa, Wagram nowe ustanowiło granice, Wagram raz jeszcze zmusiło Europę do schylenia głowy przed hardym Korsykaninem, Wagram opromieniło orły cesarskie takim blaskiem, że im samym wzrok tępiał. Pod Wagram Napoleon powiedział znów światu dumnie: „Chcieliście, więc jestem".

Pod Wagram dzielny Lasalle rzekł: „Odchodzę za Lannesem"... Pod Wagram Oudinot, Marmont i Macdonald wzięli buławy marszałkowskie, okupione ranami tysięcy. Pod Wagram Bernadotte wpadł w niełaskę za zwątpienie o tem, że Lodi i Arcôle zawsze armię prowadzi do boju. Pod Wagram stopniały raz jeszcze knowania koalicyi. Pod Wagram arcyksiążę Jan własną piersią ocalił honor pokonanych żołnierzy. Pod Wagram trzydzieści pięć tysięcy ludzi legło, trzydzieści pięć tysięcy rodzin złożyło dziejom krwawą daninę.

Piękna była jesień roku 1809 — piękniejsza nad brzegami Wisły i Sanu niż nad Inem i Dunajem. Maleńkie księstewko, wyposażone w połać swej własności, spoczywało, garnąc się do nowej zapowiedzi pokoju i przemyśliwając o cichej pracy na zagrodzie.

Za tą wagramską jesienią szła zima mocna, dla pustych śpichlerzy groźna, dla zniszczonych wsi i miast surowa, zwiastująca niedostatek, nędzę, głód — lecz nie kłopotała się o te widma Warszawa.

Jesień brała za wiosnę i żyła odgłosami, obficie płynącymi stamtąd, kędy wówczas losy narodów się ważyły. Wśród obchodów napoleońskich tryumfów a zwycięskich rozpraw z Austryakami — ginęły słowa, które dotąd, mimo widome znaki bonapartowej łaski, nie zaprzestawały swego memento. Jesień była tak piękna! Słońce tyle ciepła niosło, jak gdyby krzepnące w mogiłach zwłoki zapamiętałych bojowników Napoleona do życia powołać chciało.

Białe ściany maleńkiego dworku pod Ujazdowem lśniły śród pożółkłych lip odświętnie, uroczyście. Dziwne ściany, dziwny dworek! Od czasu, jak go imć pan Chryzostom Jemiołkowski, dziad żyjącego pana Andrzeja, pobudował, a sam pan Andrzej na przenosiny z żoną swoją panią Barbarą, wybielił, nikt go ani ręką nie tknął.

Toż samo dachu poszycie mięsiste, nad zrębami brodate, ten sam ganeczek na słupkach wsparty a Bożą Męką w szczycie swym każdego witający, ten sam pieniek z kołkiem dla jezdnego gościa, taż sama podkowa na dobrych wróżb pozyskanie, nawet lipy też same, jeno w barach rozrosłe a silniej gałęziaste. Dziwny był dworek — osobliwie strzecha jego, która lata całe dźwigała w sobie kulę armatnią, podczas jakiejś okolicznej potyczki tu aż zabłąkaną.

Stąd dworek ten nazywano dworkiem pod „kulą“, stąd imć pan Andrzej wiele miał do opowiadania o czasach, które bodaj szwedzkiej potrzeby sięgały.

Co może ciekawsze, iż z ostatniej a tylko co odbytej kampanii austryackiej znów druga maruderkula przywędrowała i zmęczona snać daleką podróżą, ledwie zatrzęsła dworkiem i tuż przy pierwszej w poszycie się zaryła. I oto tkwiły sobie spokojnie te dwie kule — jedna brunatna, niezgrabnie wykrzywiona, kożuchem mchu okryta, a druga czarna, krągła równomiernie, jakby z arsenału dobyta.

Dziwniejsze jeszcze były ściany dworku. W dzień powszedni jakby bardziej do ziemi się chyliły, bardziej odsłaniały szczerby swoje a ledwie rysowały się śród gęstych zarośli — ale, gdy nadchodził dzień świąteczny, gdy pani Barbara rzuciła kilka garści piasku a ganeczek choiną ustroiła — to ściany dworku prostowały się a taką biły jasnością, że myślałbyś, imć pan Chryzostom z grobu wstał i gawędzi jeszcze z majsterkiem, który mu to schronisko ledwie co sklecił.

Na ganku przed dworkiem siedziała pani Andrzejowa, zasłuchana w opowiadanie krępej, przysadzistej baby.

Opowiadanie snać ciekawem być musiało, bo pani Andrzejowa chwiała z przejęciem głową, ręce rozkładała i szeptała, poprawiając osuwający się z głowy czepiec:

— Ani sobie imaginuję! Dworujesz asindźka!

Baba perzyła się, zapalała jeszcze więcej a coraz żywiej giestykulowała. W końcu zniecierpliwiona oznakami powątpiewania pani Andrzejowej, wybuchnęła gwałtownie:

— Tfy! Sacrebleu! Tułałeś się, człeku, a wycierałeś po świecie przez tyle lat, i ot, nareszcie mają cię za koloryzatora!

— Ależ bo, mościa Żubrowo! Kiedy mi powiadasz o imć panach Gotartowskich, Kniaziewiczu, Dziewanowskim, Wosińskim, to wierzę, bo co naszej szlachcie na rycerskości nie zbywało, ale gdy mi mówisz, że jakiś poprostu Kubik z pod tej Saragossy, to... to tego już sobie nie imaginuję!... Asindźka sama jesteś szlachcianką...

— Więc cóż z tego! Mam może, carramba, czarne podniebienie?

— Ach! mościa Żubrowo! Urodzenie znaczy! Moja świętej pamięci matka, będąc panną respektową...

— Wiem, co powiedziała, bo waćpani już to z kopę razy wyprowadziła! A ja, do carramby, jakiem Muszyńska z domu...

— Piękny ród! — wtrąciła flegmatycznie pani Andrzejowa.

— Ale co w szeregu wszystko jedno! Wierz mi pani, że czy Hiszpana płatnął duc, czy ciura, to mu we łbie został jeden skutek! U nas, u cesarza tak — uchwyt w garści miej, wątrobę dużą, żebyś sobie przed nosem lada komu pukać ani majtać karabinem nie pozwolił, zęby do gryzienia ładunków zaprawne, no i naucz się stać, sacrebleu! Rozkaz — więc ani drgnij. Atak — podwójny krok wyciągnij i vive l'empereur! a ani się obejrzysz, jak ci przodków od praszczura narośnie!

— Asindźka za nic sobie masz indygenat?!...

— Jakto za nic? Cóż to, bezdomna jaka jestem? Może jejmość przymawia co Muszyńskim, a może Żubrom? Hę? Zła szlachta?

— Bezwątpienia, jeno na moje wychodzi! Zawsze asindźka musisz szlachcie przyznać...

— Co przyznać? Ee! Do stu... sacrebleu... carramba! Z asindźką do ładu dojść, toby prędzej na czworakach do Rzymu doszedł! Szlachta nie szlachta! Bierz licho, co swoje! O, tego jeszcze tu było potrzeba! — zakończyła energicznie Żubrowa, postrzegłszy wysoką, pochyloną ku przodowi postać męża, wysuwającą się z dworku na ganek.

Pani Andrzejowa odgarnęła siwy kosmyk włosów i zagadnęła po chwili z uporem:

— Jemiołkowscy są w niebieskiem polu... a Żubrowie w jakiem?

— W jakiem polu? Hm! Macieju! Nie słyszysz, o co pani Jemiołkowska zapytuje? W jakiem polu jesteśmy?

Żubr otworzył szeroko oczy.

— My?

— No, tak!... Przecież nie ty sam! Gadaj zaraz!...

— Jasia! — szepnął stary legionista. — Przecież Marengo, Hohenlinden, Adyga!...

Żubrowa porwała się z miejsca z impetem:

— No, więc teraz wiesz asindźka? Pole Marengo!...

— Ależ ja się nie o to pytam!

— Czerwone, a jeżeli się jejmości podoba, to biorąc z munduru naszej legii — granatowe! A jeżeli i tego mało, to niech sobie asińdźka innych poszuka komorników, bo co my, to mamy dosyć, carramba!

— Dosyć! Carramba... według rozkazu.

— Macieju! Bój się Boga! A nie wstydziszże się tak kląć? Będziesz mi tu dyabłami hiszpańskimi sadził... sacrebleu, carramba! I uszy ludzkie obrażał do stu!...

Żubr zmieszał się.

— Jasia, bo...

— Do raportu stawaj!

Podoficer wyprostował się jak struna.

— Melduję pokornie... tego... Jasia... idziemy do dzieci! Do pani kapitanowej!

Markietanka westchnęła głęboko. Pani Andrzejowa, chcąc zatrzeć wrażenie stoczonej walki, ozwała się pojednawczo:

— Smutne odwiedziny.

— Oj, smutne, moja jejmość! Zmiłowania Bożego niema nad nami! Gdzie...

— Możeby jeszcze przedłożyć?...

— He-he! Niby mało się mówiło! Sacrebleu, już to z przestawania z moim starym małomówność wzięłam, ale co przecież z panią kapitanową... Eh! Ledwie że języka sobie nie wygadałam, i co? Carramba oficjerska panna! Słowo u niej! W cztery konie nie ruszysz go z miejsca! Zaweźmie się i koniec!

— Hm! Gdyby on kawaler z argumentem wystąpił! Bywały przykłady — jak świętej pamięci matka moja, będąc panną respektową...

— Te-te! Maszci nowinę! Szukajże go po świecie! Et — już mi asindźka nie mów, bo i tak... tfy... Jeszcze podobno, aby kilka tygodni nowicyatu! Miało być dłużej, ale pani kapitanowa zawzięła się i o obłóczyny morduje. Siostra Agnieszka sama przekłada; ksieni nawet nie ochotna, bo... toć dość spojrzeć... temperamentu na dowódcę szwadronu, w oczach ognia, że jak czasem spojrzy, to aż parzy ślepkami i... i zakonnej sukni zachciała...

— Na chwałę Pana Boga!...

— Święty Antoni! Na chwałę? A toż asindźka ani krzty myśli chrześcijańskiej nie masz, jeno pogaństwo zgoła!

— Aa! Moja jejmość, wiedz, że wychowywano mnie!...

— Na pogankę!... A co respektu dla Pana Boga nie nauczono! Cóż to sobie jejmość myślisz, że Stwórca takich oto sług potrzebuje, co im amory dokuczą? Albo święci aniołowie czyhają, aby duszyczkę, co zgrzyta z rozmiłowania, do swego czambuliku zwerbować? Spróbujno aśćka tak się między pobożne serca Jezusowi napraszać. Powiedz — jako, że mnie Prot opuścił a przysięgę złamał, to... to... carramba, sacrebleu!... Jak się kto na kapucyna nie urodzi, to choć trepki wdzieje a sznurkami się opasze, kapucynem nie będzie!... Wilka choćbyś ogolił, to owcy zeń nie wystrzyżesz! Waćpani poszukaj sobie innych komorników, bo jakiem Muszyńska z domu, mnie dokuczyło! Stary, oczów nie wybałuszaj!... Równaj się! Lewo zwrot i marsz!

Pani Jemiołkowska chciała coś odpowiedzieć, lecz Żubrowa szarpnęła przewieszoną przez plecy chustką, dygnęła z rozmachem pani Andrzejowej i, zanim ta zdołała oprzytomnieć, zawróciła wielkimi krokami na drogę ku Warszawie.

Mimo tej folgi, jaką sobie uczyniła markietanka, ciężko jej było na sercu.

Jeszcze przed kilku tygodniami łudziła się myślą odwiedzenia Zośki od powziętego postanowienia, lecz gdy ta trwała w objawionej woli, a w końcu słyszeć o perswazyach nie chciała — markietankę odbiegła dawna jej dobra wiara i zaufanie.

Jeszcze, kiedy oto zdarzyło się z kim na dyskurs pójść a dawne czasy wspomnieć, lub co pewniejsze, do kubka zajrzeć — chwilami dawna fantazya wracała, lecz zazwyczaj coraz trudniej było Żubrową do gadania skłonić.

Stary legionista także się zmienił nie do poznania i to w sposób wręcz przeciwny niż żona — bo gdy druga zapadała w milczącą zadumę — pierwszy

nabierał rezonu osobliwego i wpadał w niezwykłą u niego rozmowność, która tem była silniejszą, im przygnębienie markietanki głębszem.

Kiedy szli tak właśnie ku Warszawie, a Żubrowa, westchnąwszy kilka razy, zwiesiła smutnie głowę, Żubr odezwał się nagle wpół do siebie:

— Jasia, nie gadaj! Sacrebleu, nie mówię, ale co carramba — nie wiem! Kapitan Żymirski mówił: il diavolo di parti! W Medyolanie! Tfy! Porucznik!... Nasz porucznik!... Były dzieci — niema dzieci! Subordynacyi niema!... I tego!... Rozstrzelać!

Ostatni wyraz Żubr wymówił z takim impetem, że aż markietanka drgnęła.

— Co ty, stary, co?

— Jasia, rozstrzelać!...

— Kogo?

— Za złamanie przysięgi!

— Co ty wygadujesz?

— Jasia, my musimy mieć dzieci! — zakonkludował energicznie Żubr.

— Ten mi jeszcze będzie wydziwiał!

Legionista nie zważał na nastroszone brwi Żubrowej i huknął zapalczywie:

— Jasia, nie gadaj! My musimy! Jak co, to ja do cesarza! Subordynacya musi być!... Czterdzieści bitew! Krzyże! Trzy sztandary!... Carramba! Dzieci się należą! I dużo dzieci!... Jasia, jak ty nie chcesz, to... to ja sam będę miał dzieci!

Podoficer nie dokończył.

Na ramieniu swem uczuł zamaszystą rękę żony.

— Będziesz miał dzieci! Gadaj mi całą prawdę! Gdzie jest ta wietrznica?!

— Jasia!...

— Słyszałeś? Pokaż mi ją!

— Jasia, nasz porucznik, ja... idę do cesarza!...

Baba oprzytomniała nagle. Puściła męża i przyśpieszyła kroku, mrucząc pod nosem:

— Chodzi już biedakowi po głowie!

Ulice Warszawy roiły się od tłumu ludzi, przybranego odświętnie a gwarzącego wesoło. Gdzienie-

gdzie wyglądały czarne szale i żałobne chusty, gdzieniegdzie starzec o twarzy zoranej brózdami sunął na kulach, gdzieniegdzie kadłub ludzki z krzyżem błyszczącym na piersiach czołgał się pod murem. W tłumie przeważały kobiety.

Czasem ledwie dostrzedz można było raźno sunącego gwardzistę, czasem błysnął zdaleka bogatemi szlufami mundur oficerski. Nigdy może takiego braku młodzieży nie było, jak wówczas. I nie młodzieży tylko: komu sił stało a woli dobrej — ten wyciągnął był bądź za Napoleonem, bądź z korpusami ustawionymi jeszcze na granicy austryackiej.

Prawda, pokój zawarty rokował rychły powrót wojska — ale, ile to razy już o tym powrocie głoszono, ile razy powrót ten był zapowiedzią nowych wojen! Wyludnienie było trudne do wiary.

Najświetniejsze zebrania świeciły pustkami. Nie bywali na nich i ci, którzy w zakamarkach Warszawy kryli się, aby potem udawać bohaterów i imiona swoje łączyć z tem, na co zajęcze serca ważyć im się nie zezwoliły.

Żubr z Żubrową szybko szli do zamierzonego celu, nie zwracając uwagi na mijające ich tłumy.

Co im było do nich! Inne ich smutki dręczyły, inne niepokoje — a co nadzieja — krzepić tych dwojga rozbitków nie mogła. Za wiele od losu wymagali — za wielkie do życia rościli pretensye, za wiele chcieli.

Około kazimierowskiego pałacu tłum ludzi był większy jeszcze — miejscami tak zbity, że z trudem wielkim Żubrowie przezeń przecisnąć się mogli.

Pod klasztorem Wizytek ciżba tak zgęstniała, że pomimo rozdawanych przez markietankę na prawo i lewo szturchańców, Żubrowie przedostać się nie mogli.

— Ludzie, a ustąpcież z drogi! — huknęła podirytowana baba.

— Ustępujcież sami, kiedy wola! — odcięła się chuda mieszczka.

— Do klasztoru nam potrzeba!

— Któż aspani broni?...

— Mądrala się znalazła! Po głowach wasaństwa pójdę? Sacrebleu!

— O! jak to jej pilno! Państwo! Nie puszczać jej! — rozległy się głosy z tłumu.

— Do milion dyabłów... carramba!

— Widzisz ją, dyabłami straszyć to potrafi — pisnął chrypliwy głosik.

Baba zmiarkowała, że złością nic nie wygra i ozwała się spokojniej:

— Ludzie! Przecież to nie procesya! Ustąpcie! Co wam z tego stania?

— Hm! A może i co przyjdzie?...

— Bodaj was... sacrebleu!

— Cichobyś jejmość była! — upomniał pękaty szlachciura w bekieszy. — Nikt ci się tu nie usunie, bo każdy ciekaw!...

— Święty Antoni! Czego?

— Jejmość nie wiesz? Więc bacz — do tamtej oto kamieniczki za klasztorem, co to jej dach aby widać... zajechało — będzie może z godzina, trzech oficjerów z gwardyi cesarskiej!

— Z gwardyi? Cie! Wielka obrada!...

— Dla waćpani może niewielka — a co z nas, to każdy radby się ich widokiem ucieszyć!...

— No, to się cieszcie, bo to taka gwardya, jak jegomość senator!

Szlachcic chciał się oburknąć, lecz naraz wśród tłumu rozległy się głosy gorączkowe:

— Idą, idą!...

Ludzie jęli się wspinać jeden przez drugiego, tłoczyć, a ciżba cała falować a łamać się. Żubrów przytem tak ściśnięto, że ani naprzód pójść, ani w tył cofnąć się nie mogli. Markietanka nie posiadała się z gniewu.

— Macieju! Nadstawiajże łokcie! A to zatracone mieszczuchy! Sacrebleu!... Gdzie leziesz!... Gadaj im!... Tfy!...

— Idą, idą! — huczały tłumy.

— Wiwat! Wiwat gwardya! — zrywały się już głosy.

— Znaleźli sobie gwardyę i co im! Macieju, a obaczże dobrze, jaki mundur!

Żubr wyciągnął szyję. W dali ukazały mu się trzy białe kity wystrzeliste, trzy czapy karmazynowe srebrem bramowane, ze złotemi blachami.

— Cóż widzisz? Mówże! — nalegała markietanka.

— Nie gadaj, Jasia...

— Jaki mundur?

— Nic nie wiem! — mruknął Żubr. — Musi ułany!... Nie, nie ułany!

— Mów, bo się skręcę, sacrebleu...

— Nie widziałem takich!

— Więc mnie podnieś! Dalej! Żywo!

Żubr z wysiłkiem ujął zamaszystą swą małżonkę i uniósł w górę, lecz mało że nie zwalił się pod jej ciężarem, gdyż ta ledwie głowę wychyliwszy, zatrzęsła się całem ciałem i krzyknęła:

— Rany Boskie, szwoleżerzy! Jezu! Porucznik Stadnicki!

Baba wyciągnęła ręce, jakby chcąc jednym susem przebyć dzielącą ją przestrzeń od porucznika, lecz tłum zakołysał się, baba osunęła się na ziemię.

Lecz tu cały temperament wrócił nagle markietance. Zacisnęła pięści i rzuciła ostro mężowi:

— Musimy dotrzeć!

— Musimy! — powtórzył groźnie Żubr.

— Następuj!...

Stary legionista plunął w garście i wpadł na najbliżej stojącego.

— Na bok! Puszczaj! — dowodziła z tyłu Żubrowa.

— Co to? Co za śmiałość?! Jak się ważysz acan! — zagrzmiały głosy oburzenia na Żubra.

— Pluj w garście i wal! — ryczała baba.

Żubrowi nie trzeba było dwa razy jednego powtarzać. Zakasał rękawy i jął grzmocić po karkach zagradzających mu drogę.

Gwałt i zamieszanie powstało nie do opisania.

— Na ratusz z nim! Na ratusz! Wołać pachołków! — odgrażano się zajadle, a mimo to ustępowano, byle uniknąć spotkania z potężnemi pięściami,

wzniesionemi do góry, a niekiedy spadającemi na ramiona opornych.

Żubrowie parli zawzięcie naprzód, kierując się chwiejącemi się ponad tłumem kitami u czap szwoleżerskich.

Już raz i drugi oczom ich ukazały się srebrzyste kołnierze, gdy nagle, z tyłu poturbowani mieszczanie jęli się burzyć, atakować, co gorsze, ustępować miejsca dwom halabardnikom. Jeszcze chwila, a śmiałkom groziła rozprawa ze sługami porządku. Markietanka dostrzegła niebezpieczeństwo.

— Macieju, do aryergardy!

Żubr cofnął się raptownie za żonę, a spostrzegłszy wyciągniętą ku sobie halabardę, pchnął jakiegoś mieszczucha w objęcia pachołka tak gwałtownie, że skotłował cały pościg.

Markietanka tymczasem jak kula wpadła między oficerów.

— Tfy! Od morza do morza! — oburzył się pierwszy i zmierzył babę piorunującym wzrokiem.

— Nie lubię, psia mać! — huknął drugi oficer, lecz spojrzawszy na zaczerwienioną a dyszącą ciężko Żubrową, zawołał raźno:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! A wy co tu robicie?

— Jesteśmy! Bieda okrutna! Panna w zakonie! Ratuj poruczniku, bo nas te zatracefice usieką! Stary, do mnie!

— Na ratusz napastników! Na ratusz! — wołał tłum.

— Co się stało? — rzucił pan Józef.

— Przepychali się! Ludzi nasiniaczyli!

— Pachołkowie, brać ich! — zakonkludował znowu Stadnicki. — Prowadzić ich za nami!

Halabardnicy wzięli pomiędzy siebie Żubrów.

— Poruczniku, panie poruczniku!

— Milczeć! Nie lubię, psia mać!... Słuchać!...

— Carramba!

— Jasia, carramba i już! — potwierdził Żubr, zgorszony takiem zakończeniem.

Stadnicki tymczasem skinął na towarzyszów i ruszył naprzód szybkim krokiem. Tłum rzucił się w ślady odchodzących, lecz zanim zdołał z samym sobą się uporać, ci już wydobyli się na wolny przestwór.

— Za mną! Prędzej! — komenderował Stadnicki i, dorwawszy się miejsca pod Karmelitami, gdzie Krakowskie Przedmieście zwężało się, skręcił raptownie w Bednarską i wszedł do pierwszej z brzegu winiarni:

Halabardnicy spojrzeli po sobie zdumieni. Stadnicki nie dał się im opamiętać.

— Macie tu na wypitkę!... No i umykajcie!

— Wielmożny poruczniku! Kiedy...

— Marsz! Nie lubię! Żubrowie za mną!

Stadnicki wpadł do winiarni jak wicher i postrzegłszy ustronny alkierz, tam kompanię usadowił, zalecając gospodarzowi, aby maślacza dał i do alkierza natrętów nie puszczał.

Towarzysze Stadnickiego spoglądali nań zdziwieni, nie rozumiejąc zgoła całego tego spotkania. Pan Józef nie dał im przyjść do słowa.

— Żubrowa! Do raportu, psia mać! Najpierw, co to za drab?

— Mój stary!...

— Grzeczny kawaler!...

— Według rozkazu!

— Macieju, już gębę rozpuszczasz? Panie poruczniku, gdzie...

— Cicho być! Odpowiadaj! Co pułkownikówna?

— U Wizytek!

— Gdzie, mówicie?...

— U panien Wizytek, w klasztorze, panie poruczniku! Co ja się nie natłómaczyłam, napłakałam, naprosiłam! Ale! nic! Do zakonu! Mniszką, powiada, zostanę. Mnie jednej tułać się, sierocie?... Lepiej — mówi — skryć się przed ludźmi i mówi... sacrebleu, carramba... tak mówi, że jakby ci rękę w trzewia włożył i darł je a miętosił... A... a już, aby imienia porucznikowego przy niej nie wymów, bo ci się za-

tnie, odwróci i umknie na swoje pacierze a modlitwę!

Stadnicki wsparł się na ręku i głowę zwiesił ponuro.

— Więc skończone? — zagadnął.

— Za tydzień czy za dwa obłóczyny!...

Pan Józef uderzył pięścią w stół i zawołał basem:

— Tak mi mówcie, psia mać! Nie lubię, do pioruna! A wy mi takie desperacye wałkujecie, jakby było po wszystkiem!... Jest panna i basta!

— Florkowa? — wtrącił starszy z oficerów.

— Otóż właśnie!

— Górą nasza, od morza do morza! To mi na sercu leżało!

— Ba, a co się panna Urszula napłakała! — wtrącił drugi oficer.

— Wicek! Ty z twoją Urszulą od morza do morza!

— Pozwólcie, chłopcy! — przerwał Stadnicki i zwrócił się do Żubrów:

— A wy czego!... Miny rzadkie, nie lubię!

— Jakże bo, panie poruczniku, będzie?

— Skończone, psia mać, i niema o czem mówić!

— Jezu! — jęknęła baba. — Skoń... czo... ne!... Macieju...

— We...e...e...edł! — sapał podoficer.

— Czego stękacie? Co wam!

— Porucznik!

— Siedzi w Gortatowicach i tak samo wzdycha jak wy! Nie lubię psia mać... rozmazanie, babstwo, piecuchostwo, mazgajstwo!... Pamiętacie pod Saragossą?

— Majora Michałowskiego? — zakrzyknęła ochoczo Żubrowa. — Bogać nie! Rzetelny żołnierz! Piechota, kochanku, grunt... podstawa... moc... choroba!... Gdyby mógł, toby pewno kawaleryi na piechotę szarżować kazał!... Ale serce!... sacrebleu!... Więc nasz porucznik w Gortatowicach?... No, no! Dziw, dziw! A za pozwoleniem pana porucznika... ta... ta...

— Kto taki?

— No ta... ta Hiszpanica, seniorita, czy donia... niby tego... razem? Juści razem! Gdzieżby się odczepiła od takiego specyału!

— Co wy, od morza do morza?

— Hiszpanica — odrzekł sucho Stadnicki — została, a jeśli zawita kiedy tutaj, to pewnie z Niewodowskim!

— Macieju, a słyszyszże ty? Święty Antoni, toć w dyrdy lecieć trzeba! Oj, biedactwo moje, jak się ona ucieszy, jak się ucieszy! Nasz porucznik! Ho, ho! mości panowie, mówiłam!... Gdyby taki zawiódł, to...

— Za pomyślność! Do licha z sentymentami! — przerwał rubasznie Stadnicki. — Co było, to było — dobrze jest, psia mać! Florek się w czepku rodził!

— Prawda! Co rusz, to już ci znajdzie się łasa! Małoż tego utrapienia było jeszcze w legii!

— No, a ta wdówka od morza do morza! Madame de Vauban. Parol przecież na niego zagięła...

— Pozwól, Hermelausie! Urszulka wspominała, że któraś Krasińska...

— Uu! Wicek, nie zaczepiajże swojej Urszuli!...

— Ja? Skądże! Mówię tylko: ma szczęście! A w Schönbrunie pamiętasz generałównę Le Pic? Jak Florek mundur porucznikowski wdział a stanął na paradzie?

— Nowina! A ta niemkini wiedeńska, u której staliśmy z Floryanem? Powiadam wam, jeno łyskała oczyma i jak kot mruczała, że jest od morza do morza „witwa...“ czyli wdowa! Ma szczęście!

— A któżby miał?! — wtrąciła z dumą markietanka.

— Ja... Jaś... — bełkotał z przejęciem Żubr.

— Co? Ty?... Macieju, a wykręćże się. Jedna na świecie ślepa się znalazła!... I co ma? Kości jak na starym wolcu, mięsa żylastego...

— No! Dajcie pokój od morza do morza!... Jakże wam tam?

— Żubrowa!

— Bierzcie za kubki! Zdrowie Florka i tej jego jego...

— Pułkownikówny!

— Niech żyją! Wiwat! — huknęła markietanka, podnosząc kubek do góry.

Lecz w tej chwili wzrok jej padł na męża i struchlała z oburzenia. Żubr bowiem, nie czekając, aż wiwaty przebrzmią, przechylił kubek i sączył zeń zapamiętale.

— Macieju! Opoju jeden!... Taki respekt? Takie zachowanie?!

Ale Żubr shardział nagle. Wywinął kubkiem i wyrzucił gwałtownie:

— Jasia... nic... będą dzieci!...

— Tfy! Masz ci utrapienie! Oj, żeby nie kompania!... Dzieci! I on tu jeszcze nadstawia kopyta! Kary niema na takiego! Carramba! Łyp ślepiami! Poczekaj, ja ci pomrugam!

Porucznicy aż za boki się brali, słuchając owych strofowań a nauk.

— Mościa Żubrowo! Nie chciałbym ja pod waszą komendę się dostać od morza do morza!

— Takiego starego pelikana ujarzmić!... Urszula mi mówiła! Teraz was poznaję.

— Panna Urszula! Pelikan! Juści, że pelikan w moim babskim ordynansie może chodzić, ale co nie trznadel ani szczygieł — oburknęła się z godnością Żubrowa.

— Cha, cha! Wicek!... Bodaj ją od morza do morza! Nie wytrzymam, zmogę się, a wycałuję babę! Cha, cha!

— Wola waszmości, tylko pozwól, że przed całowaniem opłuczę sobie krzyże!

— Psia mać! To wam zadała!... Dobrze wam, nie leżcie z jęzorami! Zmełtała was, psia mać!

— Asani nadto śmiała! — zauważył sucho młodszy z oficerów.

— Jordan jestem! — huknął zapalczywie starszy — Hermelaus Jordan! Respekt dla oficerów!

— Respekt — sacrebleu!

— Uszanowanie!

— Subordynacya! — przytwierdziła markietanka.

— Równaj się!...

— Równaj się, stary, bo ty jeden miast szlufów, dziur w ciele jeno się dorobiłeś!

— Jestem porucznikiem szwoleżerów w gwardyi cesarza Napoleona! — pienił się Hermelaus Jordan, któremu maślacz zaszumiał już w głowie.

— A ja!... porucznikiem ordynansem sztabu Księstwa... — odpowiedziała tymże tonem markietanka.

— Milczeć, bo palnę!

— Aby waćpan sobie krzywdy nie zrób!

Hermelaus porwał się z miejsca, lecz w tejże chwili Stadnicki ujął go za ramiona, uniósł i posadził z impetem na ławie.

— Dosyć swarów! Nie lubię, psia mać. Nibyś Florkowi życzliw...

— Florkowi! — jęknął płaczliwie Hermelaus. — Józiu! Od morza do morza prujcie! Mordujcie!.. Dla niego!... Bierz, nie pytaj!... Rwij na kawały od morza do morza! Przyjacielu!...

— Wicek! — zakonkludował krótko Stadnicki. — Bierz go w obroty! Żałość go sparła, a wino dokuczyło!... A ja z tymi pójdę! Trzebaby skończyć! Żubrowa! A wam co?

Baba chlipnęła gwałtownie.

— Nic, panie poruczniku, aby człowiekowi przyjemnie, jak o takiem przyjacielstwie słucha!...

Stadnicki zaklął gwałtownie i, skinąwszy na Żubrową, wyszedł na ulicę.

— Prowadźcie do klasztoru! — rozkazał gniewnie. — Znów będą szlochy! Z babami się wdać! Nie lubię, psia mać!

Żubrowej nie trzeba było dwa razy powtarzać rozkazu. Wysunęła się naprzód i wiodła wprost do panien Wizytek, rozpromieniona, szczęsna. Radość teraz dopiero przepełnić zdołała serce markietanki.

Szła a śmiała się pocichu do samej siebie, a przesuwała rękoma po twarzy, jakby chcąc się upewnić, że nie śni, że nie marzy... W głowie jej powstał

chaos wypadków, myśli goniły się, wyprzedzały i znów cofały. W uszach dźwięczały jej słowa Stadnickiego.

Naraz markietance w oczach pociemniało, zdawało się jej, że idzie za legią, że tuż przed nią maszeruje kompania Dziurbasa, a w oddali rozlegają się dźwięki marsza wojskowego, i oto z piersi Żubrowej wyrwała się znana przyśpiewka napoleońska:

Allons, cela ira bien camarades!

— Allons camarades! — ryknął z zapałem Żubr.

Głos męża otrzeźwił markietankę.

— Macieju! Przecież ulica!

— Prowadzić! — huknął Stadnicki. — Popiliście się, psia mać! Nie lubię! Gdzież ten klasztor?

Baba obejrzała się; o dwa kroki były przed nią już odrzwia furty klasztornej.

— Melduję, że jesteśmy na miejscu!

— Więc jakże się tam dostać! Ale co przystojniej byłoby, żebyście ustąpili. W głowach wam kipi...

— Aby z rozradowania! — odrzekła pokornie markietanka. — W mig się rozmówimy!

Baba schwyciła za wiszącą kołatkę i zastukała z impetem raz i drugi.

Po długiej pauzie furta skrzypnęła przeciągle. Odźwierna zmierzyła niechętnie przybyłych i zagadnęła piskliwie:

— Czego to waćpaństwu?

— Nie poznajecie to nas? — odezwała się żywo markietanka. — Do rozmównicy idziemy! Wołajcie siostry furtyanki!

— Cha! Zawołać zawołam, ale co z rozmównicy to dzisiaj nic nie będzie!

— Co asindźka? Dlaczego? — oburzyła się Żubrowa.

— Każdy wie swoje! Powiedziałam, że nie będzie, to nie będzie. A chcecie zawołać siostry furtyanki, to zawołam!

Markietanka chciała zażądać wyjaśnień, lecz odźwierna wprowadziła przybyłych do swojej izdebki

w domku, przylegającym do furty, i podreptała żywo w głąb zabudowań klasztornych.

Po małej chwili odźwierna zjawiła się w towarzystwie siostry furtyanki, małej, zgarbionej staruszki.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków amen! Co to?... Aha! To... to wy... to wy?

— Siostra dobrodziejka nas sobie nie przypomina?... Żubrowa, do usług!

— Aha! Tak — tak! Pamiętam!.. A ten pan oficjer?

— To... proszę dobrodziejki... pociotek... niby ten... sacr... i tego!...

— Dobrze! Aha! Więc czego, dobrzy waćpaństwo?... Do tej... jakże?...

— Imć panny pułkownikówny...

— Aha! Żółtowskiej?

— Nie, dobrodziejko, Dziewanowskiej!

— Dziewanowskiej? Aha! aha! To... nie można! Nie można!...

— Siostro dobrodziejko... pilna sprawa! Bardzo pilna!

Siostra furtyanka potrząsnęła energicznie głową.

— A nie — nie można.

— Kiedy bo... przecież zawsze w niedzielę...

— Tylko nie dziś!... A teraz już noc! Co jej duszyczce do waszych światowych spraw!... Dziś dla niej dzień wielki, dzień uroczysty! Z Panem Bogiem się pojednała... A jutro podczas nabożeństwa...

— Co jutro?! — zagadnęła żywo markietanka.

— Jutro dostąpi tego szczęścia, o które tak gorąco prosiła!

— Szczęścia?

— A tak, tak, moja asińdźko! Wy ludzie światowi na tem się nie rozumiecie! Jutro jej śluby zakonne!...

Żubrowa pobladła.

— Obłóczyny! Święty Antoni!

— Jakto psiam!... — huknął basem Stadnicki.

— To nie może być! — przerwała gwałtownie Żubrowa. — Pani kapitanowa! Teraz... a toż sacrebleu carramba!...

Siostra furtyanka aż cofnęła się z przestrachu.

— Ludzie! co wygadujecie!... Pana Boga nie obrażajcie!

— My musimy się dostać do naszej panny! — zakonkludowała markietanka.

— Musimy!... — potwierdził uroczyście Żubr.

— A... ale!... Niepodobna!... Nie można!... Czy to ona nie ma woli! Sama prosiła: niech się skupię, niech się oderwę od reszty światowych myśli! Dobrzy ludzie są, lecz wyrozumieć nie mogą! A tak mówiła! Sama tak mówiła! Idźcie z Bogiem... za ośm tygodni po...

— Aby dziś jeszcze musimy! — upierała się rozpaczliwie Żubrowa.

Siostra strzepnęła rękoma.

— A... a... nie mówmy o tem! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Siostro dobrodziejko!... Na wieki wieków!... Tak nie może być... bo to, jakby tu powiedzieć... Porucznik jest! Ta czarnucha hiszpańska została się za górami...

— Moja kobieto!...

— Tak, siostro dobrodziejko! Niech się przedstawię. Porucznik szwoleżerów gwardyi cesarza Napoleona, przeniesiony na własne żądanie do drugiego pułku strzelców... Właśnie jadę prosto z Gortatowic! Towarzysz broni... Florką!...

Staruszka wzruszyła ramionami.

— A... a... ja nie mogę, nic nie mogę! Z Bogiem zostawajcie...

— Więc pozwólcie się rozmówić!...

— Ja ani zezwolić, ani zabronić nie mogę...

— To może z siostrą Agnieszką!

— Dziś nie można... dziś jej dzień...

— Chcemy do ksieni!

— Do ksieni?! — powtórzyła ze zgrozą staruszka. — A... a... skąd? Ksieni!... Niepodobna! Zostawajcie z Bogiem!

— No, to my kroku stąd nie zrobimy!... Macieju! Panie poruczniku!... My, carr... sacr!...

— Nie zrobimy, psia!... Jak dobrodziejka chce! Proszę mnie meldować ksieni... Józef Stadnicki, porucznik szwoleżerów!...

— Maciej Żubr! — wtrącił się zuchowato stary legionista.

Siostra furtyanka naciągnęła z alteracyą białego kaptura i oddaliła się pośpiesznie, szepcząc niepewnie:

— Ja nie mogę... nie... a nie... mogę!

— No, słyszeli waćpaństwo! — odezwała się teraz odźwierna. — Niema tu nad czem deliberować! Rozmównicy dziś nie będzie. Proszę ustąpić za furtę!...

— Kto ma ustąpić? — rzuciła groźnie markietanka. — Ani myśli! Kroku stąd nie zrobię, jakiem Muszyńska z domu, bo tu nikt nie zabroni mi widzieć się z moją panią kapitanową!...

— Nikt! — potwierdził uroczyście Żubr.

— Ej! Lepiej po dobrej woli! Gdzieżeście to waćpaństwo przyszli?! Z naszą przewielebną niema żartów! Dobre słowo jest, ale potrzeba będzie, to i na ratusz się pośle!

Stadnicki targał faworyty, brząkał ostrogami i trzaskał pałaszem.

— Gdzie! — kończyła odźwierna. — Z hałasem, z basem, z szablami, ostrogami... nawet miejsca nie uszanują!

— Kończ jejmość! Nie lubię, psia!... Zostajemy, a aśćka, do pioruna, trzymaj język za zębami...

— W imię Ojca i Syna...

— Za zębami! Sprawiedliwie pan porucznik powiedział! Jakiem Muszyńska z domu, tu się rozkładam i nie ruszam. A nie pozwolą — to do refektarza pójdę!

— Do refektarza! Ludzie, miejcież Boga w sercu!

— Jakbyś aśćka wiedziała, że Go na języku, jako wy, nie nosimy!

— Melduj mnie przełożonej!

— Kiedy, wielmożny panie...

— Melduj, powiedziałem!... Bo nie lub ...

Odźwierna na widok nastroszonych brwi Stadnickiego zawinęła się i uciekła za siostrą furtyanką.

Żubrowa ze Stadnickim zostali sami. Markietanka traciła już otuchę, legionista sapał coraz niespokojniej — ale Stadnicki zawziął się.

— Cicho być! Nie mruczeć mi, komu się sprzykrzy! Wyjdźmy na podwórzec! Zubr do furty, żeby mi nikt nie wszedł, ani nie wyszedł! A przecież ktoś nam musi sprawę należycie wyłożyć! Zbyć się ani odprawić nie pozwolę!

Porucznik z Żubrową jął krążyć po podwórzu klasztornem, dzwoniąc butnie ostrogami. Stary podoficer stał wyprostowany przy wejściu.

W korytarzach klasztornych wszczął się popłoch spowodowany wieścią, przyniesioną przez siostrę furtyankę, a spotęgowany przez pełne przesady opowiadanie odźwiernej.

Raz jeszcze spróbowano perswazyą skłonić natrętów do opuszczenia klasztoru, lecz wysłana w tym celu siostra klucznica powróciła z niczem. Wówczas dopiero sprawę przedłożono ksieni.

Już dobrze zmierzchać się zaczęło, gdy po naradzie ksieni poleciła wezwać do siebie Żubrową i Stadnickiego.

Nie bez pewnego skonfundowania wszedł pan Józef do obszernej, sklepionej izby i spotkał się z surowem wejrzeniem przełożonej.

— Asińdziej chciałeś mnie widzieć, nie wahałeś się zakłócić spokoju klasztornego!... Mogłabym postąpić inaczej, lecz nie chcę, byś sądził, że nie wysłuchawszy, potępiono cię!... Mów!

Stadnicki stropił się jeszcze więcej, lecz nabierając odwagi, rzekł, zniżając głos:

— Przewielebna matko! Daruj, jeżeli uchybiłem, lecz intencyi nie miałem! Przyszedłem dla widzenia imć panny Dziewanowskiej, która tutaj znalazła schronienie... przyprowadzony przez tę oto jejmość a panny Dziewanowskiej opiekunkę! Powiedziano nam, że panna Dziewanowska jutro już śluby zakonne przyjmuje!...

Tymczasem suponować śmiem, że nowiny, jakie jej wiozę... mogą zmienić jej postanowienie... przewielebna matko!...

Ksieni potrząsnęła głową.

— Daremnie się łudzisz asiądziej! Postanowienie to ona powzięła sama!... Długi czas opierałam się temu, nierada bowiem jestem widzieć obok siebie siostry, któreby nie z czystego poświęcenia szaty zakonne nosiły! Nie tajnymi mi były smutki tego dziewczątka i dlatego nie zezwalałam, mając przecie na każdym kroku...

— Więc jutro obłóczyny? — ozwał się porywczo Stadnicki.

— Tak, i dlatego w wigilię tak uroczystego dnia należy pozostawić ją w pobożnem rozmyślaniu, uwolnić od zakłócania go światowemi sprawami.

Żubrowa jęknęła głucho.

Stadnicki szarpał faworyty. Ksieni ciągnęła wyniośle:

— Masz więc asiądziej odpowiedź! Sądzę, że teraz pozostawisz nas w spokoju i nie zniewolisz mnie do powzięcia innych zarządzeń.

— Matko przewielebna!... Daruj! Ani się dziw!... O szczęście, o życie idzie oddanego mi towarzysza broni! Gdyby ona wiedziała! Chwili jednej nie zostawałaby tutaj!

— A... kiedy asan tak nastajesz — odparła urażonym tonem ksieni — to przekonam cię, że tu ani przymusu, ani wpływu niczyjego niema, tylko dobra a szczera wola!... Siostro Brygido! Przywiedź ją... Niech z jej ust usłyszą potwierdzenie.

Jedna z sióstr skłoniła się ksieni i wyszła. Upłynęła krótka chwila oczekiwania. Boczne drzwi izby roztworzyły się cicho — weszła Zośka w półzakonnej sukni z rękoma skrzyżowanemi na piersiach.

Markietanka, spojrzawszy na bladą twarzyczkę Dziewanowskiej, na usteczka zaciśnięte, na wpół przymknięte oczy, na bólem a rezygnacyą nacechowaną całą jej postać — krzyknęła ze wzruszenia:

— Święty Antoni... Paniusieczko moja!

Zubrowa chciała rzucić się do kolan Dziewanowskiej, lecz stojące w pobliżu siostry otoczyły ją pierścieniem, osłoniły.

Ksieni spojrzała dobrotliwie na Zośkę i rzekła łagodnie:

— Moje dziecko! Oto ci ludzie przyszli dopominać się widzenia się i rozmowy z tobą!... Powiadają, że postanowienie twoje zawarcia ślubów zakonnych... nie jest stanowczem... że zmieni się po nowinach, które ci przynieśli!... Powiedz, gdyby ofiara twoja nie płynęła z czystego serca... może lepiej byłoby ci powrócić tam!

Gdy ksieni skończyła — cisza zaległa izbę klasztorną.

Na twarzy Zośki wytrysnął żywy rumieniec, pod powiekami jakby skry nagle zabłysły, a potem, zwolna, znów na lica pułkownikówny zachodzić zaczęła taż sama bladość matowa...

— Powiedz śmiało! Nikt tu twej woli nie ogranicza! — zachęcała ksieni.

— Mościa panno! — wmieszał się gorąco Stadnicki. — Co było, to było! Pozwól!...

— Ja nie chcę wiedzieć... o niczem! Nic mnie nie wiąże ze światem! Kto mi życzliw pozostał... niech nie mąci...

— Pani kapitanowo... gdzie my... Sacrebleu!...

— Matko przewielebna, pozwól mi odejść. Ja tu nic nie mam więcej...

— Idź, moje dziecko! Wracaj w pokoju!

Zanim Stadnicki i Żubrowa opamiętać się zdołali, Zośka już znikła za drzwiami.

— Słyszałeś asińdziej? — rzekła z napomnieniem ksieni. — Tego ci chyba wystarczy!

Pan Józef skłonił się i, pociągnąwszy za sobą Żubrową, wyszedł na podwórzec, a stamtąd razem z oczekującym legionistą na ulicę.

Przez czas jakiś szli w milczeniu ponurem...

Wreszcie pierwszy ozwał się Stadnicki:

— Cóż? Przepadło! Przepadło wszystko... Chociaż... Do stu piorunów... nie lubię! Z babami! Kto ich tam wie!...

Zubrowa chlipnęła nagle.

— O ja nieszczęśliwa! Na to mi przyszło! Wszystkiegom się spodziewała...

— Co wy znów? — fuknął ostro Stadnicki.

— Panie poruczniku, przecież człowiek przywiązał się jakby do rodzonej... Dobra wszelkiego pragnął... nie dla siebie, nie dla siebie... I tak idzie człek na marne! Paniątko moje!... Żałość w niej tkwi! Żeby byli dali się rozgadać, pomówić! Ooo! Biedny nasz porucznik... biedny!

— Jasia! — mruczał wzruszony Maciej.

— Oj, stary, mój stary! Niema dla nas ani życia, ani błogosławieństwa Bożego!... Na utrapienie, na smutek los człeka oszczędzał — lepiejby nam było w pierwszej batalii włoskiej po czerepach wziąć — jużby mogiłki się zieleniły!... Głupie łby, stare! Zamyśliły sobie kąt znaleźć, cudzem szczęściem żyć, z cudzego się cieszyć, cudzem ciepłem grzać zmurszałe gnaty!... Dola!...

— Milczeć, nie lubię, psia mać! — zgromił ostro Stadnicki. — Nie biadać mi tu nad uchem!...

— Panie poruczniku!

— Milczeć, powiedziałem!

— Pani kapitanowa...

— Nie zginie, do pioruna!

— Panie poruczniku... obłóczyny jutro!

— Nie będzie obłóczyn!

— Jakże to?...

— Nie będzie, powiedziałem!

— Według rozkazu... nie będzie!

Żubrowa roztworzyła usta z podziwu, jakby własnym uszom nie wierząc.

— Panie poruczniku!...

— Milczeć i słuchać! Nie lubię psia mać! Do Jordanów nie wrócimy! Wieczór zachodzi!... Hermelaus już pewno się kiwa, a tu trzeba się wziąć do roboty! Rozumiecie?

— Nic a nic, panie poruczniku!

— Więc jakże, wolicie, żeby... ta wasza panna mniszką została, a Florek kamedułą, czy bernardynem? Gadać...

— A niechże Bóg ich ochroni od takich desperacyj! Tylko...

— Tylko co?

— Przecież jutro obłóczyny!...

— Do stu piorunów, nie pytlować mi ciągle jednego i tego samego!...

— Sama powiadała!

— Bo to wasza wina!

— Święty Antoni... moja?

— Wasza! Bo miast gorąco do przekładania się wziąć — wy staliście i kiwaliście się! Niedołęstwo! Nie lubię! Tu wzdychaniem i stękaniem nic nie poradzi! Trzeba się brać!

— Niewolić... jak nie chce! — bąknęła ponuro baba.

— Jakto niewolić! — oburzył się pan Józef. — Końca własnego nosa nie widzicie! Ja się tam na takich sentymentach i sercowościach nie znam, ale co... psia mać, to samo w oczy włazi i kłuje! Pannę żal porze... ta...

— Hiszpanica, czarnucha...

— Właśnie! Miga jej się przed oczyma! Zdaje się jej może...

— Że nasz porucznik...

— W tem rzecz! Stąd i determinacya i rezygnacya, zapamiętanie...

— Choroba! — dokończyła pośpiesznie markietanka. — Zawziętość doskwiera!...

— Trzeba ją zmódz!

— Pewnie! Tylko jutro będzie za późno!...

— Któż mówi jutro! Dziś jeszcze... dziś trzeba pannę wykraść!...

— Święty Antoni!... Gardłowa sprawa!

— Nie odrazu! Jakby naprawdę taką wolę miała.. to do klasztoru nikt jej wrócić nie zabroni! A co wasza rzecz pannę do Gortatowic zawieźć... Florka

przed nią postawić i rzec im: albo się przepraszajcie, albo skaczcie sobie do oczu! No?...

— Prawda! szczera prawda, panie poruczniku! Sacrebleu... carramba!... Wykraść to wykraść! Bodaj w piekło! Jakiem Muszyńska z domu! Czy na dnie samem, czy bliżej wierzchu, zawsze dyabłu człek się nie wykręci!

— Radźcie więc! Jak?

Żubrowa zafrasowała się. Odpowiedź nie była łatwą, bo nie godziło się ani krzywdy nikomu wyrządzać, ani rumoru w mieście robić, bo i dla pułkownikówny byłby despekt, no, i ktoś trzeci mógłby się wmieszać i plan popsuć. Lecz czasu na rozprawy brakło. Trzeba było coprędzej brać się do dzieła, czynić przygotowania i chwytać się nie najlepszego, lecz pierwszego pomysłu.

Rada wojenna, złożona na poczekaniu ze Stadnickiego i Żubrowej i mruczącego coś pod nosem Żubra — uchwaliła podział obowiązków przygotowawczych i obrała jako punkt operacyjny mur, okalający ogród klasztorny za kościołem.

Według zapewnień markietanki od strony Powiśla była brama wjazdowa ze strażnicą odźwiernej, którą należało zaatakować i przez nią trafić do pułkownikówny, mieszczącej się w narożniku, tuż za refektarzem na pierwszem piętrze. Chociaż możliwem się zdawało, że Zośka została już przeprowadzoną... ale byleby cicho się sprawić, to przecież i placówkę nieprzyjacielską podejść i pochwycić można, a cóż dopiero odźwierną.

Stadnicki w lot chwytał poddawane mu myśli i ogarniał całe położenie. Więc przedewszystkiem Wicusia Jordana z winiarni wyciągnął i zaklął go, żeby biegł szukać natychmiast dostatniej bryki, oprzęgniętej mocnymi końmi, aby ją pod Ujazdowem miał w pogotowiu i, usadowiwszy na niej w pół przytomnego Hermelausa, czekał rychło on z Żubrami nie nadejdzie.

Dalej, obliczywszy potrzebną ilość ludzi, natarł na Żubrów, aby mu koniecznie jeszcze jednego zucha wynaleziono. Markietanka nie ważyła długo.

Waśka mieszkał tuż za domkiem państwa Andrzejów, nająwszy się do traczy — trzeba więc było tylko go ściągnąć. W tym celu został wyprawiony Żubr, otrzymawszy rozkaz zabrania ze sobą zawiniątka z chudobą Żubrów i przyniesienia broni. Markietanka zaś dostała polecenie kupienia sznurów i postronków.

Przed północą Stadnicki zeszedł się już z całym swoim oddziałem pod murem klasztoru, surowo zalecając wszystkim rozwagę i unikanie hałasów.

— Ani pary z ust! Rozumiecie, psia mać? Niema żartów! To nie pustynia — lada baba może takiego pisku narobić, że nam pół Warszawy na głowę sprowadzi!... Pamiętajcie sobie! Z panną się nie cackać — postronki, knebel i na plecy!

— Panie poruczniku! — szepnęła zgorszona markietanka — gdzież... pułkownikówna!

— A wybyście jak chcieli? Perorę jej prawić? Ani myśli!... Na gadanie niema czasu! Do bryki! A potem... to już sobie mielcie językiem, ile wam się podoba!...

Żubrowa chciała coś jeszcze wtrącić, ale Stadnicki nie dał jej przyjść do słowa.

— Milczeć! Subordynacya! Ty... jakże ci tam?...

— Waśka!

— Sznur w garść! Wleź mu na kark i na drugą stronę!...

Waśce nie trzeba było rozkazu powtarzać. Wspiął się po plecach legionisty, podrzucił się, chwycił za krawędź muru, zawisł i przeskoczył na drugą stronę, przeciągając sznur za sobą.

W kilka chwil wszyscy byli już za murem, pośród kępy mocno rozrosłych drzew, z poza których wychylał się czarny cień domku strażniczego.

— Świeci się w oknie! — zauważyła Żubrowa.

— Milczeć! — napominał Stadnicki. — Naprzód! Kogo napotkacie, wiązać i kneblować! Waśka, ruszamy!

Waśka jął drogę torować. Zaledwie atoli postąpił kilka kroków, gdy dwa olbrzymie kundysy rzuciły się z hałasem ku niemu. Legionista pośpieszył z pomocą. Jednego z nich schwycił za kark i mimo zapalczywego oporu, związał jak barana. Drugi kundys ze skowytem uciekł w głąb ogrodu, naszczekując przeraźliwie.

— Bodaj ich pokurczyło! — burzyła się Żubrowa.

Stadnicki chciał zgromić markietankę, lecz naraz drzwi domku strażniczego otworzyły się.

— Kruczek! Hetka! Do nogi! — rozległ się donośny głos.

— Następuj! — rozkazał krótko pan Józef.

Żubr z Waśką runęli na sylwetkę, rysującą się na tle światła, buchającego przez otwarte drzwi i zaszamotali się. Napadnięty ledwie stęknąć zdołał, gdy już leżał obezwładniony.

Z domu tymczasem wysunęła się starucha, zwabiona tupotem i sapaniem mocujących się ludzi.

— Błażeju! Co ty?... Jezu!...

Starucha urwała nagle. Spotkał ją był ten sam los. Żubrowa wpadła tymczasem do izby, by sprawdzić, czy niema przypadkiem kogo trzeciego.

Stadnicki dał znak markietance. Dziada i babę wniesiono do izby i ułożono na stole.

— Odkneblować ich i brać na spytki! — komenderował basem pan Józef.

— Dalej, żywo! — huknęła teraz Żubrowa. — Trzeba się do nich zabrać, będą gadali, dobrze... a nie, to im tu zadam bobu!...

Waśka z Żubrem odwiązywali i wyciągali kneble.

Markietanka wyciągnęła wielki nóż z za pazuchy i toczyła zamaszyście w oczach wylękłych więźniów.

— Ułożyć ich obok siebie! Tak! Krucice w garść... piśnie słówko, to w łeb! Aby naboje wykręcić... bo tego... nuż huknie! Ja im tu psiaparom sacrebleu, carramba! zagram na gardłach... niech nie gadają!...

— Rety!...

— Zmiłowania!...

— Milczeć psia!...

— Słyszeliście? Jeszcze jedno słowo i po was! No, teraz odpowiadaj!

Baba pochyliła się nad związanym dziadem i, przewracając groźnie białkami, zagięła rękawy jak do patroszenia i przyłożyła dziadowi nóż do gardła... ostrzem do góry.

— Gadaj, dziadu!...

— Rany Bos... — jęknął wylękły więzień.

— Gdzie jest pani kapitanowa?

— Nie wiem!...

— Mów, bo urżnę!

— Przysięgam... nie wiem!

— Imć panny Dziewanowskiej nie znasz?

— Nie!...

— Poczekaj, drągalu! rozpalić tam żeleźce!... Zaczynam rżnąć. Czujesz?! Powiadaj szczerą prawdę! Kiedy u was obłóczyny będą? Czujesz?...

— O!... Jutro obłóczyny! Darujcie...

— Czyje?

— Panny!...

— Jakiej panny? Jak się nazywa?

— Nie wiem!...

— Dać mi żelaza! Albo wbić mu tam kołek! Gadaj...

— Litości! Nie wiem!...

— A gdzie ta panna mieszka?

— Na lewo, w narożniku.

— Wiesz! Więc zaprowadzisz! Zakneblować go! Nogi rozwiązać! Postronek na szyję. Waśka, masz nóż... Albo nie! Ja go sama dopilnuję!... Pamiętaj, dziadu! Zaprowadzisz nas do tej panny, jeżeli mi drgniesz tylko, rozpłatam!...

— Dalej, prędzej! — niecierpliwił się pan Józef. — Zgasić światło — babę zanieść w krzaki, żeby jej tu kto nie znalazł! Naprzód!

Gromadka ruszyła. Przodem kroczył dziad, mając za sobą markietankę, która roztaczała mu nad uchem obraz mąk, czekających go w razie oporu.

— Idź! Prowadź, nie ociągaj się, pókiś cały!... Z tobą tu nikt deliberować nie będzie!... Kula w łeb i koniec! Myślisz, że koniec? Ho, ho! Jeszczebyś się

nastękał... carramba! Językbym ci wydarła! Slepie wypaliła! Prowadź dobrze! A ze strachu mi nie umrzyj... bo cię zdzielę!... Dziurę w brzuchu wydłubię — miałabym robotę! Uszy poobcinam, a potem przez pięć dni i pięć nocy smażyć będę węglami!... Dalej, nie ustawaj! Naprowadzisz na jakiego, takiego jak tyś sam, nicponia, to cię jeszcze olejem sparzę, i tamtego całym nie puszczę... a... a... żebyś i po śmierci... capie jeden, spokoju nie miał, to cię na postronku obwieszę! Aniołowie się o takiego nie zatroszczą, dyabeł się nie złaszczy, a zanim sprawiedliwości się dopytasz, wieki całe w lada kominie piszczeć będziesz!

Zastraszony odźwierny nawet tych srogich gróźb nie potrzebował. Bez oporu szedł, wprost zmierzając do celu.

Przy wejściu do przedsionka klasztornego Stadnicki postawił Waśkę na czatach, sam zaś nakazawszy Żubrowi zapalić przyniesione łuczywo, wszedł śmiało w korytarze.

Żubrowa przeżegnała się nieznacznie.

— Człowieka samego oblatuje! — szepnęła do siebie.

— Milczeć! — upominał surowo Stadnicki. — Krucice w garść!

Pochód sunął szybko, krocząc w ślady za odźwiernym.

Na trzecim zakręcie korytarza niespodziewanie przed idącymi, niby z pod ziemi, wyrosła krata żelazna, zagradzająca drogę, a opatrzona tęgimi zamkami.

Markietanka zaklęła.

Stadnicki dopadł odźwiernego i, wskazując na kratę, przyłożył mu lufę pistoletu do skroni. Dziad przewrócił błagalnie oczyma i wskazał na wgłębienie pod stojącą tuż przy kracie kropielnicą. Pan Józef sięgnął ręką i natrafił na klucze.

Po otworzeniu kraty Stadnicki znów zmienił porządek pochodu.

Żubrowej nakazał pozostać przy furcie, a sam, ująwszy odźwiernego za ramię, skinął na Żubra i ruszył naprzód.

Tuż za kratą korytarz zwężał się, załamywał dwa razy, a w końcu wydłużał się w długie, drzewem już wymoszczone przejście, w głębi którego zawieszona przed figurą lampka oświetlała dwa szeregi drzwi, prowadzących do cel zakonnych.

Stadnicki, w obawie alarmu, jął posuwać się coraz wolniej, grożąc co chwila odźwiernemu i upominając Żubra.

— Cicho stąpaj! — szepnął pan Józef — słyszałeś, psia mać! Łeb roztrzaskam!

Dziad niby to szedł na palcach, lecz jakby nieumyślnie, podkówkami dzwonił. W dodatku samemu panu Józefowi raz i drugi brzękła cicho ostroga.

Stadnicki postrzegł, jakieby mu mogło grozić niebezpieczeństwo, gdyby ktoś, posłyszawszy stąpanie, narobił krzyku, a klasztor na nogi porwał.

Zresztą, nie o niebezpieczeństwo szło porucznikowi — w gorszych opałach bywał — lecz o powodzenie wyprawy.

Pan Józef odrazu zoryentował się w sytuacyi.

Ruchem ręki zatrzymał Żubra i odźwiernego. A potem schylił się do butów i, zaparłszy się nogami, ujął za końce ostróg, szarpnął zajadle raz i drugi i złamał je. Potem rzucił staremu legioniście rozkaz do ucha, a sam porwał dziada na ręce i uniósł jak dziecko. Żubr zaś prawie równocześnie ściągnął odźwiernemu buty z nóg.

Zanim dziad zdołał się opamiętać, co się z nim dzieje, już stał na ziemi i już Stadnicki naglił go, aby szedł. Lecz teraz droga nie była daleka, minięto czworo rzędem podwójnym wystających drzwi, aż dziad zatrzymał się i wskazał na piąte, umieszczone w rogu zaginającego się znów korytarza.

— Jesteś pewny? — zagadnął szeptem Stadnicki.

— Pewny! — wybełkotał dziad.

— Zgaś łuczywo! — komenderował pan Józef — no, a teraz do roboty!

Stadnicki znów porwał dziada na ręce.

— Wiąż mu nogi! Płachtę na łeb!

Dziad w stalowym uścisku pana Józefa ani drgnął. Żubr związał go tymczasem jak barana, knebel poprawił, głowę płachtą okręcił.

Gdy w ten sposób dziad został obezwładnionym, Stadnicki ułożył go bez szelestu pod drzwiami przylegającemi do tych, za któremi znajdować się miała pułkownikówna, poczem przysunął się do Żubra.

— Stary, baczność! — szepnął Stadnicki. — Słuchaj! Wiesz, jak mówiłem! Knebel... a potem ręce związać i na plecy! Żebyś mi nie czekał... prosto na ogród! Waśkę z dołu bierz ze sobą; niech ci wydostać się za mur pomoże, a potem... pod Ujazdów do poruczników! Zatrzymajcie się chwilę, a jak nas nie będzie widać, to w nogi!

Żubr kiwnął z przejęciem głową i jął wyciągać z kieszeni kubraka postronki a pęki gałganów.

Stadnicki śledził ruchy starego legionisty, a w końcu rzucił przez zęby:

— Naprzód, psia mać!

Pan Józef podbiegł szybko do drzwi w załamie korytarza i nacisnął klamkę... ale drzwi były zamknięte z wewnątrz. Stadnicki skonfundował się tą niespodziewaną przeszkodą, lecz nie dając za wygraną, zdobył się na odwagę i zapukał zlekka.

— Kto tam? — rozległ się za drzwiami dźwięczny głos Zośki.

Pot kroplisty wystąpił na czoło porucznika. Lotem błyskawicy przemknęła mu przez głowę myśl, że jeżeli się teraz zdradzi, to Zośka gotowa drzwi nie odemknąć.

— Kto tam? — zapytała Zośka po raz drugi, tym razem niespokojniej.

Położenie zdawało się być bez wyjścia, lecz porucznik, czując, że mu się grunt z pod nóg usuwa, zaczerpnął gwałtownie powietrza, ścisnął zęby i pisnął jak mógł najcieniej:

— To... ja... ksieni!

- Co... przewielebna matka rozkaże? — zagadnęła dziwnie niepewnym głosem pułkownikówna

— Otwórz... psia... imć... moje dziecko! — huknął basem Stadnicki, zapominając, że i dalej głos niewieści ma symulować.

Okrzyk trwogi wyrwał się z piersi pułkownikówny.

Stadnickiemu krew uderzyła do głowy, z rozpaczliwą zawziętością targnął drzwiami, a potem jął cisnąć je z całej siły, nawołując Żubra.

— Do mnie, psia mać! Przyj razem! Mocniej! Jeszcze!...

— Ratunku! Pomocy! — wołała pełna piersią Zośka.

Drzwi tymczasem trzeszczały, zgrzytały w zawiasach, lecz jeszcze nie ustępowały.

W głębi korytarza słychać już było odgłos szybkich kroków.

Stadnickiego wściekłość opanowała.

— Napieraj, psia mać! — wrzasnął zajadle na Żubra.

Stary legionista natężył muskuły. Stadnicki zaś, gdy drzwi były już wygięte, odskoczył, plunął w garści i uderzył pięścią... Głuchy trzask był mu odpowiedzią.

Drzwi runęły.

W kącie celi zakonnej stała Zośka, wzywając o ratunek i szukając schronienia za klęcznikiem, atoli Żubr wpadł był już, rozejrzał się wśród panujących w celi mroków, słabo rozświetlonych migocącą lampką, i schwycił był pułkownikównę.

Zośka poznała starego podoficera.

— Żubr... wy! Na miłość Boską!

— Nic, pani kapitanowo! Według rozkazu, muszą być dzieci! — mruczał legionista, krępując ręce pułkownikównie.

Zośka chciała coś rzec, prosić, przekładać, żądać tłómaczenia, lecz Żubr bez wahania zakneblował jej usta, a potem chwycił wpół i uniósł.

Czas był największy. Stadnicki, który był na korytarzu został, zapalił łuczywo i dobył szabli.

— Ratunku! Pomocy! Uderzyć we dzwony! — odezwały się teraz zewsząd pomieszane głosy zakonnic.

Żubr jak burza przeleciał około Stadnickiego. Pan Józef jął się cofać także, brzęcząc dla postrachu szablą i wygrażając:

— Z drogi, do stu!... Ani kroku do mnie! Porąbię! Rozsiekam! Zamorduję!..... Psia..... nie lubię, strzelę!

Mimo tych zawołań, tłum habitów rósł, potężniał i coraz śmielej następował ku zuchwalcowi, jakby odgadując, że pan Józef nie miałby odwagi do krwawej obrony.

Jeszcze jedna chwila, a porucznik byłby pochwyconym. Ale na szczęście wzrok jego padł na związanego a leżącego teraz tuż odźwiernego. Stadnicki porwał dziada i rzucił nim pod nogi habitów. Skutek przeszedł oczekiwania.

Zakonnice zmieszały się, a biorąc odźwiernego za jednego z napastników, otoczyły go kołem.

Stadnicki tymczasem biegł, ile mu sił starczyło, a dopadłszy furty żelaznej, przy której czuwała Żubrowa, zamknął ją, schował klucz do kieszeni i zakrzyknąwszy na markietankę, jął uciekać.

— Byle na ogród! Za mną, psia mać!...

— Panie poruczniku! Rety!... Lecą za nami!

— Nic, psia mać!

— Carramba! Byłoby nam gorąco! Sacrebleu... Bylem się nie została!... Święty Antoni! Uf! Ledwie dycham!...

— Milczeć!...

— Ooo! To jeszcze gorzej, bo mnie rozsadzi!... Carramba... Aż ciarki mnie przechodziły stać w tej ciemnicy...

Zaledwie uciekający zdołali wydostać się na ogród, gdy w tejże chwili rozległy się alarmujące dźwięki dzwonu klasztornego.

— Olaboga! Teraz nas ucapią! O, będzie nam będzie! Niech postrzegą mego starego!... Lepiej, by nas już zaciągnęli na ratusz!... Byle tamci uszli... Oo... jak to huczą!

— Nie marudzić.. byle naprzód!

Stadnicki z Żubrową wydostali się szczęśliwie za mur ogrodu klasztornego i zawrócili wprost drogą ku Ujazdowu, jak było umówione. Lecz tu musieli kroku zwolnić, ile że zewsząd dźwiękami dzwonów przed północą wystraszeni ludzie biegli w stronę klasztoru i zarzucali pytaniami ciągnących naprzeciw nim Stadnickiego i Żubrową.

Markietanka, jak mogła, tak sumitowała się i zbywała natrętów. Tak dotarli pomyślnie aż do Solca.

Żubrowa chciała już odetchnąć lżej, gdy w oczy jej wpadła gromadka ludzi skupiona i rozprawiająca gorąco.

Baba przysunęła się i ku wielkiemu przerażeniu postrzegła męża i Waśkę, otoczonych halabardnikami...

— Panie poruczniku! Przyłapali ich! — ryknęła z rozpaczą Zubrowa i rzuciła się ku gromadce.

Trafiła była na chwilę, gdy starszy z halabardników, wysłuchawszy niejasnego tłómaczenia Waśki, zakonkludował oschle:

— Proszę acaństwa na ratusz!... Zobaczymy. Zemdloną dziewczynę dźwigać, jak worek żyta! Niema rady...

— Ludzie! Co wy? — zawołała desperacko markietanka. — To wy tu sejmy robicie, nie biegniecie z pomocą!

— Co się stało? Co się stało? — zakrzyknięto w gromadce.

— Nie słyszycie dzwonów? Wizytki się palą!...

— Dzwony?... Prawda!...

— Na ratunek!... Dalej!... Mości halabardnicy!...

Gromadka rozstąpiła się. Ten i ów odchodził i dążył ku Wizytkom. Starszy halabardnik wahał się jeszcze.

— Cóż to acan? — natarła żywo markietanka.

— Hm! Ba tylko... tych trzebaby...

— O! Heca taka! Tych! Może brać chcecie?... Aa... znacie Andrzejów, co mają dworek „pod kulą“... to właśnie jej stryjeczny... a to jego córka... chora!...

— Pewnie? — wahał się halabardnik.

— Prawda — wmieszał się Stadnicki.— Taka prawda, że choć pałką bij... psia mać, jeżeli kto nie usłucha!...

Pachołkowie miejscy spojrzeli z szacunkiem na mundur pana Józefa i odstąpili Żubra.

— Do klasztoru! Biegnijcie! Na ratunek! — zachęcała tymczasem markietanka.

Jakby na potwierdzenie słów tych, w oddali dzwony zabrzmiały silniej, głośniej.

Halabardnicy, nie namyślając się dłużej, ruszyli z miejsca.

— Teraz ile sił! — szepnął Stadnicki.

Żubrowi nie trzeba było rozkazu tego powtarzać, a tem mniej markietance lub Waśce... Rzucono się do ucieczki z takim impetem, że aż to złość obudziło w Żubrowej, osobliwie gniewało ją, iż legionista wszystkich wyprzedził.

— Macieju! Takiś to charakternik do umykania? Jak na stary karabin, wcale piękna zaleta! Uważajże niedołęgo... przecie to nie kloc drzewa! Ani chybi, że mi w swoich łapskach panią kapitanową posiniaczy! Gdzie cię tak rejterować nauczyli? Tfy! Carramba! Aż mi wstyd! Sacrebleu... nie nadążę!...

— Niedaleko! — zachęcał Waśka.

— Będziesz mi tu nos wściubiał, zatraceńcze!...

— U-u! Gdzieście zajechali! Nóg żałujecie! Et! żebyście wy ciotkę Eudoksyę znali! Piec nie baba! Idzie, to aż huczy, a jak zakasze się a pójdzie gonić Fedkę, wałkonia, co jak nie śpiewa, to wrony liczy, u-u!... to baba aż się toczy. Choć na konia siadaj... nie dotrzymasz... a piec nie baba....

— Będziesz ty mi przymawiał! A poczekaj! Dam ja ci tego pieca... dam! Jakiem Muszyńska z domu! Przypomnisz sobie i dziada, nietylko ciotkę! Drągalu! Jeszczeby wam owsa podsypać, a potem pod siodła wziąć...

— Co wy tam?

— Nic, panie poruczniku, nie mówię... tylko, powiadam...

— Milczeć, psia mać! Nie lubię!

— Ten ci odrazu do rozumu trafi! — mruknęła markietanka.

— Czego wam?

— Tylko... bo... chyba mnie krew zaleje... nie mogę!...

Stadnicki kazał zwolnić kroku, a gdy markietanka wypoczęła, znów przyśpieszyć. W ten sposób, dwukrotnie jeszcze folgując, dopadnięto szczęśliwie wygotowanych przez Wicusia Jordana wasągów.

Jordanowie chcieli byli pytać o przebieg wyprawy, lecz Stadnicki nie pozwolił im przyjść do słowa. Zośkę kazał ułożyć na sianie, ręce rozwiązać i knebel zdjąć, a potem, gdy się wszyscy jako tako usadowili, zawołał na woźnicę:

— W konie, psia mać!

Bryka, oprzęgnięta czwórką dobrze wykarmionych bułanów, potoczyła się żwawo.

Markietankę, która była się usadowiła w nogach omdlałej Zośki, na widok bladej twarzyczki pułkownikówny, żałość nagła chwyciła.

— Śrebło moje! Obeszli się z tobą jak z hajdamaką! Jakie to pręgi na rączynach od postronków! Poczekaj, stary, odpowiesz ty mi za to!... Dopiekę ja ci... Sacrebleu! Niósł bo niósł, a ledwie duszyczki z biedactwa nie wytrząsnął! Zdarzony... Utrząsnę ja cię! Paniuleczka moja! Czego to się chciało! Niby sprawiedliwości niebieskiejby nie było! Juści nie po Bożemu cale a brzydko zgoła postąpiliśmy, ale bo co się ma spełnić, bodaj i za grzesznika wdaniem... Swięty Antoni! Byleby nam figla teraz kto nie wypłatał... a choć się szurzysz na mnie... pogankę taką... już cię uproszę, a grzecznie się wysumituję. Niech tylko... to w soboty post ci ślubuję... do Panienki litanijkę codzień, a przy niedzieli to i koronkę! Ma złe się stać — wolej nas starych niech utnie... Sacrebleu... bo się i należy. Łby takie rozhukane... byle odrazu...

ale taki kwiatuszek! Jak to pobielało! Oj, sieroto, sieroto!

Wiew powietrza wrócił zwolna przytomność Zośce Ostatnie słowa markietanki wstrząsnęły nią.

Pułkownikówna otworzyła szeroko oczy i szepnęła niepewnie:

— Gdzie jestem?...

— A na bryce, paniuleczko moja! — odparła raźno baba. — To ja — Żubrowa! Jedziemy sobie... w kompanii... sacrebleu morowej! A jakże!

— Dokąd?

— He he! Dokąd! Śrebło moje... jedziemy do pociechy, do wytchnienia, do kochania, jedziemy z sercem do serca... dość mitręgi, włóczęgi, bisurmaństwa! Pora, sacrebleu!...

— Mówcie, Żubrowa, mówcie dokąd! — błagała Zośka, jakby w półśnie.

— Mówić!... Albom to ja mowna, albom może jak mój stary! Mówiłoby się! Nie staje czasem rezonu!... A co teraz chyba mnie opadło... Tfy! Sacrebleu!...

— Dokąd!?...

— Śrebło moje, nie na biedę, nie na żałość, jeno jedziemy sobie w gościnne progi, jedziemy sobie!... A tam, w okienku, wygląda nasz porucznik! Obszleg w srebrze, na czapce blacha złota gwardyacka a kita czapla, łuna bije z karmazynu, a na obliczu, na malowanem krasą, tęsknica osiadła, a z oczu wszystkie ognie mu wzięła i hen za kochaniem wysłała!... Wygląda oknem nasz porucznik na drogę, a niewiasty rozmaite się zwiedziały i ciągną, nuże którą upatrzy i sobie pojmie. Idzie niemkini w atłasie a złotogłowiu, w sobie pełna a podufała, w garści worek, brząka złotem i na porucznika zezuje! A on nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział. Za niemkinią sunie madmazela, sukniami fyrka, patrzy na porucznika i zgrzyta ząbkami!... Porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział. Za madmazelą drepce włoska seniorita, zausznice jak pięście, dyabły dwa, nie oczy... bodaj ugryźć porucznikaby chciała... A on nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział!... A za Włoszką Hiszpa-

nica, czarnucha taka zatracona, że jak w obraz patrz i urodzie się dziwuj!... Postrzegła porucznika i łasi się: — Już mnie weź! Już moim bądź. — Porucznik chciał rzec... ale serce zakołatało mu w piersi i mówi: — Nie znam innego kochania, innego we mnie królowania — raczej krwią własną się zadławię, niżbym zdradzić miał! — Hiszpanica łamie się z alteracyi, a nasz porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział! I jeno siadł w okienku i wygląda a skarży się: Otom żołnierzykiem Bożym był, o nic się nie kusił, jeno Zośki mojej jedynej u Boga żebrał... losy rozdzieliły, gór i lasów nagrodziły...

— Święty Antoni, nie odstępuj... carramba, sacrebleu! — mówiła dalej markietanka. — Aż tu na drodze bryka dudni... cztery konie rwą z kopyta!... Nasz porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział!... Zawarczały mocniej koła, trzasnęły orczyki, zgrzytnęły osie — bryka stanęła! Trzech oficjerów, trzech tęgich, a jeden osobliwie cholerny, wysiadło i kamrata wita. Nasz porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła ich nie widział... Za oficjerami gramoli się drab nad draby, łapy jak śmigi, łeb pusty, ale bania! Tchu łyknął, brzucha wciągnął, puczy się a salutuje! Niedołęga! Nasz porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła go nie widział... Za drabem rusza baba! Jaka jest, to jest... W kaszy się zjeść nie dała, po świecie wędrowała, cesarzowi sługowała, a chociaż do amorów nieskora, ale co jej starego rogi rzetelne nie miną!... A nasz porucznik nic, ani drgnie, jakby zgoła jej nie widział... Baba przecież nie żdżbło! Sacrebleu!... Wtem ci z pod nakrycia wyjrzy... pani kapitanowa i jeno zapłoni się, a tu naszego porucznika jakby prochem rzuciło. Zadzwonił ostrogami, trzasnął szabelką i runął do nóg kochania swego i hołubi i skarży się i raduje... i śmieje się i płacze — nie płacze, bo przecież nie baba! — śmieje się, szepce, a do piersi tuli, kędy legia pozłocista na czerwonej wstędze!... I tęsknica z oczu zbiega a iskry zapala, ognia bierz, ile chcesz, starczy na dworka ogrzanie, na wieczne miłowanie... a i dla natręta zbiedzonego na dryakiew!... Dworek

się stroi... uprzątają izby, miodek nastawiają, gości hurma zewsząd wali, regiment bez mała! Jest weselisko!...

— I... i... Jasia... według rozkazu... są dzieci!...

— Macieju!

— Dobrze mówi, psia mać!...

— Dobrze, od morza do morza!...

— Rety! Waćpanowie! Nie hukajcie tak... toć paniuleczka moja ledwie dycha! Oj naplotłam! Jeszcze czem dojęłam! — frasowała się markietanka.

Ale Zośka drżała tylko jak listek, do Żubrowej się garnęła i powtarzała:

— Mówcie tak... mówcie! Niech słyszę!... Niech śnię!...

. . . . . .

. . . . . .

Było południe. Październikowe słońce ważyło się w górze, napróżno mocując się, napróżno do czerwcowego chcąc sięgnąć majestatu. I biło warkoczami złotych promieni i szukało na ziemi pieśniarzy swoich niedawnych, lenników niezawodnych.

Lasy milczały, zczerniałe pola wiały pustką i głuszą — tylko świeżo usypane kurhany a mogiły bieliły się krzyżami a żółciły się gliną z łona ziemi dobytą. A po nad kurhanami szedł wiew silny, miotąc przed sobą szeleszczącymi zawałami opadłych liści. Potulna brzoza już gięła się i zawodziła — tylko jodły stały jeszcze dumne — tylko graby wznosiły harde czoła — tylko dęby pogardliwie witały jesienne poszumy. Nie łudziły ich ani blaski spóźnione i nie ustraszały groźby przedwczesne.

Dwór gortatowicki aż drżał od zgiełku i rozgwaru, Pani Jadwiga w izbie czeladnej doglądała gorączkowej roboty, jaka od dwóch dni wrzała.

Wszystkie wozy a bryki były w rozgonie, służba cała na nogach od świtu do nocy, bo po owej pamiętnej nocy — zasobny dwór gortatowicki zubożał, zapasy znikły, piwniczka opustoszała, słynna na całą okolicę śpiżarnia do dawnej zamożności dojść nie mogła. Frasowała się pani Jadwiga a zabiegała... bo

tu goście się zamówili, i nielada... a tu brakło wszystkiego!... Nie tak bywało, gdy świętej pamięci pan Józef Gotartowski stawał na ślubnym kobiercu z imć panną Jadwigą Mieroszewską!

Wprawdzie nielada pociechę miała pani Jadwiga w dosadnych uwagach Żubrowej, która choć do żadnej z robót niewieścich się nie brała — ale za to krok w krok za panią Gotartowską chodziła, cieszyła ją, jednem słowem rozstrzygała każdą kwestyę, a co ważniejsze, w chwilach wolnych miała coś ciekawego do powiedzenia.

Pani Jadwiga dawała posłuch markietance, krzepiła się jej zapewnieniami, ale w końcu żal taki ją chwycił, że po raz trzeci umknęła do alkierza i łzami się zalała, wspominając na biedę, której ukryć nawet było nie sposób. Żubrowa, postrzegłszy tę alteracyę pani Jadwigi, za nią się wysunęła i perswadować jęła. Pani Gotartowska uspokoić się nie mogła.

— Bóg zapłać za dobre słowo, za serce! Ale mnie się nie dziwujcie!... Nie chcę świetności, niechby to było, co sama miałam!... Gości tyle... trzech generałów, imć pan Henryk Dąbrowski przez ordynansa się zapowiedział, pułkownik Kozietulski, Jordanów cała rodzina, powiadają, może pan wojewoda Wybicki... a tu kręć głową... nie uhonorujesz!

— Jejmościuniu! A czy to nie żołnierze! Albo im potrzeba ucztowania, frykasów, ananasów, marcepanów?...

— Tak to, tak!... A nie staje! Zośka przecież biedactwo potrzebuje niejednego!...

— Pani kapitanowa!?...

— Juści!... Ogarnąć się trzeba... jakoś ludziom się sprezentować!...

— A czy to imć pułkownikówna...

— Niema! Cha! Dziej się wola Boża!

— Jejmościuniu... sacrebleu... Racya!... Ale bo... przecież weselisko... huczne nie będzie!...

— O tem ani marzę! — przytwierdziła żywo pani Gotartowska. — Staszek przepada, Marcelek pisał, że urlopu wziąć nie może i z pułkiem na paryskie pa-

rady rusza... a potem śmierć ojca... i męża.. Ważyłam się na to dla Florka!... Niechże z kochaniem swojem na kobiercu stanie... niech w szczęściu z nią najdzie nagrodę za życie tułacze!... Honory spadają i spaść mają na niego i na dom cały... a ot... supła się ostatek... i rwie się i nie starcza!... Wiem, co mi powiecie!... Nie o próżność idzie — nie dziwcie się sercu matczynemu... Roiła dla syna o świetności... i gorzko patrzeć teraz!... Toć wrócił mizerakiem niepodobnym do siebie... zewsząd słychać pochwały... i odznaczył się, i krzyżów nawysługiwał, i krwi nie szczędził... i ot... ledwie na nim ladajako sklecony mundurek, a pod nim blizny i szramy!...

— Żołnierski dorobek! — mruknęła Żubrowa.

— Wierzcie mi! Dla siebie niczego nie pragnę!... Słowem nie przeczyłam, gdy rwał się do boju!... Jeno boleść porze!... Wybrał sobie Dziewanowską!... Kiedym poznała ich afekta gorące, ani śmiem negować... kocham ją jak rodzoną... i biedy nie wytykam, tylko się trapię, że jej osłonić nie mam czem!...

Baba westchnęła ciężko. Pani Gotartowska ulękła się nagle swej niemocy.

— Co tam! Niema dobytku, ale jest imię nieskalane, czyste a nowym indygenatem zdobne.

— Święta prawda, jejmościuniu!

— Wołajcie mi Zośki i Florka. Naradzić się trzeba jeszcze! Gdzież są?

— Ba! Toć jak zawsze... pod jaworem, a mój stary pewnie przycupnął za nimi i podpatruje... nicpotem!

— Wołajcie ich!

Markietanka ruszyła żwawo za dwór, kędy za kępą głogów stał jawor, a pod jaworem darniowa ławeczka, a postrzegłszy skuloną postać legionisty, który przykucnął w krzach i wzrokiem rozpromienionym ku jaworowi poglądał, oburzyła się szczerze.

— Macieju! A chcesz, żebym ci ślepie wydrapała! Nic zachowania nie masz! Tfy!... Tfy!... Skaranie istne!... Ty... ty rozpustniku wenecki... ty cyganie! Precz mi stąd, bo ci taką, sacrebleu, modestyę wytnę, że cię... carramba!

— Jasia! Nie gadaj! Widzisz! — odparł cicho Żubr i wskazał ręką na jawor.

Baba zerknęła i oczu oderwać nie mogła.

U stóp Zośki klęczał Floryan i szeptał słowa gorące, tkliwe, mocne, a wyraz każdy całunkiem pieczętował, a twarz jego biła jasnością i dumą, i szczęściem... Zośka mieniła się jako róża polna, gdy łzy rosy w kielichu jej jeszcze się perlą, a słońce już przeziera jej aksamitną oprawę i promieniami pieści.

Żubrową tkliwość ogarnęła.

— Srebło moje! — szepnęła półgłosem. — Kochania takiego!... Daj wam, Panie Boże, daj!... Serce rośnie człowiekowi! A świdruje... sacrebleu! Choć śmiej się... a... a płacz...

— Jasia! — upomniał Żubr, któremu już łzy dziurgiem lecieć zaczęły.

— Nic, stary! Gap się — niech ci tylko nie zaszkodzi!... Zdrowaś mi zmówić!... Bieda u nas, ale nic, jest przecież i bogactwo, chociaż . . . ! Przydałoby się inne!... Paniuleczka moja! Jaka ona urodziwa!... Powiada jejmość, nie ma stroju na wesele, niema szatek przystojnych! Biedactwo moje! Gdzie najdzie kto dla panny młodej gładsze liczko! Zdałyby się i szatki — bieda!!...

— Jasia! — mruknął chlipiąc Żubr. — Nie gadaj! Przecież napoleony są!...

— Jakie napoleony? Co ty gadasz?...

— Cesarskie, książęce, marszałkowskie!...

Baba porwała się z miejsca.

— Święty Antoni! Masz je?! Rany Boskie! Stary, chyba mnie zaleje!... Dawajże ich! Chowałeś?...

— Mówiłaś... dzieci! Schowało się, a teraz się ma!

W kilka chwil Żubrowie stawili się przed panią Jadwigą i nieśmiało wysypali przed nią tęgi mieszek napoleonów.

Pani Gotartowska ledwie oczom wierzyła.

— Skądże to? Jakto?!...

— Jejmościuniu! To szczere... cesarskie!... Pozwólcie, nie odmawiajcie!...

— Wasbym śmiała?... Nie, niepodobna!

Markietanka do nóg jej padła.

— Paniuleczko moja! Jejmościuniu! Przecież my nie obcy... z porucznikiem lata przeżyli, kapitanową mu hołubili... nie żyli dla siebie!... Nie krzywdź, nie odmawiaj! Oni nam jak rodzeni!...

— Dzie... dziec... — bełkotał Żubr.

Pani Jadwidze aż serce zadygotało. Podniosła markietankę i do piersi przytuliła.

— Zacne dusze! Z nami jesteście, z nami zostaniecie!...

— Dobrodziejko! Jejmościuniu! Ani roiłam! Toć radości takiej...

— Dosyć tego, psia mać... nie lubię! — huknął nagle w alkierzu drżący a znajomy bas.

— Wszelki duch!... Jezu! Imć pan Stadnicki, sacrebleu!...

— Daruj, miłościwa pani! — sumitował się porucznik przed panią Gotartowską. — Jadę co koń prosto z Warszawy! Staję przed gankiem, żywego ducha, wchodzę, no, i... jawię się obces!... Miłościwa pani! Książę Józef zjeżdża pojutrze do imć panny Dziewanowskiej... w drużby się napraszać! To... to... lubię, psia mać!...

KONIEC.

Warszawa, 9 grudnia 1901.

500 | 12
48 | 41,6
20
80

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
113567

Biblioteka WSP Kielce
0151883

Z DRUKARNI SŁOWA POLSKIEGO
POD ZARZĄDEM JÓZEFA ZIEMBIŃSKIEGO